

Gert Godeng
TOM 3.
KODEKS ŚMIERCI

Przełożyła Elżbieta Frączak*Nowotny
Autor: Gert Nygardshaug (Gert Godeng)
Tytuł oryginału: Dodens codex

Elipsa Sp. z o.o.

1

Fredric Drum patrzy na Morze Jońskie, ale w jego oczach
nie ma radości/teśni za swoją ukochaną
i butelką dobrego Barbaresco DOCG

Podniósł się i usiadł zdeorientowany. Rozejrzył się dookoła. Pod nim, dwieście metrów
pionowo w dół, rozciągało się Morze Jońskie. Za plecami miał stromą skałę,
czerwono*brą*żową z zielonymi żyłkami. Skalna półka, na której siedział, pokryta była grubą
warstwą sztywnej brązowej trawy. To dlatego nie potłukł się, gdy spadł, tylko wylądował
miętko, nie odnosząc większych obrażeń.

Fredric Drum kichnął mocno cztery razy, wstał, otrzepał ubranie z ziemi i piasku. Co, do
licha, się wydarzyło?

Błyskawicznie zrekapitulował w pamięci ostatnie pięć minut niewiarygodnych zdarzeń.
Siedział z przodu w autobusie, trzymając walizkę między nogami, i z radosnym podnieceniem
obserwował kalabryjski krajobraz, podczas gdy autobus zbliżał się do celu * małego
miasteczka Ofanes, położonego niedaleko Crotone. Śledził trasę na mapie, spodziewając się
zobaczyć miasteczko już za najbliższym zakrętem, kiedy nagle autobus zatrzymało trzech
policjantów. Czwórka pozostałych pasażerów, starsza kobieta, dwoje nastolatków i ksiądz w
kapeluszu z szerokim rondem, wzruszyli ramionami, mamrocząc
o jakiejś kontroli. Dwóch policjantów wsiadło do autobusu
i zaczęło bardzo szybko mówić coś po włosku do kierowcy, a on skinął głową i wskazał na
Fredrica Drum. Zanim ten zdążył otworzyć usta, zaprotestować, powiedzieć abbaglio, zaszło
nieporozumienie, wyciągnęli go z autobusu i kazali stanąć na poboczu, wąskim skrawku
ziemi przechodzącym w strome zbocze spadające do morza. Bez słowa, nie zadawszy mu
żadnego pytania, pchnęli go, tak że potoczył się bezradnie w dół.

Na szczęście zbocze nie było tak strome, jak się wydawało, więc wylądował miętko na
skalnym ustępie.

Nawet nie zdążył się przestraszyć.

Siedział teraz na skalnej półce na południu Italii, w Kala*brii, z pięknym widokiem na Morze
Jońskie, niczym ptak wysiadujący jajka. Nie wiedział, jak długo przyjdzie mu tutaj tak tkwić:
nie był w stanie ani zejść, ani wejść. Skalna półka miała powierzchnię mniej więcej średniej
wielkości pokoju.

Było popołudnie, za kwadrans szósta, ostatni dzień lipca; słońce było już nisko na niebie.
Genevieve na pewno czeka na niego na przystanku autobusowym w Ofanes, nie rozumiejąc,
co się stało. Genevieve, jego ukochana, której nie widział od trzech lat.

Sięgnął po leżący obok kamień i rzucił go w dół. Nie słyszał, kiedy przeciął powierzchnię
wody. Potem krzyknął głośno w kierunku greckiego łądu, który według niego powinien leżeć
gdzieś na horyzoncie:

* Archaniele Gabrielu!! Kuabris, Defrabax, Docrabax. Ta*culbain, Himesor! Jowiszu! Torze i Tykje!

Wezwawszy na pomoc bogów, przezwyciężył uczucie frustracji spowodowane obecną sytuacją. Usiadł, oparł się plecami o skalną ścianę i zaczął się zastanawiać.

Usiłowanie morderstwa. Ktoś próbował go zamordować, z pełną premedytacją. Trzech włoskich policjantów obezwładniło go i usiłowało zrzucić do morza. Czy tak kalabryjskie władze traktują turystów? Wrzucają do morza boga ducha winnych ludzi, bo akurat mają taki kaprys? Może to jakaś makabryczna lokalna tradycja, o której przewodniki milczą?

Jego czterej współtowarzysze podróży wymamrotali tylko „kontrola”. W takim razie dość swoista.

Camogli. Wiedział, że jutro, pierwszego sierpnia, obchodzi się regionalne święto: camogli. Pali się świeczki ku czci Madonny Stella Mari. Jak to dokładnie wygląda, tego nie wiedział, ale najwyraźniej policja dostała polecenie, by rozpocząć uroczystości od wrzucenia do morza niewinnego cudzoziemca. Piękny, godny podziwu obyczaj.

* Miło! * powiedział głośno i wstał. Ponownie wezwał na pomoc pół tuzina mniej lub bardziej egzotycznych bogów, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Kiedy tak stał i wołał, miał wrażenie, że znalazł się w jakimś olbrzymim szklanym kloszu. Jego głos zanikał, ledwie słowa zdążyły pojawić się na ustach.

Zaczął systematycznie badać skalną półkę. Wokół było wiele podobnych; zrozumiał, że nieważne, gdzie by upadł, znalazłby się w podobnej sytuacji. Niżej też znajdowały się półki, i gdyby zdobył się na odrobinę odwagi, mógłby próbować zejść; znalazłby się wtedy jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów nad powierzchnią wody, tylko dlaczego miałby to robić? Przecież musiał wspiąć się do góry. To jednak wydało się niewykonalne. Skalna ściana nad nim miała co prawda zaledwie trzy metry wysokości, ale nie widział żadnych uskoków ani szpar.

Czy policjanci wiedzieli, że skalne zbocze ma wiele półek? Czy też sądzili, że schodzi prosto do morza? Nieważne, tak czy inaczej dopuścili się czynu niezgodnego z wszelkimi zasadami etyki.

Fakt pozostawał faktem. Dokładnie zbadał miejsce; zdawał sobie sprawę, że sam stąd się nie wydostanie. Nawet słynny alpinista i bohater narodowy, Bernardo Rossi, nie poradziłby tu sobie bez odpowiedniego sprzętu. Zrezygnowany położył się na trawie, wpatrując się w jasnoniebieskie niebo.

Musiało zajść jakieś poważne nieporozumienie. Wiedział, że na tej szerokości geograficznej zdarza się wiele dziwnych rzeczy, w pobliżu była przecież Sycylia, gdzie działała mafia, dopuszczając się czynów, o których zwykli śmiertelnicy nie mieli nawet pojęcia. Mafia załatwiała swoje sprawy prostymi metodami, bez zbędnego gadania. Komunikacja między nimi a policjantami też była dość oszczędna w czasie tych kilku sekund, gdy mieli ze sobą kontakt.

Wszystko było zaplanowane! Wzięli go za jakiegoś nadgorliwego sędziego, który mógłby zacząć węszyć w ich wewnętrznych sprawach, i postanowili szybko się z nim rozprawić. Policjanci zapewne byli członkami mafii, których zadaniem było mieć oko na tego rodzaju nadgorliwych sędziów. Fredric Drum słyszał, że sędziowie często stają się celem mafijnych kul i noży. Ale czyżby nie zauważyli, że jest cudzoziemcem? Przecież jest blondynem. Chociaż mogli go też wziąć za Piemontczyka. Mieszkańcy Piemontu często mają delikatną karnację i jasne włosy. Wyobraził sobie, jacy będą zdziwieni i zawiedzeni, kiedy, sięgając po jego walizkę, zauważą nalepkę z napisem: „Fredric Drum, Norwegia”.

Walizka. Poczł smutek. Genevieve stoi teraz pewnie na dworcu autobusowym i przygląda się jego walizce. Walizka dotarła na miejsce, ale gdzie jest Fredric? W walizce były prezenty, które dla niej kupił: bardzo ładny, ręcznie wykonany la*poński naszyjnik ze złota i butelka

wybornego piemonckiego wina: Castello di Neve, Barbaresco DOCG 1971. Neve, neve, śnieg, śnieżny zamek, ładna nazwa dla wina, szczególnie gdy ofiarodawca pochodzi z Norwegii.

Zaniepokojony uniósł się na łokciach. W dole rozpościerało się bezkresne morze, spokojne i zielone, żadnej łodzi na horyzoncie. Życie nauczyło Fredrica Drum, że nawet najdziwniejsze rzeczy, które mu się przytrafiały, rzadko okazywały się przypadkiem czy nieporozumieniem. Najczęściej były wynikiem złowrogiego, wcześniej obmyślonego Planu, w którego przerażającą sieć dał się złapać.

Fredric Drum dawno już pozbył się resztek naiwności i łatwowierności, wiary w tak zwane „przypadki”. Dlatego jego niepokój był uzasadniony. Dopóki nie przekona się, że jest inaczej, przyzna rację talmudzkiej mądrości głoszącej, że: „Gdyby oko było w stanie dojrzeć demony zamieszkujące wszechświat, egzystencja byłaby niemożliwa”.

Zamknął oczy i zaczął dokładnie przemyśliwać swoją sytuację.

Fredric Drum. Trzydzieści pięć lat. Kawaler, wierny dziewczynie, którą spotkał już ponad trzy lata temu; była wówczas poważnie chora, ale dzięki cudownej kuracji powróciła do zdrowia. Współwłaściciel niewielkiej, ale dość znanej restauracji „Kasserollen”, którą on i jego partner Tob, Torbjom Tinderdal, prowadzili na Frognerveien w Oslo. Jedynej norweskiej restauracji opatrzonej dwiema gwiazdkami w przewodniku Michelin. Jego pasją i wielką namietnością były dobre wina, uznawany był wręcz za jednego z najwybitniejszych norweskich znawców win. Te nieco dekadentkie zainteresowania równoważone były w pełni przez jego krytyczne, niekiedy wręcz opozycyjne poglądy społeczne; co najmniej czterokrotnie uczestniczył w demonstracjach w obronie domu młodzieżowego Blitz. On i Tob prowadzili restaurację, nie kierując się zyskiem, którym dzielili się po równo z uczniami, stażystami i pomocami kuchennymi. Mieli w karcie win Chateau Palmer 1975 za siedemset trzydzieści koron, co doprowadzało do rozpaczliwej konkurencji. Ponieważ w Norwegii bez problemu można było zdobyć surowce spożywcze najlepszej jakości, a wyobraźnia kulinarna zarówno Toba, jak i Fredrica zdawała się nie mieć granic, było czymś całkowicie naturalnym, że ich szalona kuchnia została nagrodzona gwiazdkami w przewodniku Michelin.

Jednak zainteresowania Fredrica nie ograniczały się jedynie do win i wykwintnych dań. W ostatnich latach zwrócił na siebie uwagę kręgów naukowych zajmujących się językami i symboliką ludów pierwotnych. Fredric Drum stał się ekspertem od kodów. Po tym, jak udało mu się rozwiązać tajemnicę dziwnego minojskiego pisma linearnego B, odrzucając jego wcześniejszą interpretację autorstwa Michaela Ventrisa, coraz częściej różni badacze zwracali się do niego z problemami, które wydawały się niemożliwe do rozwiązania. Studiował języki na uniwersytecie i był w trakcie pisania pracy doktorskiej na temat piktogramów i symboli prerunicznych, będącej analizą porównawczą pisma obrazkowego używanego przez ludy zamieszkujące okolice koła podbiegunowego. Praca zapowiadała się raczej kontrowersyjnie. Do Włoch udał się z trzech powodów: Po pierwsze, chciał przetestować włoskie wina, które zamierzał kupić do swojej restauracji; po drugie, otrzymał nadzwyczaj ciekawy list od pewnego profesora, niejakiego Donato d'Angelo, dotyczący nieczytelnych fragmentów skądinąd dość prostego tekstu, tak zwanego Codexu Ofanes, spisane na zwojach pergaminu znalezionych podczas niedawnych wykopalisk koło Ofanes. No i po trzecie * wcale nie mniej ważne * miał się spotkać z Genevieve, która przebywała w słynnej klinice doktora Vitolla Umbro. Dziwnym trafem klinika również znajdowała się w Ofanes, zaledwie rzut kamieniem od niedawno odkrytych wykopalisk. Tego rodzaju zbiegi okoliczności Fredric Drum niezwykle sobie cenił.

Teraz jednak nie był już wcale taki pewien, czy były one dla niego wyłącznie korzystne. Co prawda znajdował się w pobliżu Ofanes, ale jego sytuacja nie była najlepsza. Za kilka godzin zapadnie całkowita ciemność.

Znów zawołał, nie przejmując się efektem szklanego klosza. Krzyczał tak długo, aż zachryplę; dźwięki, które z siebie wydawał, można by uznać za beczenie kalabryjskiej kozy.

Był głodny. Burczało mu w brzuchu. Był też spragniony, nawet bardzo. Jakby tego wszystkiego nie było dosyć, odkrył, że uskok skalny, na którym się znajdował, był już zamieszkały. Miliony małych mrówek pełzały wokół niego i po nim. Podskoczył i otrzepał się, ale część żyłatek zdążyła już uterować sobie drogę pod jego koszulę i wędrowała teraz po jego ciele. Miał mrówki we włosach, na szyi, wszędzie. Co gorsza, kiedy odkryły, że nie był zachwycony odkrywczą pasją, jaką przejawiały wobec jego ciała, postanowiły zrobić wszystko, żeby nie dać się strzepnąć.

Najbliższe godziny nie zapowiadały się przyjemnie. Nie tak wyobrażał sobie swoją pierwszą noc w Italii.

Dobry humor, którym Fredric tryskał w ostatnich tygodniach, ulotnił się definitywnie.

A wszystko zapowiadało się tak ciekawie. W swojej skrzynce na pocztę znalazł trzy zachęcające listy.

Pierwszy przyszedł prawie miesiąc temu. Został wysłany z Instytutu Fizyki Praktycznej i Teoretycznej Uniwersytetu w Cambridge, w Anglii, i brzmiał następująco:

„Drogi panie Fredricu Drum,

Zgodnie z pana postulatem przeprowadziliśmy na polecenie doktora Stephena Pratta dogłębną analizę spektrograficzną krystalicznego przedmiotu o kształcie pięcioramiennej gwiazdy, średnicy czterech centymetrów i grubości dwunastu milimetrów.

Dotychczasowe badania pozwoliły wychwycić ciekawe zjawiska z dziedziny interferencji; promienie załamują się według pewnego wzoru, który niekiedy bywa nieprzewidywalny. W pewnych fragmentach wydaje się dochodzić do kumulacji energii w zależności od warunków świetlnych: wyniki kilkakrotnie powtarzanych prób, kiedy to promienie światła załamywały się pod różnymi kątami, przypominają w zadziwiająącym stopniu procesy zachodzące w laserze rubinowym.

Dlatego prosimy o możliwość zatrzymania przesłanego przedmiotu jeszcze przez jakiś czas w celu dalszych badań nad zasadą ruchu fotonów, który zdaje się mieć tu miejsce.

Z serdecznymi pozdrowieniami Dr James Wilson, asc. f.f."

Fredric od wielu lat podziwiał kryształową gwiazdę, którą znalazł kiedyś w Meksyku, na piaszczystym wybrzeżu Półwyspu Jukatańskiego, niedaleko świątyni Majów. Ozdobę tę, czy raczej amulet, zabierał ze sobą wszędzie; nie będąc przesądnym, miał jednak nieodparte wrażenie, że kryształowa gwiazda posiada niezwykłą moc i jest w stanie wpływać na niego i jego otoczenie. W końcu podjął decyzję i wysłał kryształ, by poddać go badaniom.

Bez ciepłego, gładkiego kawałka kryształu w kieszeni spodni czuł się nagi.

Drugi list nadszedł kilka dni później. Miał stempel pocztowy z Włoch i był opatrzony ciężką pieczęcią uniwersytetu w Rzymie. Był to list polecony i oprócz pisma od doktora Donato d'Angelo, zawierał też kopię fragmentu kodeksu z Ofanes. Jego treść była mniej więcej taka: „Signore professor (!) Fredric Drum

Został nam pan polecony przez... (tu następuje cały szereg nazwisk znanych osób i instytucji zajmujących się archeologią klasyczną oraz kilka zwrotów grzecznościowych)... do przeprowadzenia oceny pewnych fragmentów CODEXU OFANES, sprawiających wrażenie całkowicie hermetycznych. Gdyby nie Norwegowie, panowie Laksdal i Johanessen z Uniwersytetu w Bergen, i ich przełomowa metoda otwierania starych zwojów pergaminowych, CODEX OFANES najprawdopodobniej pozostałby dla nas niedostępny. Dlatego zapraszamy Pana do nas, by tu na miejscu spróbował pan odszyfrować fragmenty kodeksu... (dalej następowały zwroty grzecznościowe oraz szereg wskazówek natury praktycznej) ...

Z poważaniem (!) dr. Donato d'Angelo"

Fredric Drum poczuł się wielce zaszczycony. W następnych dniach po otrzymaniu listu Tob zauważył, że jego przyjaciel, mieszając w garnkach na zapleczu restauracji, zdawał się być nieobecny duchem, mamrotał pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa i zwroty.

Fredric postanowił zrobić sobie kilka tygodni wakacji i pojechać do Włoch. Podjęcie tej decyzji przyspieszył trzeci list. Od Genevieve.

Fredric poznał ją kilka lat temu w St. Emilion, we Francji, w dość niezwykłych okolicznościach, kiedy to uwikłał się w tragedię związaną z zatrutymi winami. Genevieve była córką znanego właściciela zamku i studiowała oenologię w Bordeaux. Padła ofiarą zemsty i została otruta. Skutki były tragiczne: dziewczyna doznała rodzaju porażenia mózgowego i straciła zdolność komunikowania się ze światem zewnętrznym. Dłuższy czas przebywała w różnych szpitalach, jej stan powoli się poprawiał, ale postępy nie były zadowalające. Przypadek Genevieve Brisson uznano za beznadziejny. Wtedy jej ojciec nawiązał kontakt z doktorem Umbro, światowej sławy włoskim specjalistą od afazji i autyzmu. Posługując się terapią dźwiękową i muzyką, osiągał niezwykle wyniki. Powszechnie mówiono, że w klinice Vitolla Umbro w Ofanes dokonywano prawdziwych cudów.

Także Genevieve dane było doznać cudu. Po kilku tygodniach spędzonych w klinice znów była w stanie rozmawiać sensownie ze swoimi najbliższymi; uśmiechała się, a nawet śmiała. Doktor Umbro uważał, że w pełni odzyska zdrowie. Nigdy nie zapomniała Fredrica. Listy, które regularnie mu wysyłała, zawierały coraz więcej treści. W ostatnim nawet go do siebie zaprosiła, pisząc:

„... pamiętam cię, jakbyśmy wczoraj się rozstali; tęsknię za tobą i chętnie spędziłabym z tobą kilka dni w słonecznej Italii. Może będziemy mieli okazję wypić razem kieliszek dobrego wina? Minęły trzy lata, ale cały czas byłeś obecny w otaczającym mnie mroku”. Czytając list, Fredric tak się ucieszył, że niemal się popłakał. Los Genevieve kładł się cieniem na ostatnie trzy lata jego życia. Teraz nareszcie zniknie.

31 lipca rano wsiadł do samolotu na lotnisku Fornebu w Oslo i poleciał do Rzymu. Potem udał się liniami krajowymi do Catanzaro. Tam, drżąc z podniecenia i tęsknoty, czekał kilka godzin na autobus do Ofanes * to znaczy prawie do Ofanes.

Fredric Drum był zrozpaczony. Pewnie zgnije na tym swoim skalnym występie, umrze z głodu i z pragnienia, a wtedy mrówki objedzą jego kości i porzucą je, by prażyły się w słońcu. Zapadł zmierzch.

Sprawdził zawartość swoich kieszeni. Była nader skromna. Portfel z czekami podróznymi i liram. Kluczyk do walizki. Kartka z adresami do różnych handlarzy win w regionie. Jednorazowa zapalniczka marki Bic. Dwa kawałki gumy do żucia bez cukru. Guzik niewiadomego pochodzenia. I to wszystko. Krzyczał, beczał w stronę morza:

* Święci Strażnicy Skalnych Ciemności! Giganci i Asowie Północy zemszczą się na was okrutnie! Udręczone dusze Tar*pejusa i Aegeusa, przybądźcie i wyciągnijcie mnie stąd! Do góry, do góry, do góry! Dedalu, Ikarze, użyczcie mi skrzydeł! Labrys i Ankh! Dajcie mi znak, jakiś znak, znak!

Krzyki unosiły się chwilę w powietrzu i opadały na powierzchnię wody jak poszarpane szmaty. Fredric zerwał z siebie koszulę, strząsnął z niej mrówki. Zaatakował paznokciami gładką skałę, ale nie udało mu się pokonać nawet dziesięciu centymetrów.

Ciemność wokół niego gęstniała, powietrze rozbrzmiewało monotonnym śpiewem miliardów niewidzialnych cykad i nieregularnym szumem morza.

* Spokojnie, zastanów się. Musisz zachować zdrowy rozsądek. Nie raz byłeś już w opresji i zawsze sobie radziłeś! Pomyśl o restauracji, o tych wszystkich pysznych daniach, które Tob właśnie przygotowuje. Czujesz ich zapach? * przemawiał do siebie. Próbował pójść za radą

wewnętrznego głosu, ale czuł, że go zawodzi. Prowadził go do półmiska z jedzeniem, który nie był w jego zasięgu.

Co Tob powiedziałaby na to wszystko? Tob, jego przyjaciel filozof. Zapewne przetarłby swoje okulary aptekarza z grubymi szklami i rzekł: „Nic, co jest bez sensu, nie może się bezsensownie skończyć. Historia nie jeden raz już to wykazała”. Słowa pocieszenia. Jego sytuacja była w najwyższym stopniu bezsensowna. Czy dlatego nie mogła się bezsensownie zakończyć?

Wypatrywał jakiegoś światła na morzu. Nic.

Niewiele mógł zrobić. Było ciemno, obezwładniająco ciemno; znalazł jakieś miejsce tuż przy skalnej ścianie. Postanowił nie zważać na mrówki. Niech sobie pełzają, badając nową przestrzeń, która nagle znalazła się na ich półce.

Musiał się chwilę zdrzemnąć. Kiedy zerknął na wskazówki zegarka, okazało się, że jest wpół do czwartej. Wkrótce zacznie świtać. Wstał, sztywny i drżący, i zaczął się wpatrywać w mrok. Poczul chłodną, orzeźwiającą bryzę; nie był już tak spragniony jak wczoraj wieczorem. Stał, milcząc, i patrzył przed siebie. Pół godziny, godzinę, dwie, trzy. Zobaczył purpurowe promienie na wschodzie. Nie poruszył się, dopóki słońce nie pokazało się nad linią wody. W ostatnich godzinach w jego umyśle zrodził się szalony plan. Uznał, że jest w stanie spuścić się na dół, do samej wody, i popłynąć wzdłuż brzegu, wzdłuż skały, która przecież musiała się gdzieś skończyć.

Teraz, kiedy znów zaświtał dzień, podpełzł do brzegu półki i spojrzął w dół. Ryzykując połamanie kości, był w stanie zsunąć się ze swojej półki na występ skalny, który był w połowie drogi do powierzchni morza. Ale na tym koniec. Z tego, co widział, wynikało, że ostatnie pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów to prostopadłe urwisko. Skok do morza z takiej wysokości oznaczałby pewną śmierć.

A jednak wraz ze światłem dnia pojawił się optymizm. W ciągu nocy mrówki okazały się mniej dokuczliwe, i chociaż piekła go skóra, nie było tak źle. Pracował nad kolejnym planem: Fredric Drum nie poddaje się tak łatwo.

Zaczął systematycznie wrywać trawę, odkładając na bok spore kępki. W końcu dotarł do skalnego podłoża. I znalazł to, czego szukał: ostre, kanciaste kamienie odpowiedniej wielkości.

Zaczął obrabiać nimi ścianę. Najpierw na wysokości metra, żeby uzyskać oparcie dla stóp. Walił, uderzał w skałę, aż poleciały iskry i zapachniało spalenizną. Po dwóch godzinach udało mu się wykuć podpórkę, na której ledwie zmieściłyby się palce.

Wycieńczony, głodny i spragniony, musiał się położyć, żeby chwilę odpocząć. Leżał pół godziny, potem zaczął od nowa. Tym razem usiłował odkuć kawałek skały tak wysoko, jak tylko był w stanie sięgnąć. Po jakimś czasie mu się udało, miał już czego się chwycić. Oparł lewą stopę na wcześniej przygotowanej podpórce i spróbował się podciągnąć. Zawisł na skalnej ścianie. Wyciągnął do góry prawą rękę; wciąż brakowało mu około metra do krawędzi i ocalenia.

Dochodziło wpół do trzeciej, a jemu udało się wykuć w skale trzy podpórki. Jedną pod prawą stopę, jedną pod lewą i jedną, której mógł chwycić się ręką. Był całkowicie wykończony. Długo odpoczywał.

Najgorsze wciąż jeszcze było przed nim. Teraz bowiem musiał, stojąc na wykutych już podpórkach, wybić jeszcze jedną, możliwie jak najwyżej. W takiej pozycji nie mógł jednak pracować. Cały czas obsuwał się w dół, nie był w stanie uderzać w skałę z odpowiednią siłą. Jedynie lekko ją zarysował.

O szóstej się poddał. Nie miał już siły. Położył się i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Był spieczony od słońca; popękanymi, suchymi ustami wyszeptał kilkanaście nazw znanych i cenionych win. Poza tym bez szczególnego zaangażowania wyrecytował kartę dań „Kasserollen” z dnia, w którym wyjechał.

Codex Ofanes. W samolocie Fredric miał czas, żeby dokładnie przemyśleć wszystko, co wiedział o tego rodzaju antycznych dziełach.

Historia była stosunkowo nowa. Kilka lat temu dwóch Norwegów stało się niemal bohaterami narodowymi Włoch. Chodziło o dwóch badaczy, Laksdala i Johanessena z Bergen, którzy wymyślili i zaczęli stosować metodę umożliwiającą rozwinięcie starych zwojów papirusu, niekiedy niemal całkowicie zwęglonych. W bardzo przemyślny sposób rozwijali zwoje, uznane wcześniej przez archeologów za zniszczone i niemożliwe do odzyskania, tak że pismo stawało się widoczne. Kiedy rozpoczęto prace wykopaliskowe wokół Ofanes, w jednym z pomieszczeń znaleziono duże ilości nadpalonych zwojów. Zawezwano Norwegów i sensacja stała się faktem.

Badacze sprawnie rozwinęli zwoje. Ukazało się pismo: greka i łacina. Zwoje pochodziły z drugiego i trzeciego wieku przed naszą erą. Podczas czytania okazało się, że zawierają wywody filozoficzne, historię filozofii, a także opisy różnych szkół myśli antycznej. Zdobyta wiedza była tak rozległa, że część starożytnej historii filozofii trzeba było pisać na nowo. Laksdal i Johanessen trafili na pierwsze strony włoskich gazet, zyskując rozgłos i sławę. W norweskich gazetach ukazał się jedynie niewielki artykuł w popołudniówce „Aftenposten” i nieco większy w lokalnej „Bergens Tidende”.

Zwoje z Codex Ofanes były według profesora Donato d'Angelo w większości łatwe do odczytania. Jedynie pewien fragment w grece zawierał kilka bardzo szczególnych wierszy. Pojedyncze słowa były zrozumiałe, jednak zdania pozostawały niejasne. D'Angelo przychylił się do teorii, że mamy tu do czynienia z jednym z najbardziej niejednoznacznych i mało znanych rozdziałów greckiej tradycji filozoficznej: z filozofią hermetyczną.

Wśród naukowców zajmujących się filozofią antyku od dawna krążyły teorie, które zakładały istnienie szkół wywodzących się od pitagorejczyków. Wykształcili oni rodzaj tajemnej, magicznej i zamkniętej filozofii, która z czasem zyskała duże znaczenie. Istniały pewne poszlaki, nie było jednak żadnych

wyraźnych dowodów. Teorie dotyczące filozofii hermetycznej uznano za spekulacje. Do czasu. Codex Ofanes zawierał szereg fragmentów, które były zdecydowanie intrygujące. Fredric Drum czytał informacje, które przesłał mu Dona*to d'Angelo, z dużym zainteresowaniem. Zabrał ze sobą w podróż bogaty wybór dzieł omawiających kierunki myśli antycznej, mając nadzieję, że znajdzie czas, by je zgłębić. Podczas lotu zajmował się głównie studiowaniem kopii kodeksu, a raczej jego małego fragmentu, który został dołączony do listu. Grekę odczytał bez kłopotu. Tekst zdawał się co prawda niejasny, ale słowa nie pozostawiały wątpliwości. Jednak nagle w środku tekstu, bez żadnego wcześniejszego wytłumaczenia, pojawiły się znaki, które były całkowicie obce. Fredric nigdy dotąd z czymś takim się nie spotkał.

Kiedy je zauważył, przeszedł go lekki dreszcz. Co one znaczą? Czy dadzą się odczytać? W zeszycie przeznaczonym wyłącznie do tego zadania spisał wstępne tłumaczenie fragmentu tekstu. Codex Ofanes, fragment 233 XII, brzmiał tak:

„... Damippos wystawił równie wiele pochodni, jak (zwykle wystawiano) w Odeonie podczas obchodów święta Apaturie; miało być tak, jak zlecił tofratriene uczeń Simmiasa, Croton Mędrzec. Pieczęć Hermetyka, z Hefajstosem, Hekate i Persefoną, z przesłaniem najświętszego Cylotiana, jak zostało ono przedstawione w Rytuale Śmierci, i jak jest... (tutaj następują cztery wiersze dziwnych znaków, pismo hermetyczne?)... Hermetyk Chiron powiedział, że jest (to) niczym Szept Śmierci dla wiarołomnych w wiejskich osadach dionizyjskich. Synedrium jest Umbilicus Telluris (łacina?), tak jak Odeon pilnuje Harmonii (po) wsze czasy...”.

Fredric Drum cieszył się. Cieszył się, że w końcu będzie mógł zabrać się do pracy. Ze zdrową Genevieve Brisson u swego boku pokona każdą przeszkodę. Tak sądził, zanim samolot wylądował w Catanzaro.

Żadnych trudności.

Fredric leżał i majaczył. Po jego twarzy chodziły mrówki; wdierały się do nosa, uszu, oczu. Nawet ich już nie czuł. Nie zauważył też, że znów zaczął zapadać zmrok i że daleko na morzu pojawiło się niczym małe kropeczki całe mnóstwo maleńkich łódek. Rybacy. Tylko że dzisiaj nie wypływali na połów. Dzisiaj był pierwszy sierpnia. Camogli. Uroczystości ku czci Madonny Stella Mari.

Fredric kichnął głośno i nieco otrzeźwiał. Z nosa poleciały mu mrówki; uniósł się i usiadł. Był już prawie mrok; poczuł smutek na myśl o kolejnej nocy, którą przyjdzie mu spędzić na skalnej półce.

* Wody * jęknął cicho, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze jest w stanie wydać z siebie jakiś dźwięk. Czy to jakieś świetlne punkty tańczą mu przed oczami? Nie, nie tańczą. Są nieruchome. Kilkanaście jasnych punktów. Na morzu. Czyżby paliły się tam jakieś światła? Wstał i wychylił się ze skalnej półki. Zamrugał w ciemności. To były światła; tam musiały być łodzie.

Łodzie!

Teraz widział je wyraźnie: cały szereg światełek kołyszących się na falach. To płonął ogień. Na morzu były łodzie, a na nich palił się ogień.

Początkowo niczego nie rozumiał. Łodzie z ogniem na pokładzie? Czyżby Hellenowie przybyli odbić Kalabrię? Może zasnął, umarł i obudził się w czasach antyku? Dopiero po chwili Fredric Drum zrozumiał, że to procesja łodzi rozpoczynająca, a może kończąca obchody camogli. Tak to się właśnie odbywało, czytał o tym. W tym dniu wypływano w morze łodziami, na których palono ogniska. Zapewne były to łodzie z okolicznych wiosek; naliczył dziesięć, dwadzieścia, może nawet trzydzieści ognisk.

Nagle Fredric Drum zaczął działać.

Sam się zdziwił, że był w stanie gwizdać popękanymi wargami Seemann, komm bald wieder, zbierając jednocześnie kępy porozrzucanej wokół suchej trawy. Powyrywał ją, szukając kamieni. Teraz ułożył stertę trawy na brzegu skalnej półki i podpalił. Na szczęście jego zapalniczka działała. Wkrótce ze skalnego występu zaczął się unosić gęsty dym, buchnęły kilkumetrowe płomienie.

Fredric kasłał i prychał, tańcząc wokół ogniska. Cień na skalnej ścianie powinien być widoczny z odległości kilku kilometrów. Ten, kto go zauważy, pewnie porządnie się przestraszy. Duchy tańczące na skalnym występie!

Uspokoił się i zaczął się zastanawiać. Stanął nieco za ogniskiem, tak żeby cień, który padał na ścianę, miał około trzech metrów wysokości. Uniósł jedną rękę i zaczął rysować w powietrzu litery. Powoli, spokojnie: zawijas, kółko i znów zawijas: SOS.

Oby tylko nie byli przesądni! Oby nie pomyśleli, że to znak, że tam wysoko na skale zdarzył się jakiś cud! Albo że coś im się przywidziało, że to jakaś nocna ułuda będąca wynikiem zbyt hucznych obchodów camogli. Nie, pomyślał, rybacy to rozsądni ludzie.

Dołożył trawy do ognia i nadal rysował SOS. Nagle zobaczył siebie takim, jaki był: trafił do starożytności, był w jaskini Platona, był cieniem, idolaie, idea, obrazem czegoś, co istnieje niezależnie od świata zmysłów. Był po prostu Idolaie Drum! Za nim, na skalnej ścianie, był Idolaie Drum. Ale przed ogniskiem stał Fredric Drum, ten prawdziwy, który według Platona był nie do pojęcia zmysłami.

Miał nadzieję, że jednak był widzialny. Że rybacy nie rozczytywali się w Platonie i nie doszli do nieco wątpliwego filozoficznego wniosku, że to właśnie cień na skalnej ścianie jest rzeczywisty.

SOS. SOS. Wypisywał SOS do momentu, aż ognisko zgasło, bo na skalnej półce zabrakło trawy.

W napięciu patrzył w ciemność, wypatrywał ognisk, których nie widział, kiedy na półce płonął ogień. Ale ognisk nie było. Na morzu panowała ciemność.

Spojrzał na zegarek. Było chyba parę minut po dziewiątej.

Jak długo trwało jego przedstawienie? Dziesięć minut, pół godziny, godzinę?

Był pozbawiony poczucia czasu, niemy.

Ogniska znikły.

Czy rybacy go dostrzegli? Czy zrozumieli, że tutaj jest człowiek potrzebujący pomocy?

Żeby chociaż mógł się czegoś ucześcić, czegoś konkretnego, czegoś, co pozwoliłoby mu mieć nadzieję, pozwoliłoby wierzyć, że cierpienia wynikające z tej absurdalnej sytuacji wkrótce zamienią się w kojącą wędrówkę między kolumnami z marmuru pod sklepieniem świątyni Afrodyty, gdzie wzdłuż ścian stoją czary z winem, a unosząca się woń mirry i balsamu daje duszy spokój i ukojenie. Gdzie Zły Plan, kabaliści, Rycerze Ciemności, sataniści, Władcy Długich Noży, Człowiek*Wół, Tytani Labiryntu i egzorcyci zostali przegnani do głębokich piwnic i zastąpieni dźwiękami tamburynu tancerek, Słodkimi Owocami Dobrych Matek, łagodnym szumem muszli, głosem szefa kuchni podczas bachanaliów i zjazdu sommelierów, Ciepłym Białym Ogniem i Pierzyną Wielkiego Łoża.

Gwiazda z kryształu. Gdyby chociaż ją miał w kieszeni. Czuł się nagi.

Siedział, a raczej na wznak leżał, oparty o skalną ścianę. Nie spał, ale też nie czuł się do końca rozbudzony. Nie marzył. Był niczym, znajdował się w jakimś świetle cieni. W nim mógł tańczyć z Genevieve aż do wschodu słońca. Unosić się nad powierzchnią morza, szybować nad falami.

Trzech policjantów zrzuciło go ze zbocza, zepchnęło w otchłań. Potem wciągnęli go na górę i znów pchnęli w dół. Stoczył się w przepaść. Ktoś wciągnął go do góry. Znowu ktoś go popchnął. On znów upadł, stoczył się. Do góry, w dół. Góra, dół. Góra, dół. Góra, dół. Góra, dół. Policjanci się uśmiechali. Był jak kamień. Kamień Syzyfa. Który się toczył. Góra. Dół. Góra. Dół. Tytani uśmiechali się, trzygłowy tytan w mundurze. Śmiali się, wszystkie głowy się śmiały, kiedy on spadał i zaczynał się toczyć.

Nagle Fredric się podniósł. Był mokry od potu, miał spuchnięty język, czuł, jakby go było co najmniej dwa razy więcej. Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Głośny dźwięk! Jakiś szum, tak głośny, że niemal ogłuchł.

I wtedy zobaczył ostry promień światła omiatający skałę na prawo od niego. Światło padało z helikoptera, który wisiał w powietrzu dwadzieścia, trzydzieści metrów nad nim. Widział go wyraźnie. Był biały, z czerwonym krzyżem na ogonie.

To nie był żaden wymagany anioł. To był prawdziwy helikopter.

Zaczął się cicho śmiać. Ostrożnie uniosł jedną rękę. Nie widzieli go. Stał w ciemności.

Światło padało nad nim, pod nim, w bok od niego. Nagle został oślepiiony ostrym promieniem i upadł na półkę.

Z helikoptera ktoś zaczął wołać, machał do niego ręką, gestykulował:

* La! Un signore! Corda, rapido!

Fredric zobaczył sznur, który został spuszczonej z helikoptera. Wiedział, co ma robić. Bez problemu przywiązał się do szelek, sprawdzając dwa razy rzemienie, zanim dał ręką znać, że jest gotowy. Wtedy zaczęto ciągnąć go w górę.

Na pokładzie helikoptera położono go na noszach. Fredric wskazał na butelkę. Pił. Spumante. Zwymiotował. Pił dalej i zaczął się uśmiechać. Wszyscy mówili jednocześnie, wypytywali go o wszystko. Fredric pokręcił głową i zamknął oczy. Potem uniosł się nieco i powiedział cicho, ale wyraźnie:

* Signores. Mi scusi. Grazie. Możecie łaskawie dowieźć mnie do Ofanes. Na komisariat. Perfanore.

Kilka minut później, za kwadrans druga w nocy, ratunkowy śmigłowiec wylądował na pustym rynku małego miasteczka Ofanes, tuż obok komisariatu.

Fredric wysiadł ze śmigłowca o własnych siłach, podszedł do drzwi i zapukał. Wewnątrz dał się słyszeć głos.

Fredric zaprzecza, jakoby posiadał jakąkolwiek wiedzę dotyczącą kalabryjskiego sokoła, raczy się kieliszkiem Taurasi Riserva 1982 i pogrąża się w myślach

Fredric Drum otworzył drzwi i wszedł do małego pokoju, w którym stało duże biurko z aparatem telefonicznym na blacie oraz tuż obok drzwi krzesło i ława. I nic poza tym. Był to miejscowy komisariat.

Na krześle siedział tęgi, niski mężczyzna, łysy, o czerwonych, zmęczonych oczach. Jego ubranie nosiło ślady pośpiechu, nie zdążył dopiąć koszuli, a na nogach, które wystawały spod biurka, miał kapcie. Trudno zresztą spodziewać się czegoś innego, był środek nocy.

Fredric zauważył, że szef policji nie jest w najlepszym humorze, sam zresztą był w podobnym nastroju. Nie miał siły stać, usiadł więc na ławce, nie pytając o pozwolenie.

* Przeklęty złodziej jajek! * usłyszał nagle. Dość konkretny początek rozmowy. Fredric potrząsnął głową, żeby się do*budzić. Dobrze usłyszał?

* Si, signore straniero, złodziej jajek! Myśli pan, że nie wiemy, czego pan szukał na tych skałach?! Cha, tylko w tym roku udało nam się przyłapać tam Niemców, Holendrów, Szwedów i Duńczyków. Szukali jajek rzadkiego gatunku sokoła, naszego falco calabri, któremu grozi wymarcie, rozumie pan? * zakończył szef policji. Zapalił papierosa i zaczął gwałtownie kasłać.

* Signore poliziotto * zdołał jedynie wyszeptać Fredric. Nagle poczuł się pusty; nie miał siły niczego tłumaczyć.

* Przybywam do Ofanes w innych zamiarach, niż pan sądzi. Zostanę tu dwa tygodnie. Mam zarezerwowany pokój w „Albergo Anziano Ofani”, jedynym miejscowym hotelu. Jeśli pan sobie życzy, wszystko panu jutro wytłumaczę, to znaczy jeśli znajdę walizkę...

* Najpierw pan tu podpisze! * wykrzyknął niski, tęgi jegomość, podskakując na krześle. Na biurku pojawiła się kartka papieru.

Fredric nie miał siły czytać, chwycił pióro i podpisał się nieczytelnie.

* Passaporto! * warknął szef policji. Fredric pokręcił głową.

* W walizce * powiedział. * Wrócę tu jutro * dodał i ruszył w stronę drzwi. * Może mi pan wytłumaczyć, jak dotrzeć do „Albergo Anziano Ofani”?

Policjant wypchnął go na ulicę i wskazał tłustym palcem mroczny cień na niewielkim wzgórzu, kilkaset metrów za wylotem jedynej w mieście ulicy.

* Buona notte * podziękował Fredric i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie w ciemność.

Podczas krótkiego spaceru do budynku, który miał być hotelem, musiał trzy razy odpoczywać. Nogi trzęsły mu się jak galareta. Był w stanie myśleć jedynie o tym, żeby coś zjeść i się napić. Był okrutnie spragniony. W końcu dotarł do drzwi. Budynek był pogrążony w ciemnościach, nigdzie nawet promyka światła. Zauważył, że musi to być bardzo stary budynek. Długo szukał, zanim znalazł coś, co mogłoby posłużyć za dzwonek: na sznurku wisiał mały szyld, na którym napisano, że trzeba pociągnąć.

Usłyszał, że gdzieś wewnątrz budynku odezwał się dźwięk dzwonka. Czekał. Nic się nie wydarzyło. Znow pociągnął mocno za sznurek. I tak kilka razy. W końcu w jednym z okien zapaliło się światło; usłyszał jakieś szuranie i drzwi zostały uchylone.

Fredric zobaczył starszego mężczyznę w szlafroku. Miał ciemną brodę, która sprawiała, że wyglądał jak prawosławny biskup, a na głowie zabawną jasnoniebieską czapeczkę.

Przestraszony przyglądał się przybyszowi.

Fredric przedstawił się i wytłumaczył, że od przedwczoraj powinien tu czekać na niego pokój, że zamierza zostać tutaj dwa tygodnie, że niestety uległ drobnemu wypadkowi i że bardzo mu przykro, że przybywa o tej niezwykłej porze.

Mężczyzna, który mógł mieć między czterdzieści a sześćdziesiąt lat, nagle się uśmiechnął i szeroko otworzył drzwi. Dał Fredricowi znak ręką, żeby wszedł.

* Si, signore * powiedział. * Czekaliśmy na pana. Piękna młoda dama niepokoiła się. Przyniosła tu pana walizkę z dworca autobusowego. Jest pacjentką w klinice signore Umbro, prawda?

Fredric przytaknął i odetchnął z ulgą. Sytuacja zdawała się klarować. Spodziewano się go w hotelu, walizka na niego czekała, podobnie jak Genevieve.

* Signore Gianfranco Garrofoli * przedstawił się właściciel hotelu, ściskając mu mocno dłoń.

* Wygląda pan na wyczerpanego. Może chce pan coś zjeść i napić się czegoś, zanim zaprowadzę pana do pokoju?

Fredric przystał chętnie na jego propozycję i został poproszony do małego saloniku z ciężkimi meblami, gdzie unosił się zapach kamfory i pasty do podłogi. Oświetlenie było oszczędne.

Wetknięto mu do ręki książkę gości i gospodarz zniknął. Zaczął się wpisywać, kiedy z wnętrza domu doszły go krzyki i wydawane donośnym głosem polecenia; jakiś rozłoszczony kobiecy głos usiłował protestować, ale szybko został zdominowany przez niski bas gospodarza.

Fredric zaczął kartkować księgę gości. Był tu jedynym gościem. Poprzedni opuścili hotel ponad tydzień temu. Turyści rzadko tu zaglądają, pomyślał. Prędzej kolekcjonerzy jajek. Falco calabris.

Chuda, pomarszczona kobieta w czarnym fartuchu włożonym na białą koszulę nocną podała mu chleb, szynkę, melona i jajko. A także duży kubek wody i świeżo otworzoną butelkę wina. Nie uśmiechała się. Wzdrygnęła się, kiedy signore Garrofoli zawołał do niej:

* Pokój, Andreo. Musisz rozpaścić presten, kiedy nasz gość będzie jadł. Nie widzisz, że wygląda na zmęczonego? Presten, słyszysz?

Fredric wkładał do ust małe kawałki białej bułki. Popijał wodą. Wziął kawałek szynki, jajko. Jadł powoli, długo przeżuwał. Presten. Presten? Co to może znaczyć? Nie miał siły się zastanawiać; wkrótce miał się położyć do łóżka, zasnąć i śnić pod miękką pierzyną. Burczało mu w brzuchu, ale żołądek przyjmował pokarm. Odważył się nawet wypić pół kieliszka wina. Taurasi Risewa 1982 przeczytał na nalepce. Winogrona galioppo, tyle wiedział. Dziwne winogrona, dziwne wino.

Powąchał, potrzymał wino chwilę w ustach i wypił. Było dobre. Nadzwyczaj dobre.

Po pierwszym kieliszku wina żołądek się uspokoił. Fredric poczuł, jak miłe ciepło rozchodzi się po jego ciele, i zmrużył oczy.

* Signore Drum? * spytał gospodarz, stając obok niego. * Nie może pan tu spać. Pokój jest gotowy. Proszę ze mną.

Fredric dołał sobie wina, wziął kieliszek do ręki i podążył za swoim gospodarzem. Weszli stromymi schodami na drugie piętro. Tutaj korytarz był tak wąski, że musieli iść pojedynczo. Wszędzie panował półmrok. Signore Garrofoli otworzył drzwi.

* Proszę, signore. Wszystko jest gotowe. Pewnie czuje pan wilgoć, ale to zniknie, jak tylko presten się rozpaści. Pańska walizka już tu jest.

* Grazie.

* Łazienka jest na końcu korytarza. Dopilnuję, żeby nikt panu nie przeszkadzał jutro do jedenastej. Życzy pan sobie śniadanie? * spytał gospodarz, wycofując się w stronę drzwi.

* Nie, dziękuję, signore. Bez śniadania * odpowiedział Fredric, stawiając kieliszek z winem na nocnym stoliku.

Gospodarz wyszedł.

Fredric Drum przetarł oczy. Miał wrażenie, jakby cofnął się

w czasie. W życiu nie widział takiego pokoju! Łóżko, ogromny potwór z baldachimem i słupkami sięgającymi aż do sufitu, stało na środku pokoju. Pod materacem, w bezpiecznej odległości od podłogi, łóżko posiadało dodatkowe podwieszenie, rodzaj rusztu. Na nim stała rozżarzona rynienka; przyjemne żółte światło rozchodziło się po całym pokoju. A więc to jest „presten"! Nieco się obawiał położyć na tym „gorącym" łóżu, ale wytłumaczył sobie, że to na pewno jest stara, sprawdzona metoda.

Pokój miał ściany z grubo ciosanych kamieni. Były w nich wnęki i półki, na których stały dzbanki i różne miseczki, a wysoko w górze widać było niewielkie zakratowane okienko. Obok łóżka stał monstrualny nocny stolik, bogato rzeźbiony, co mogło świadczyć o jego średniowiecznym pochodzeniu. Poza tym była też komoda, szafa, kilka krzeseł i lustro. Wszystko w jednolitym ciężkim, starym stylu.

Uznał, że pewnie jest to klasztorna cela przerobiona na hotelowy pokój. Czyżby „Albergo Anziano Ofani" było pierwotnie klasztorem? Nie miał siły nad tym się zastanawiać, zdjął ubranie i wszedł pod kołdrę, a właściwie pod dwa wełniane koce obciążnięte prześcieradłem. Pachniało wilgocią, ale wkrótce od spodu łóżka zaczęło się rozchodzić przyjemne ciepło. „Presten" działał.

Opróżnił kieliszek, zgasił naftową lampę na stole i zasnął, zanim zdążył przyłożyć głowę do poduszki.

Fredric Drum obudził się, czując na twarzy promienie słońca. Rozejrzał się zdziwiony. Przez moment był całkowicie zdezorientowany. Nie bardzo wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje. W końcu jednak się rozbudził.

Usiadł na łóżku. Słońce wpadało przez szparę w ścianie i teraz wyraźnie widział pokój. Wcale nie był taki ponury, jak mu się wydawał w nocy. Był całkiem przyjemny. Staromodnie urządzone, ale przyjemny. Nie miał nic przeciwko temu, żeby mieszkać w pokoju urządzonym przedmiotami z muzeum. Tworzyły specyficzny klimat. Sprzyjający zadaniu, które przed nim stało.

Zaczął się drapać. Na całym ciele miał małe czerwone ranki. Mrówki zostawiły zatem ślad. Poza tym jednak czuł się wypoczęty, ba, wręcz rześki.

Zanim wstał, zdążył jeszcze, leżąc w łóżku, przetłumaczyć łacińską sentencję umieszczoną w ramce nad komodą. Brzmiała dziwnie, mniej więcej tak: „Dobry Spoczynek dla Wtajemniczonego, a znajdujących się na granicy tego stanu niech wprowadzi w sen anamneza Plutarcha".

Wstał, znalazł łazienkę i wziął poranny prysznic. Ogolił się i dokładnie obejrzał swoją twarz. Abstrahując od ukąszeń mrówek, prezentował się wcale nie najgorzej.

* Genevieve, Genevieve * mruczał pod nosem, wcierając w skórę płyn po goleniu. Czuł, że serce zaczyna mu mocniej bić. Czy wreszcie dane mu będzie znów spotkać swoją ukochaną? Nagle Fredric spoważniał. Nie mógł przecież powiedzieć jej, co naprawdę się wydarzyło; nie chciał jej denerwować. Musi coś wymyślić. Jakaś zabawna, prosta historia.

Anamneza Plutarcha. Anamneza, pamięć. Zdjął ramkę ze ściany i położył na komodzie, tak żeby nie widzieć napisu. Cytat nie przypadł mu do gustu.

Znalazł w walizce czyste ubranie. Wziął ze sobą paszport i papiery, które mogły potwierdzić, po co przyjechał tu, do Ofanes. Złodziej jajek! Pokaże szefowi policji! Mowa mu wróciła, znów myślał trzeźwo.

W świetle dnia budynek bardziej przypominał hotel. Pozdrowił radośnie siedzącego w recepcji signora Garrofoli, który odwzajemnił jego uśmiech.

* Dzwoniła francuska mademoiselle * powiedział. * Bardzo się ucieszyła, kiedy powiedziałem jej, że już pan dotarł. Prosiła, żeby przekazać, że ma wolne całe popołudnie i cały wieczór i proponuje spotkanie w trattorii na rynku o trzeciej.

Fredric poczuł, że się rumieni. Rumieni się! Jako nastolatek często robił się czerwony na twarzy i wtedy zaczynał nerwowo szukać w kieszeniach czegoś, czego tam oczywiście nie było. Podziękował i zaczął cofać się w stronę drzwi, na zewnątrz, do słońca.

Ofanes.

Miasteczko leżało skąpane w przedpołudniowym słońcu. Zegar na białej kościelnej wieży wybił jedenastą. Miasteczko. To nawet nie było miasteczko. Osiem, może dziesięć domków wokół ryneczku i kościoła. Hotel, średniowieczny budynek, w którym mieszkał, leżał na jego obrzeżach, na niewielkim wzgórzu, gdzie stare drzewa oliwne o poskręcanych pniach dawały trochę cienia pasącym się tam kozom. Na wschód od domków żwirowa ścieżka prowadziła w dół, do niewielkiego pomostu, przy którym cumowało pięć, może sześć rybackich łodzi. Po obu stronach ścieżki rosły drzewa oliwkowe i winorośl.

Tuż obok hotelu, po drugiej stronie niewielkiego wzgórza, stał większy budynek bez dachu. Był zbudowany w tym samym stylu co hotel, ale był bardzo zaniedbany.

Fredric zatrzymał się i zaczął mu się przyglądać. Za budynkiem, u stóp niewielkiego, ale dość stromego zbocza, leżał jeszcze jeden budynek, przypominający stary dwór. Duży, dobrze utrzymany, z dwoma skrzydłami okalającymi patio, z porządną bramą wjazdową, nad którą widniał napis: „OSPEDALE VITOLLO UMBRO”. To był ten budynek! To tutaj Genevie*ve przesłała udaną kurację.

Nieco na lewo od szpitala, który nosił imię światowej sławy lekarza, można było dojrzeć teren, gdzie najwyraźniej prowadzono wykopaliska archeologiczne. Tu i ówdzie sterczały resztki niedawno odkrytych ruin. Obszar ten ciągnął się niemal do domków w miasteczku. Więc to tutaj Codex Ofanes przeleżał w ukryciu niemal dwa tysiące lat. Fredric poczuł mrowienie w piersi.

Jego wzrok powędrował w kierunku stromego zbocza. Między winoroślami wila się dróżka prowadząca na szczyt, który unosił się dobre sto metrów ponad miasteczkiem. Tam, na samej górze, leżał zamek! Najwyraźniej był zamieszkały, bo z wieży powiewała flaga, a na murze ktoś rozwiesił pranie.

To był piękny widok. Ofanes od razu zyskało w oczach Fre*drica. „Można by tu wybudować dom i zamieszkać”, zacytował dość swobodnie słowa wielkiego wieszczka i kichnął kilka razy. Ruszył w stronę rynku. Oprócz kościoła i komisariatu był tam też sklep z mięsem i drugi, z towarami żelaznymi, kafejka z małymi stolikami na chodniku i jeszcze parę mniejszych sklepików. Wszędzie bawiły się dzieci, słychać było krzyki, w kilku miejscach stały zaparkowane skutery. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno.

Fredric usiadł przy stoliku w trattorii. Zamówił espresso, rogaliki przypominające croissanty i butelkę niegazowanej wody. Właściciel pozdrowił go uprzejmie i przyjął zamówienie. Kiedy Fredric zaczął jeść, przyglądał mu się długo i uważnie.

Przy sąsiednim stoliku dwóch mężczyzn piło swoją przedpołudniową grappę, poza tym Fredric był jedynym gościem.

* „Złodziej jajek!” *» prychnął Fredric, wspominając niezbyt podnoszące na duchu wydarzenia dwóch ostatnich dni. Właściciel zbliżył się, uznawszy, że niezrozumiałe słowa gościa oznaczają nowe zamówienie, ale Fredric gestem ręki odesłał go z powrotem. Już on wygarnie szefowi policji i! Poirytowany zerknął w stronę komisariatu. Drzwi były otwarte.

Fredric miał wytłumaczenie. Mógł przedstawić dokumenty. No i miał swoją ornatu w klinice doktora Umbro.

Położył stosowną ilość lirów na stoliku i wyszedł. Nadłożył drogi i okrążył kościół; nie chciał, żeby właściciel kawiarni pomyślał, że poszedł na policję donieść na jego usługi. Na komisariacie zastał siedzącego za biurkiem tego samego grubego policjanta. Błat biurka wydawał się pozbawiony śladów jakichkolwiek papierów. Policjant miał na sobie mundur i

piccił się. Marynarka była opięta, niezbyt elegancka. W jednym ręku trzymał łąpkę na muchy, w drugim szklanekę * prawdopodobnie z grappą.

* Giorno * powiedział Fredric krótko i stanowczo.

* Aha * odburknął grubas. Zmrużył oczy, jakby przeczuwając, że czekają go nieprzewidziane zadania. * Przychodzi pan zapłacić karę i zwrócić koszt? * spytał, wyciągając rękę z kartką papieru z niewyraźnym podpisem Fredrica.

Fredric wbił w niego wzrok i wyciągnął rękę po kartkę. Przedał ją na cztery i położył na blacie biurka.

* Coś panu powiem * zaczął stanowczo, po czym opowiedział pokrótce, co mu się przytrafiło. Komisarz próbował mu przerwać, ale za każdym razem Fredric powstrzymywał go gestem ręki. * Tak więc, signore poliziotto * zakończył * zobowiązuję pana do odnalezienia pańskich kolegów, którzy zepchnęli mnie ze zbocza, i dowiedzenia się, dlaczego tak postąpili. Rozumie mnie pan?

* Idiota! * warknął grubas, unosząc się w swoim krześle. * Sądzi pan, że panu uwierzę?

* Może pan wierzyć, w co pan chce. Było tak, jak opowiedziałem. W autobusie było czterech świadków * dodał Fredric, rzucając na blat paszport i papiery polecające od doktora Donato d'Angelo.

Komisarz przestudiował wszystko dokładnie, cały czas machając wściekle łąpką na muchy. Z czoła spływały mu wielkie krople potu. Chwycił za słuchawkę i wymamrotał, że dzwoni z okręgu Crotone i chce rozmawiać z kimś ze swoich przełożonych.

Nastąpiła długa i głośna rozmowa. Odłożył słuchawkę, uśmiechnął się i z przebiegłą miną zmrużył oczy.

* Signore Drum * odezwał się przymilnie. * Pan kłamie. Jest pan bezczelny. Ma pan bogatą wyobraźnię. Ale to pewnie konieczne, jeśli zamierza pan współpracować z profesorem d'Angelo * dodał. Ostatnie słowa wysyczał z pogardą. * Mój szef w Crotone kontroluje wszystkie działania policji w okręgu. Twierdzi, że w czasie, o którym pan mówi, nie było żadnego patrolu. Pronto. Jeśli natychmiast nie zapłaci pan kary i nie zwróci kosztów, nie pozwolę panu opuścić miasta, rozumiemy się?

Fredric uśmiechnął się lodowato.

* Buono. W autobusie było czterech pasażerów. Mam świadków. Poza tym nie zamierzam opuszczać miasteczka, zanim wszystkiego nie wyjaśnię * dodał. Odwrócił się i wyszedł. Za jego plecami grubas policjant dołał sobie z ukrytej za biurkiem butelki, uśmiechając się złośliwie.

Fredric ruszył pod górę w stronę wykopalisk. Teren nie był odgradzony, mógł więc swobodnie się poruszać. Nic się tu nie działo. Donato d'Angelo miał się zjawić dopiero za kilka dni razem z zespołem z Rzymu. Mieli robić notatki. Fredric usiadł na kawałku muru i zaczął się rozglądać. Na wpół zburzone kolumny, podłoga z mozaiki, fundamenty kilku dużych domów, schody, podesty. Najwyraźniej resztki świątyni, pomyślał.

Donato d'Angelo. Profesor najwyraźniej nie cieszył się sympatią miejscowej policji.

Dlaczego? Co tu się tak naprawdę dzieje? Coś jest nie tak, to oczywiste. Podobnie jak to, że obecność Fredrica Drum jest komuś wyraźnie nie w smak.

Crotone. Autobus, z którego został wyrzucony, jechał do Crotone. Zapewne tam są też jego świadkowie. Ale Crotone to duże miasto. Trudno będzie ich odnaleźć. Zrozumiał, że sprawa jest właściwie beznadziejna. Tym niemniej mógłby wybrać się tam któregoś dnia. Może razem z Genevieve? Czytał gdzieś, że Crotone do 272 roku przed Chrystusem było greckim miastem. Założone zostało bodajże w 710 roku przed Chrystusem jako kolonia achajska i z czasem stało się jednym z najważniejszych włoskich miast. W Crotone osiedlił się Pitagoras z Samos; założył tam swoją słynną szkołę, w której powstały podstawy geometrii, arytmetyki, etyki i generalnie on*ologii. To znane fakty. Czyżby jeszcze coś się tam wydarzyło?

Kto dwa tysiące lat temu przebywał w miejscu, w którym on teraz siedzi? W tym wspaniałym budynku z pięknymi mozaikami, arkadami i marmurowymi kolumnami. Kto tu siedział? Z kim rozmawiał?

Codex Ofanes pewnie zawiera odpowiedź na większość tych pytań. O ile zostanie odczytany. Mężczyzna w urzędniczym kaszkiecie szedł powoli w kierunku Fredrica. Strażnik. Przywitał się grzecznie, drapiąc się za uchem.

* Jest pan zainteresowany? * spytał ostrożnie.

* Si, signore, jestem bardzo zainteresowany * odpowiedział Fredric, rozluźniając się. Strażnik sprawiał sympatyczne wrażenie. * Mam pracować z profesorem d'Angelo. Przyjechałem z Norwegii.

Twarz mężczyzny rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

* Ach tak * powiedział. * Nowegese. Zapewne jest pan więc signore Drum! * zawołał i wyciągnął dłoń. Przedstawił się jako signore Loppo i wyjaśnił, że pilnuje terenu przed poszukiwaczami pamiątek.

* Profesor d'Angelo wspominał, że przyjadę? * spytał Fredric, czując się mile połączony.

* Nie, to ta młoda, piękna francuska signorita mi o tym wspominała. Czeka na pana.

Opowiadała mi o panu; czasem wieczorem spotykamy się w trattorii signore Rattiego. Jest pan ekspertem od kodów i tajemniczych języków, prawda? I kocha pan dobre wina, tak? * spytał, zerkając z sympatią na Fredrica. Po chwili usiadł obok niego na murze. * A jeśli chodzi o panienkę, to niemal całkowicie wróciła do zdrowia dzięki doktorowi Umbro, który czyni cuda.

Rozmawiali chwilę o różnych sprawach. Fredric odniósł wrażenie, że profesor d'Angelo wcale nie jest osobą nie lubianą, wręcz przeciwnie.

* Signore Loppo * zaczął ostrożnie, starając się poprawnie sformułować pytanie. * Czy signore d'Angelo i szef policji są przyjaciółmi?

* Ha! * wykrzyknął signore Loppo, zeskakując na ziemię. * Ta świnia. Przepraszam, że tak mówię o Vittorio Nura*gusie, ale on jest świnia. Leniwy, nic mu się nie chce, ledwie jest w stanie unieść widelec z makaronem do ust. Nie, ci dwaj bynajmniej nie są przyjaciółmi, tym bardziej po nagłej śmierci chłopców miesiąc temu. Tragedia, smutna historia. Znam ich rodziców; oni też tego nie rozumieją * powiedział i znów usiadł na murku.

* Tak? * spytał Fredric z zaciekawieniem. * Proszę mi opowiedzieć.

* To tajemnicza sprawa. Chłopcy, Marco Albelli i Aldo Puggi, mieli obaj po piętnaście lat. Pomagali przy wykopaliskach, żeby trochę zarobić. Sympatyczni, żywi, mili chłopcy. I nagle pewnego dnia, już ponad miesiąc temu, zostali obaj znaleźni martwi, tam przy tym murze. Signore Loppo wskazał na mur i mówił dalej:

* Wyglądało na to, że razem spadli z muru, ponosząc śmierć na miejscu. To bardzo dziwne. Sekcja nie wykazała przyczyny śmierci. Profesor d'Angelo się wściekł. Był przekonany, że popełniono zbrodnię. Dwóch zdrowych piętnastolatków nie umiera tak nagle, jak na zamówienie. Szef policji, Nuragus, nie wszczął śledztwa, uznając, że pewnie był to udar słoneczny albo coś takiego. Nie chciał nawet słyszeć, że mogło chodzić o jakąś zbrodnię. Pewnie wiedział, ile pracy by go czekało! Przesłuchania, sprawozdania. Profesor d'Angelo skrzyczał go kiedyś na rynku tak, że całe miasteczko słyszało.

* Ale czy w końcu * przerwał mu Fredric * wszczęto śledztwo?

* Nie * odpowiedział strażnik. * Sprawa została odłożona na bok, a tłuście proszę, czyli Nuragus, siedzi i zaciera ręce.

Po odejściu strażnika, który musiał iść pomóc żonie w zaszlachtowaniu małego koźlęcia, Fredric pograżył się w rozmyśleniach.

Nie doszedł jednak do niczego, a ponieważ zaczęła się już zbliżać pierwsza, ruszył w stronę hotelu. Drzwi były otwarte, ale w recepcji było pusto. Stał i rozglądał się.

Na dwóch fragmentach antycznych kolumn leżały szerokie deski. Wyglądały dość surowo, ale elegancko. Wokół na ścianach wisiała niezliczona ilość ikon, krucyfiksów i innych symboli religijnych. Była też tarcza z insygniami Świętego Anakriona. Niemal bluźniercze w wymowie, ponure malowidło, osmalone i popekane, przedstawiało najświętszą panienkę z miską krwi. Poza tym na półkach było sporo starych książek oprawionych w brązową skórę. Fredric sięgnął po jedną z nich i otworzył na stronie tytułowej: Paracelsus: De Homunculis, Operum Volumen Secundum. De Tournes MDCiVIII. Jeśli tomy są własnością właściciela, to ma dość dziwny gust, pomyślał. Najprawdopodobniej jednak księgi, podobnie jak inne rzeczy, były tu od stuleci.

Rozpoznał swój klucz, sięgnął po niego i ruszył na górę kamiennymi schodami.

Mimo że na drzwiach w wąskim korytarzu nie było numerów, pamiętał, gdzie był jego pokój. Na górze było tylko czworo drzwi, z czego jedno prowadziły do łazienki. Żałował, że nie ma więcej gości. Ale Ofanes nie leżało na turystycznym szlaku.

Pomyślał, że kilka godzin, które zostało mu do spotkania z Genevieve, spędzi na studiowaniu fragmentu przesłanego mu przez profesora dAngelo. Czas włókł się niemiłosiernie, minuty zdawały się ciągnąć bez końca.

Jego pokój został sprząnięty, łóżko było posłane, ruszt usunięty. Ramka z łacińskim tekstem została odwieszona na miejsce. Fredric właśnie miał ją zdjąć, kiedy spostrzegł, że wyrazy za szkłem były inne. Napis został zmieniony!

Usiadł na łóżku, uderzając się o jedną z niskich belek. Napis był także łaciński, ale w tłumaczeniu brzmiał tak: „Ten, kto spróbuje się wdrzeć do różanego ogrodu filozofii, nie mając do niego klucza, nie znajdzie tam kwiatów, tylko śmiejące się czaszki”. Ponieważ i ten fragment nie przypadł mu do gustu, zdjął ramkę i postawił ją na stoliku w rogu pokoju.

Teraz było dobrze. Wyjął papiery. Usiadł wygodnie na szerokim łóżku. Fredric Drum mógł nareszcie oddać się temu, co fascynowało go najbardziej na świecie: rozszyfrowywaniu tajnych symboli i kodów. Próbował wdrzeć się do nieznanego mu świata, odczytać przesłanie sprzed wieków. Był skoncentrowany, nic nie mogło mu przeszkodzić. Zagłębiając się w ten nieco zaczarowany świat, czuł się szczęśliwy.

Opracował własne, dość szczególne narzędzia pracy. Lata studiów, udane próby dotarcia do początków, do czasów, kiedy powstawało nasze pismo, nasze symbole, pozwoliły mu zdobyć doświadczenie, jakie mało komu jest dane. Opracował własne metody i klucze kodowe do pierwotnych języków, sporządził tabele kombinacji, wzory odniesień i równania tak wymyślne, że ktoś z zewnątrz musiałby poświęcić dużo czasu, żeby poznać choćby najprostszy z jego systemów.

Tarcza Trithemiusa i Charnpolliona. Szereg kół z pierwotnymi symbolami, tarcza, na której można obracać każde z kół bądź zastąpić je innymi kołami. To było jedno z opracowanych przez niego narzędzi, które prawdopodobnie można by użyć do wszystkich kodów, do wszelkiego rodzaju tajnych pism mających źródło w naszej kulturze, od Azji Mniejszej po wybrzeże Atlantyku. Był bardzo dumny ze swojej tarczy.

Cztery wiersze, które miał przed sobą, nie przypominały niczego, co by już kiedyś widział. Zostały umieszczone w greckim tekście. Wyglądało to tak:

Przez następną godzinę Fredric leżał na łóżku, nucąc i mówiąc sam do siebie. Od czasu do czasu kichał podniecony; regularnie popijał wodę ze szklanki, którą postawił obok na nocnym stoliku.

Tekst, o ile to był tekst, sprawiał wrażenie trudnego. Nie rozpoznawał w nim żadnego wzoru, z którym już kiedyś się zetknął. W końcu musiał sięgnąć po tabele i koła z innych kultur niż śródziemnomorskie. Ale na niewiele to się zdało. Symbole pozostały ukryte.

Usiadł na łóżku i zaczął trzeć oczy. Mrugał, oślepiiony promieniami słońca wpadającymi przez otwór w ścianie. Tekst mógł się okazać nie lada wyzwaniem. A jeśli było coś, co w

swojej bezgranicznej ciekawości wręcz uwielbiał, to były to właśnie wyzwania. Pozwalały mu puścić wodze fantazji.

Odłożył na bok cztery tajemnicze wiersze. Zajął się poprzedzającym je greckim tekstem.

Treść nie była jasna, chociaż słowa nie kryły żadnej tajemnicy. Jakie mogły zawierać przesłanie? W tekście było wiele nazw. Fredric zapisał je w swoim zeszycie:

Damippos: ? (Postać grecka, mężczyzna, bóg?)

Odeon: Grecki teatr poświęcony muzyce i śpiewowi

Apaturie: Grecka tradycja, uroczystości obchodzone podczas letniego przesilenia słonecznego

Simmias: Filozof z Teb (patrz! Szkoła z Teb)

Croton: ? (Postać męska, dziwne, porównaj: tutejsze miasto Crotone)

Ermetica: Czyżby to była bogini filozofii hermetycznej?

Hefajstos: Bóg ognia

Hekate: Bogini czarów i magii

Persefona: Władczyni podziemi

Cyotion: ?? (Osoba, rzecz?)

Chiron: Centaur?

Synedrium: Miejsce spotkań

Umbilicus Telluris: łacina, znaczy pępek świata

No cóż. Być może profesor d'Angelo jednak miał rację. Może rzeczywiście w grę wchodziła jakaś hermetyczna szkoła filozoficzna. Kierunek, którego zadaniem było tak przetworzyć wiedzę, by nie była ona dostępna dla większości. By móc twierdzić, że posiadało się klucz do najgłębszej tajemnicy życia.

Nazwy w tekście zdawały się na to wskazywać. Były tu odniesienia do magii i podziemnego świata; może chodziło o jakiś rytuał, o klucz, który mógłby odsłonić istotne przesłania tej szkoły. Może kluczem były te cztery wiersze składające się z nieznanymi znakami.

Jakkolwiek próbował, nic mu nie pasowało. Jeśli chciał odczytać tekst, musiał wyjść poza krąg kultury śródziemnomorskiej. Tyle że w tekście, który dawał się odczytać, nie było żadnych punktów odniesienia ani do nazw, ani do pojęć, które mogłyby wskazywać na inne kultury.

Musiał więc pozostać przy tym, co znał, czyli przy antyku, grece i może jeszcze przy piśmie linearnym A i B.

W końcu zrobiło się w pół do trzeciej. Odłożył wszystko na bok, skupiając się na Chwili, tej Wielkiej Chwili, na spotkaniu, którego od dawna oczekiwał.

Poszedł, pogwizdując, do łazienki i umył się. Przyjrzał się dokładnie w lustrze. Dobrze wygląda? Czy Genevieve go rozpozna? Czy może postarzał się przez te trzy lata? Polał się obficie wodą po goleniu.

Wreszcie wyjął prezenty. Lapońską ozdobę, bardzo ładny naszyjnik zrobiony ze złota gdzieś w Finlandii, a kupiony w warsztacie złotniczym Jaukko Pentasa w pobliżu Karasjok. I butelkę szlachetnego wina, zapakowaną w czerwony celofan i zawiązaną czerwoną wstążką. Wszystko było jak trzeba.

Fredric wypił kilka szklanek wody i strzepnął ze spodni nieistniejący kurz. Następnie zamknął pokój.

W korytarzu panował półmrok, było niemal ciemno. Kiedy przechodził obok sąsiedniego pokoju, nagle się wzdrygnął. Zobaczył przed sobą bladą, przestraszoną twarz. To była An*drea, która w nocy podawała mu jedzenie.

* Mi scusi * wymknęło mu się.

Kobieta nie odpowiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. Fredric zaczerpnął powietrza i przeszedł obok niej, uśmiechając się głupio.

W recepcji nadal nikogo nie było. Już miał odwieść klucz, ale zmienił zdanie i włożył go do kieszeni. Wyszedł na słońce.

Znalazł stolik na skraju trattorii, usiadł. Było tłoczno, niemal wszystkie stoliki były zajęte. Pora obiadu, ludzie dookoła spożywali ogromne porcje spaghetti. Sam nie był głodny, zamówił campari i szklaneczkę wody. Usiadł tak, żeby mieć widok na ulicę prowadzącą ze szpitala doktora Umbro.

Fredric Drum nie był sobą. Serce biło mu gwałtownie, żołądek się buntował.

I wtedy ją zobaczył. Elegancka, lekka i olśniewająco piękna, szła, jakby niesiona przez wiatr.

Mężczyźni zostawiali swoje widelce i patrzyli.

Fredric, równie czerwony jak campari w szklance, pomachał jej ręką.

Fredric Drum nadaje nazwy zapachom, patrzy na słońce, nie kichając, i otrzymuje pewien klucz

Miała na sobie sukienkę koloru bursztynu z szerokim czerwonym paskiem, czerwone pantofle, a we włosach czerwono *pomarańczową przepaskę. W tali była szczupła jak osa. Brą*zowo*czarne włosy sięgały do ramion, okalając jej śliczną, łagodną twarz. Oczy błyszczały; uśmiechnęła się.

Mogła być Kleopatram.

Mogła być grecką boginią, Heleną, Afrodytą czy Herą.

Ale była Genevieve Brisson, miała dwadzieścia dziewięć lat i po trzech latach spędzonych w mrocznej samotności znów była zdrowa.

Fredric wstał. Podeszła do niego, stanęła obok stolika i zamrugła swoimi dużymi brązowymi oczami. Uśmiechnęła się radośnie i rzuciła mu się na szyję.

Fredric poczuł zapach, piękniejszy niż wszystkie znane mu bukiety win, których dane mu było próbować. Objął ją delikatnie i stali tak chwilę. W końcu podniosła głowę i spojrzała na niego. W kącikach oczu miała łzy. On też miał gulę w gardle, która uniemożliwiała mu powiedzenie czegokolwiek.

* Fredric? Wyszepiała pytająco, jakby nie była w stanie do końca uwierzyć, że to jest on.

* Qui, cest moi * wydukał w końcu.

Usiedli, a ludzie wokół, którzy z zapartym tchem śledzili to romantyczne spotkanie, wrócili do swoich makaronów.

* Jesteś... zdrowa? * spytał, nie bardzo wiedząc, co powinien powiedzieć, i lekko się uśmiechnął.

* Prawie zdrowa, jak mówi Vitollo, lekarz. Ach, Fredri*cu, gdybyś wiedział, ile o tobie myślałam, jak bardzo za tobą tęskniłam w mojej samotności, ale nie byłam w stanie z nikim o tym rozmawiać. Ja... * przerwała nagle * nie mam przeszłości, tylko przyszłość, przyszłość...

Chwycił jej dłoń. Trzymał mocno w swojej. Po chwili wyjął prezenty i postawił przed nią.

Poprosił, żeby je rozpakowała.

Kiedy to robiła, on zamówił dwie porcje lasagne a la Rat*ti, co według niej było miejscową specjalnością. I dwa kieliszki stołowego wina.

Była zachwycona naszyjnikiem, od razu go włożyła. Wydawał się stworzony dla jej szczupłej białej szyi.

* Formidable! * wykrzyknęła na widok wina. * Castello di Neive, śnieżny zamek, jak to pięknie brzmi! Wypijemy je po południu, w ogrodzie obok szpitala. Tak się cieszyłam na nasze spotkanie, Fredricu! * powiedziała. Nagle na jej twarzy pojawił się cień. * Co się stało? Nie przyjechałeś, w autobusie była tylko twoja walizka. Bałam się, że coś ci się stało; dlaczego walizka przyjechała przed tobą?

Fredric spodziewał się tego pytania i miał gotowe wytłumaczenie. Powiedział, że w autobusie z Catanzaro nagle źle się poczuł, prawdopodobnie z powodu upału. Wyniesiono go z autobusu i umieszczono w domku biednego chłopca. Kiedy w końcu zjawiał się lekarz, stwierdził, że to nic poważnego, że musi po prostu odpocząć i dużo pić. Niestety zapomniał o

walizce, która została w autobusie, a chłop nie miał telefonu, więc nie mógł jej uprzedzić. Teraz jednak znów jest zdrowy i rześki, wręcz tryska energią.

* Drogi Fredricu, musisz na siebie uważać. Pamiętam trochę z tego, co się wydarzyło w St. Emilion trzy lata temu. Byłeś taki odważny; ojciec mi opowiadał. Bardzo był z ciebie dumny. Wiesz, że nasz zamek w końcu awansował w klasyfikacji i teraz jesteśmy już w klasie Grand Cru!

* Gratuluje, zasłużyliście sobie na to * powiedział Fredric. Jakiś czas jedli, przepijając do siebie w milczeniu, oboje nieco skrepowani spotkaniem.

Genevieve witała się z ludźmi przy sąsiednich stolikach. Znała większość z nich. W ostatnich tygodniach często siadywała tutaj, kiedy o godzinie trzeciej kończyła zabiegi. Wszyscy wiedzieli, że czeka na swojego ukochanego z Norwegii.

* Naprawdę opowiadałaś im o mnie? * spytał Fredric, popijając duży łyk z kieliszka.

Niepewność i skrepowanie znikły. Czuł się lekki, wesoły, w dobrym nastroju, jak spumante.

* Mais oui, opowiadałam im o tobie i śniłam o tobie. Opowiadałam o twojej niezwykłej wiedzy, jeśli chodzi o starożytne kultury, o tym, że wkrótce zapewne zostaniesz profesorem i że zostałeś uznany Le premier connaisseur du vin podczas targów winiarskich w Bordeaux. Wszyscy cię tu znają, Fredricu.

Fredric rozejrzał się po nieznanym mu twarzach. Ktoś się uśmiechnął, ktoś skinął mu głową, inni przyglądali mu się z zaciekawieniem. Signore Ratti, właściciel lokalu, stał oparty o framugę drzwi. Odwzajemnił jego spojrzenie, ale Fredric miał wrażenie, że w jego oczach nie ma przyjaźni.

Nagle doznał uczucia, które wcale mu się nie podobało. Wolałby zachować anonimowość. Gdyby nikt nic o nim nie wiedział, być może uniknąłby tych strasznych godzin na skalnej półce unoszącej się wysoko nad powierzchnią morza?

* Qu'est-ce que c'est? Skąd ta nagła powaga? * spytała Genevieve, chwytając jego dłoń. Fredric odchrząknął i uśmiechnął się.

* Muszę odgonić cienie z przeszłości * zaczął. * Ostatnie lata dla mnie też były ciężkie. Ale to już się skończyło. Nareszcie.

* Merci * odpowiedziała cicho Genevieve. * Dziękuję, że tak jest.

Skończyli posiłek. Dziewczyna chciała, żeby Fredric poszedł z nią do ogrodu przy szpitalu. Było tam ładnie, cicho i spokojnie; będą mogli delektować się winem. Potem pokaże mu, jak mieszka; być może będzie okazja, żeby poznał doktora Vitolla Umbro. Pozostali pacjenci, a było ich siedmioro, nie byli jeszcze tak zaawansowani w procesie leczenia jak ona i przebywali głównie w swoich pokojach. Niektórzy z nich byli bardzo chorzy. Zapłacili i wyszli. Signore Ratti uśmiechnął się uprzejmie do Genevieve, natomiast wyraźnie unikał wzroku Fredrica.

Szli ulicą. Fredric objął ją w pasie, a ona pocałowała go w policzek. Śmiali się, żartowali, pomachali ręką strażnikowi pilnującemu ruin, a on odpowiedział im jakimś żartem. Fredric zatrzymał się i zaczął się przyglądać potężnej bramie. „OSPEDALE Vitollo UMBRO”. Budynek nie przypominał szpitala, raczej elegancki hotel. Pierwotnie był to zapewne jakiś stary dwór.

* Patrz * powiedziała Genevieve, wskazując coś ręką. Na stromym wzgórzu wznosił się zamek. * Tam mieszka wuj doktora Vitolla i jego kuzynka. Dziwni ludzie. Nigdy nie przychodzą do doktora, a on też ich nie odwiedza. Pierwotnie cały teren, sięgający na północ aż do Crotone, należał do rodziny Umbro. Potem majątek został podzielony. Doktor Vitollo przejął budynki tam w dole, podczas gdy wuj dostał zamek i winnice. Spór o nie trwa zresztą od dawna. Te, które przypadły doktorowi, zostały rozdzielone pomiędzy biednych rybaków i pasterzy. Z tego, co słyszałam, to właśnie stało się przyczyną ich wzajemnej wrogości. Do Gianni Umbro, córki wuja, nie wolno ci się zbliżać. Jest piękna i niebezpieczna. Raz ją widziałam, a potem prześladowała mnie w snach dwie noce z rzędu. Ale opowiadam ci o

rzeczach, które pewnie w ogóle cię nie interesują. Chodź! * zawołała, wzięła go za rękę i weszli przez bramę.

Rzeczy, o których mówiła, interesowały go. Jednak nie w tej chwili.

Znaleźli się w bujnie kwitnym zielonym ogrodzie z fontannami i źródłkami. Były tu piękne różane rabaty, kwitły orchidee, wszędzie stały antyczne posągi, popiersia i fragmenty starych kolumn. Toż to niemal muzeum, pomyślał Fredric.

W różnych miejscach, w cieniu pod drzewami, ustawiono małe stoliki i krzesła. Z dużego budynku dochodziły dźwięki opery. Nabucco Verdiego. Nad całym miejscem unosiła się atmosfera idealnej harmonii. Nic dziwnego, że nawet ludzie cierpiący, zdawać by się mogło, na nieuleczalne zaburzenia dochodzili tu do siebie, filozofował Fredric.

Genevieve wskazała na jeden ze stolików i ławkę stojące w cieniu bujnie kwitnącego hibiskusa. Tam usiądą. Sama musi teraz na chwilę go opuścić: otworzy butelkę i przyniesie kieliszki. Znikła w drzwiach głównego wejścia szczęśliwa, podniecona.

Fredric siedział i napawał się zapachami. Mocnymi zapachami. Zapach Genevieve był najsilniejszy ze wszystkich. Fredric zamknął oczy i zaczął im nadawać nazwy. Nazwy zaczerpnięte z bogatej skarbnicy przeszłości. Nazwy, których znaczenie tylko on, Fredric Drum, był w stanie w pełni pojąć. Zaczerpnięte z języka Ziemi*Matki, Gai. Archetypy przeszłości. Wyrażające tajemną harmonię, którą można zrozumieć jedynie w odpowiednim kontekście. On znał ten kontekst.

Kiedy po chwili otworzył oczy, był w stanie spojrzeć na słońce i nie kichnąć.

Genevieve wróciła, niosąc na dużej desce kieliszki, włoskie sery i drobne włoskie winogrona. Postawiła deskę na stole, podeszła do Fredrica, pociągnęła go do siebie i pocałowała.

Najpierw ostrożnie, potem jednak przywarła do niego i zaczęli się obejmować, długo i namiętnie, czując, jak ich serca zaczynają coraz szybciej bić.

Oderwali się od siebie, uśmiechnięci i szczęśliwi. Fredric poczuł zawrót głowy. Nie był w stanie tego pojąć: miał trzydzieści pięć lat, a czuł się jak nowo narodzony. Mógł * podobnie jak Genevieve * powiedzieć, że przeszłość nie istnieje, liczy się tylko przyszłość.

Genevieve nalała wina do kieliszków. Czerwone krople skrzyły się w słońcu. Castello di Neive rocznik 1971, nie zawiodł ich w tej podniosłej chwili. Grona dojrzewały w najlepszym winnym okręgu Włoch, miały bogaty owocowy, łagodny smak. Było w nim słońce, śnieg i kwiaty.

Usiedli obok siebie na ławce. Trzymali się za ręce. Jedli, pili, ulegając czarowi chwili. W tym ogrodzie, wśród kwiatów i antycznych posągów, mogliby być postaciami z klasycznego romansu.

* Co tu się dzieje? Co sprawia, że ludzie odzyskują zdrowie? Chyba nie przesiadują tu całymi dniami, słuchając oper? * spytał Fredric. Ciekawość wzięła górę.

* To trudno wytłumaczyć * odpowiedziała Genevieve, poważniejąc. * Doktor Vitollo i jego asystenci stosują metody, które nie przypominają szpitalnego leczenia. Siedzimy w ładnie urządzonym pokoju z widokiem na morze. Doktor, bądź któryś z jego asystentów, gra na jakimś instrumencie. Rozbrzmiewa łagodna muzyka i wszystkie więzy puszczaają, człowiek przekracza pewne granice * to coś, czego chyba zawsze pragnął, ale na co choroba mu nie pozwalała. Nie potrafię ci tego dokładnie wytłumaczyć. Może któregoś dnia sam porozmawiasz z doktorem.

Fredric przytaknął. Oczywiście czytał o terapii dźwiękowo*muzycznej. Ale jak to jest możliwe?

* Czy zdarza się tak, że ktoś leczony przez doktora Umbro nie wraca do zdrowia?

Genevieve odwróciła wzrok.

* Nie wiem * powiedziała. * Być może. To pewnie zależy od rodzaju choroby, na jaką się cierpi * dodała i nagle roześmiała się głośno.

* Wiesz, co tu się wydarzyło w zeszłym tygodniu? Wyobraź sobie, że ten dziwny wuj z zamku na wzgórzu, Romeo * tak chyba ma na imię * kazał zamontować na zboczach jakiś okropny agregat, maszynę, która strasznie hałasowała, zakłócając proces leczenia. Doktor się wściekł. Maszyna miała podobno pompować wodę potrzebną do uprawy winorośli, tak przynajmniej twierdził wuj. Żadne protesty nie pomogły, maszyna pracowała dzień i noc. W końcu Vitollo kupił dynamit i wysadził potwora w powietrze. Potem wysłał wujowi czek na całkiem pokaźną sumę, żeby kupił jakieś elektryczne urządzenie, też pompujące wodę, ale bez takiego hałasu. Jeszcze nie zostało zainstalowane, ale winnice chyba nie ucierpiały.

* Winogrona Gaglioppo * wymamrotał Fredric. * Rosną tu od tysiąca lat. Nie wymagają dużo wody. Poza tym winnic nie należy sztucznie nawadniać.

Kiedy butelka została opróżniona, Genevieve pogładziła Fredrica po policzku i poprosiła, żeby jej towarzyszył. Pokaże mu, jak mieszka.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę wejścia w jednym ze skrzydeł budynku; pokonali jeden schodek i znaleźli się w korytarzu. Na podłodze leżały grube dywany, na ścianach wisiało nowoczesne malarstwo. Fredric odnotował litografie Daliego, Klee i Laxeiro. Genevieve zatrzymała się przed dużymi, pomalowanymi na różowo drzwiami, z ornamentami przypominającymi sztukę minojską. Lekarz musi być niewiarygodnie bogaty, pomyślał Fredric.

Genevieve otworzyła drzwi i nieco zawstydzona uśmiechnęła się do niego.

Weszli do dużego, jasnego pokoju, umeblowanego w stylu rokoko; na ścianach były jasnoniebieskie jedwabne tapety, z sufitu zwisał żyrandol. W pokoju stała kanapa, stolik, krzesła * były też drzwi prowadzące do łazienki * oraz łóżko z baldachimem. Oczywiście, pomyślał Fredric. Tutaj nie jest potrzebny żaden „ruszt”. Tutaj nie ma wilgoci ani chłodu. Papa Brisson musi produkować dużo wina, by móc opłacić pobyt w takim miejscu. Ale żadna cena nie jest zbyt wysoka, gdy w grę wchodzi zdrowie Genevieve.

Dziewczyna zamknęła drzwi. Przekręciła klucz w zamku. Zdjęła buty i zarzuciła Fredricowi ręce na szyję.

* Chodź * wyszeptwała. * Tęskniłam za tobą trzy lata. Fantazjowałam, marzyłam, udawałam, że mnie tu odwiedziłeś. A teraz jesteś tutaj. Ciałem i duszą. Mój Fredric.

Usiedli ostrożnie na łóżku, podnieceni swoją obecnością.

Zachowywali powagę, jakby chcieli, żeby to, co zaraz ma się wydarzyć, wypaliło się w ich pamięci, zostawiło swój ślad, by nigdy nie zostało zapomniane.

Położyli się obok siebie. Fredric gładził łagodnie jej policzki; Genevieve zaczęła go czule całować, najpierw ostrożnie, potem coraz bardziej namiętnie. Przywarli do siebie, drżące ciała, jedno przy drugim. Odnaleźli swój rytm.

Fredric muskał delikatnie dłonią jej plecy, brzuch, biodra, a ona szeptała mu do ucha francuskie słówka.

Czas przestał istnieć.

Ale czas istniał. Gdy Fredric Drum w końcu powrócił do rzeczywistości, słońce zdążyło już zająć. Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka.

Był nagi. Genevieve leżała z zamkniętymi oczami i niezgłębionym uśmiechem na ustach. Fredric przyglądał się jej bez skrępowania. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Genevieve Brisson była idola. On sam był Idola Drum. Z trudem udało mu się powstrzymać kichnięcie.

Podniósł się ostrożnie. Łazienka. Chciał wziąć prysznic.

* Łazienka jest na wprost. Użyj tego dużego niebieskiego ręcznika * powiedziała Genevieve cicho, łagodnie, nie otwierając oczu.

Roześmiał się. Pobiegł do łazienki i zamknął drzwi.

Pod prysznicem śpiewał. Przypominał sobie melodie, których od wielu lat nie był w stanie sobie przypomnieć. Słowa, które dawno już zapomniiał, pojawiały się bez najmniejszego

wysiłku. Davy Crockett i Yellow Rose of Texas. Śpiewał Dans le jardin de mon pere i Marsylianke, wymawiając „r” jak Edith Piaf.

Genevieve podążyła za nim do łazienki.

Potem zaczęli się ubierać, śląc sobie zakochane spojrzenia.

Chciała, żeby poszedł z nią do salonu i napił się herbaty.

Fredric wahał się. Zastanawiał się, czy nie ingeruje w nieprzyzwoity sposób w proces leczenia. Co personel sobie pomyśli? Ona z zaczerwienionymi policzkami i wzrokiem, co do którego nie może być żadnych wątpliwości, on rozgorączkowany, ożywiony, jakby za chwilę miał się unieść w powietrze niczym balon napełniony helem.

Ale nalegała, więc podążył za nią.

Genevieve poszła po herbatę do drugiego pokoju, a Fredric zaczął studiować salon. Weneckie meble. Perskie dywany. Komoda w stylu Chippendale. Obrazy Gauguina, Moneta i For*trezoli. Szyby w ołowianych ramkach i kolorowa mozaika. Vitollo Umbro pochodził z bogatej rodziny. A pacjenci przybywali z całego świata, na pewno kazał im dobrze płacić, skoro czynił cuda.

W kącie salonu siedziała kobieta w średnim wieku. Jej brylantowy naszyjnik, pierścionki i bransoletki mieniły się różnymi kolorami. Nic nie robiła, siedziała i wpatrywała się w podłogę.

* Angielska hrabina * wyszeptwała Genevieve, stawiając filiżanki na stole. * Od czterdziestu lat nie wypowiedziała ani jednego słowa. Doktor Umbro sprawił, że dwukrotnie zaczęła głośno i wulgarnie przeklinać. A jest tu dopiero od tygodnia.

Fredric pokiwał głową. Nieźle.

* Ofanes to ciekawe miejsce * oświadczył, popijając herbatę. * Wiesz coś o prowadzonych tu wykopaliskach? Podobno doszło do małej archeologicznej sensacji.

Genevieve pokręciła głową.

* Nie wiem zbyt dużo * odpowiedziała. * Ale wiele ludzi w miasteczku o tym mówi.

Niektórzy są źli, inni się cieszą * dodała zamyślona, nagle jakby odległa. Po chwili zaczęła mówić dalej:

* Fredricu, mam nadzieję, że przyjechałeś tu do mnie. Nie chcę, żebyś się w coś wplątał.

Mamy być szczęśliwi i odbywać długie spacery popołudniami, kiedy mam wolne. Nie będziemy krążyć wśród ruin, będziemy omijać je z daleka, rozumiesz?

Fredric niczego nie rozumiał, ale powiedział: tak. Zauważył cień na jej twarzy. Czyżby odezwała się jej przeszłość, czy też coś wydarzyło się już tutaj? I o co chodzi z tymi ruinami? Chłopczy. Marco Albelli i Aldo Puggi. Zginęli w pobliżu ruin.

W coś się wplątał? On już był wplątany. Nie chciał mówić Genevieve o umowie, jaką zawarł z profesorem Dona*to d'Angelo. Kodeksem będzie mógł spokojnie zajmować się przedpołudniami. To jego hobby, wtedy się odprężał, zresztą to nie było nic ważnego.

Oczywiście przyjechał tu po to, żeby odwiedzić Genevieve.

* Kochasz mnie, Fredricu? * spytała, pochylając się nad stołem. Patrzyła na niego dużymi brązowymi oczami, szepcząc słowa, które kilka godzin temu zawisły między nimi.

* Tak, Genevieve, kocham cię * powiedział, chociaż tak naprawdę miał ochotę wykrzyknąć to, żeby wszyscy w Ofanes usłyszeli. Bo tak było. Kochał Genevieve Brisson od momentu, kiedy ją zobaczył.

Genevieve bawiła się niezdarnie filiżanką.

* Ja... chętnie odwiedziłabym cię w Norwegii. Byłabym dobrą gospodynią w „Kasserollen”. Gdybyś mnie tam potrzebował.

Stało to się tak szybko, wydawało się tak szczerze. Oczywiście od samego początku miał taką nadzieję, ale nie śmiał w to wierzyć. Genevieve i on! Tob będzie zachwycony. „Kasserollen” będzie miało swoją królową, prawdziwą królową win.

* Możesz przyjechać do Norwegii, kiedy tylko zapragniesz. Jeśli tylko mnie chcesz... to możemy zbudować razem zamek... Premier Grand Cru Classe... jakby * wyjąkał. On, Fredric Drum, jąkał się. To, co mówił, było takie niezwykle, całkowicie nowe.

Nagle przerwano im. Do salonu weszły dwie osoby. Wysoki, szpakowaty mężczyzna o ostrych rysach i orlim nosie, ubrany w sztruksowy garnitur, i młodszy, chudy mężczyzna, który mógł być w wieku Fredrica. Obaj uśmiechnęli się i podeszli do nich.

* Tutaj pani siedzi, mademoiselle. No proszę, widzę, że tak długo oczekiwana osoba w końcu się pojawiła. Najwyższa pora, signore Drum, bo nawet sławny krajan nie może pana zastąpić. Bo to pan jest Fredric Drum, prawda?

Fredric uściśnął wyciągniętą do niego dłoń.

* Vitollo Umbro, do usług. Jeśli stracił pan dar wymowy, to znaczy, że trafił pan pod właściwy adres * roześmiał się głośno starszy mężczyzna. * To mój asystent, doktor Pinelli, doktor z zakresu medycyny, psychologii i muzyki.

Fredric przywitał się z chudym geniuszem, otwierając i zamykając usta jak wyciągnięta na ład ryba; nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

* Doktorze Vitollo, jestem taka szczęśliwa! Proszę spojrzeć na ten piękny naszyjnik, który dostałam. Les lapons, to dzieło Samów. A kiedy mnie pan stąd wypisze, to niemal natychmiast udam się do Norwegii! * powiedziała Genevieve rozpromieniona.

* To wkrótce się stanie, bo właściwie już jesteś zdrowa * uśmiechnął się lekarz i usiadł. Pinelli podszedł do angielskiej hrabiny, która siedziała w niezmienionej pozycji.

* Cóż, signore Drum. Nasze synedrium jest pokaźne, ale ex nihilo nihil, nic nie powstaje z niczego, za tym wszystkim kryją się lata pracy, chyba pan rozumie? Dość bogata fasada plus * oczywiście * nieco odziedziczonych dóbr. * Roześmiał się radośnie, a Fredric zaczął powoli dochodzić do siebie.

* Si, doktor Vitollo. Arcana publicata yilescunt, et gratiam prophanata amittunt, ergo ne margaritas objice porcis, seu asinus substerne rosas * wyrzucił z siebie po łacinie, nie wiedząc właściwie, co mówi. Miał wątpliwości, czy cytat ten pasuje do rozmowy. Ale stało się. Genevieve patrzyła to na jednego, to na drugiego.

* Aż tak źle chyba nie jest * powiedział doktor Vitollo. * Rozumiem, że jest pan pod wrażeniem tego, jak dobrze się czuje pańska ukochana ?

* To niewiarygodne * odpowiedział Fredric cicho. * Nie pojmuję, jakie czary pan stosuje, ale moim zdaniem powinien pan już dawno dostać Nobla.

Vitollo Umbro spowaźniał. Następnie pochylił się do przodu i zwrócił do Genevieve i Fredrica:

* W moim zawodzie * zaczął * metod nie ocenia się według ich skuteczności. Niestety. Uznane metody stosowane są często przez jakichś guru w dziedzinie medycyny i psychiatrii. To, co ja robię, jest proste, ale nie jest akceptowane. Używam muzyki jako środka wspomagającego rozwiązywanie doraźnych i chronicznych dolegliwości. Żadnych leków. W większości przypadków jesteśmy w stanie leczyć zarówno senso*ryczną, jak i motoryczną afazję, o ile ta nie jest spowodowana rosnącym guzem. Specjalizujemy się w afazji wrodzonej, tak zwanej głuchoniemocie. Afazja sensoryczna zubaża język; stosując aktywną stymulację lewej połowy mózgu, sprawiamy, że znów odżywa. Jeśli chodzi o pacjentów autystycznych, wiemy, że punktem wyjścia może być schizofrenia, bardzo ciężka przypadłość duszy. Chory żyje w marzeniach sennych, wykazując jedynie niewielkie zainteresowanie otoczeniem. Ludzie dotknięci autyzmem nie dają się z reguły przekonać, że rzeczywistość jest taka, jak my twierdzimy, że jest. Jednak muzyka ma na nich duży wpływ, o ile zostanie prawidłowo zastosowana. Nie przesadzę, jeśli powiem, że siedemdziesiąt procent wszystkich przypadków autyzmu można wyleczyć. Tylko że wymaga to czasu i cierpliwości * dodał i zapalił papierosa.

* Przypadek Genevieve był szczególny * dodał, mrugając do niej szelmowsko. * Nie cierpiała ani na afazję, ani na schizofrenię. Zatrucie i szok zablokowały niektóre rejony jej mózgu. To był łatwy przypadek, gdyż organizm zareagował już na pierwszą stymulację. Możesz być spokojna: wyzdrowiejesz, a raczej już jesteś zdrowa, w stu procentach. Chcemy tylko jeszcze przeprowadzić kilka testów w celach badawczych. Nie ma zagrożenia, że podobna historia może się powtórzyć. Możesz spokojnie jechać do niedźwiedzi polarnych i północnych mrozów, droga mademoiselle! * zawołał, chwycił jej dłoń i z galanterią pocałował.

* Genialne * odezwał się Fredric. Był poruszony. Szpakowaty doktor sprawiał sympatyczne wrażenie; przez chwilę zastanawiał się nawet, czyby nie oświadczyć * na piśmie oczywiście * że cierpi na afazję, by móc uczestniczyć w tak cudownej muzycznej terapii. Być może poruszyłaby ona pewne części jego mózgu, tak że bez problemu mógłby odczytać Codex Ofanes.

* No, moje dzieci, muszę was opuścić. Czekają mnie dwie ciężkie godziny z upartym Amerykaninem, który od dziesiątek lat, po tym, jak opuściła go żona, komunikuje się jedynie z własną szczoteczką do zębów. Jest pan tu zawsze mile widziany, signore Drum; mam nadzieję, że * podobnie jak moi pacjenci * będzie pan dobrze się tu czuł. Buona notte! * powiedział i odszedł.

* Signore Vitollo przynosi wszystkim radość! * wykrzyknęła Genevieve.

* Tak wygląda * odpowiedział Fredric. * Oczywiście wyjątkiem jest wuj rezydujący na zamku.

* Dlaczego o tym mówisz? Co o nim wiesz?

* Nic o nim nie wiem. i nie chcę wiedzieć. Jedyne, czego pragnę się dowiedzieć, to czy naprawdę chcesz przyjechać do Norwegii? Dobrze słyszałem?

* Jesteś taki słodki i taki głupiutki! Oczywiście, że chcę. Będzie mi się to dzisiaj śniło * powiedziała; zamknęła oczy i westchnęła.

Dum, Drum, durny Drum, durny, durny, pomyślał, zerkając na powierzchnię wody namalowaną ręką Moneta. Żadnych wirów, całkowicie gładka powierzchnia. Doktor Pinelli nadal siedział obok milczącej hrabiny. Zrobiło się późno i Fre*dric oznajmił, że pewnie powinien zacząć się zbierać.

Genevieve skinęła głową. Wstała, żeby odprowadzić go do drzwi.

Wychodząc z salonu, usłyszeli ostry, zachrypnięty krzyk:

* Fuck my ass, you degol* Z wyraźnym oksfordzkim akcentem. Angielska hrabina robiła postępy.

* Dobranoc, kochana. Dziękuję za cudowny wieczór.

Genevieve pocałowała go; stali spleceni w uścisku pod sklepieniem bramy. Dookoła panowała całkowita ciemność, głos cykad zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

* Przyjdiesz do mnie jutro? Do pokoju? Będę wypatrywała cię o czwartej, kochany, nie pozwól mi czekać zbyt długo, już płonę z tęsknoty.

* Przyjdę, Genevieve. Nie niepokój się. Dobranoc, kochanie. * Machał do niej, aż znikła w drzwiach.

* Romantyczność, Fredricu * mówił sam do siebie, gdy, potykając się, szedł w ciemnościach * jest matką wszelkiej głupoty. To najbardziej banalna i czysta forma poezji. To jest Ido*lae flosklum. Jak to cudownie słyszeć, gdy ktoś mówi: „Płonę z tęsknoty do ciebie!”. I wiedzieć, że tak jest. * Sam także płonął. Popołudnie i wieczór były cudowne, tak cudowne, że nawet nigdy nie śmiał marzyć, że tak będzie. Był smakoszem, kochał jedzenie, kochał wino i szyfry. Teraz był także kochankiem. Tak zwyczajnie, po prostu. To banalne, ale jak najbardziej prawdziwe.

Trudno mu było poruszać się w ciemności. Nie znał drogi. W odległości jakichś stu metrów widział światła miasteczka i zarys dużego, częściowo zawalonego budynku. Niedaleko stąd

był hotel. Zauważył pojedynczą żarówką się gdzieś wysoko żarówkę. Pewnie w „Albergo Anziano Ofani”. Właściciel, sig*nore Garrofoli, oszczędzał elektryczność. Fredric Drum miał dużo czasu, nie spieszo było mu wracać do swojej klasztornej celi. Wszedł w krąg słabego światła padającego z domów wokół rynku. Znajdował się w pobliżu wykopalisk; dostrzegł kolumnę leżącą obok drogi. Podeszedł i usiadł. Zegar na kościele wybił jedenastą.

Zamierzał zostać tu dwa tygodnie. Genevieve była zdrowa. Za kilka dni przyjedzie profesor d'Angelo. Prędzej czy później będzie musiał powiedzieć jej o kodeksie. Zresztą dlaczego miałby to ukrywać? Ale ona czegoś wyraźnie się boi. Coś wie? W końcu przebywa tu od kilku miesięcy, i jeśli działałoby się coś podejrzanego, prawdopodobnie zwróciłaby na to uwagę. Nie chciała, żeby on w coś się wdał. Uśmiechnął się w ciemnościach.

Fredric Drum. Ciekawski od urodzenia. Umrze z pytaniem na ustach. Nie dalej niż dwa dni temu, gdy nagle w autobusie pojawili się policjanci, w powietrzu nad urwiskiem nad Morzem Jońskim zawisło pytanie, które nadal pozostawało bez odpowiedzi. Obawiał się, że ten, kto ma na nie odpowiedź, raczej nie zna się na żartach.

Ruszył w stronę hotelu. Nad drzwiami wejściowymi rzeczywiście paliła się żarówka. Drzwi nie były zamknięte.

* Signore Drum.

Niski głos właściciela hotelu dobiegł go gdzieś z ciemności w momencie, kiedy otwierał drzwi. Wzdrygnął się. Zobaczył cień w kącie, a po chwili rozbłysnęło światło.

* Si, signore, to ja * odpowiedział, starając się, aby to zabrzmiało pogodnie. Ponure oblicze signore Garrofoli mogło przerazić każdego.

* Mam dla pana klucz. Do drzwi wejściowych. Teraz, kiedy jest niewielu gości, zwykle wcześniej się kładziemy. Będzie pan mógł wychodzić i wracać, kiedy pan zechce * powiedział i podał Fredricowi klucz.

Prawosławny biskup, pomyślał Fredric. Albo prior. Przeor klasztoru. Garrofoli świetnie pasował do otoczenia.

* Grazie, signore Garrofoli. * Wziął klucz i włożył go do kieszeni.

* Poza tym * ciągnął dalej właściciel * wołałbym, żeby wychodząc na zewnątrz, nie brał pan ze sobą klucza. Ma pan go w kieszeni, prawda? * spytał, patrząc niemal z wyrzutem na Fredrica, który skruszony pokiwał głową.

* Rozumiem, signore. Rano, kiedy wstałem, nie byłem do końca przytomny.

Chciał powiedzieć dobranoc i jak najszybciej udać się do swojego pokoju.

* Będę o tym pamiętał * obiecał i ruszył w kierunku szerokich kamiennych schodów.

* Jeszcze tylko jedno, signore Drum. Uprzedzając pana pytanie, chciałem wyjaśnić, że mam ostatnio pewne trudności, więc nieczęsto będzie pan widywał mnie w recepcji. Co nie znaczy, że jestem niegrzeczny. Słynę z uprzejmości i dokładności. Od ponad dwudziestu lat prowadzę hotel, który cieszy się jak najlepszą opinią. Buona notte * zakończył i bezszelestnie zniknął za drzwiami.

Fredric wzdrygnął się. Pokręcił głową i zaczął iść w kierunku swojego pokoju.

Ruszt żarzył się przyjemnie; w pokoju nie było wilgoci, której się spodziewał. Jego notatki leżały dokładnie w miejscu, w którym je zostawił.

Zapalił lampę naftową. W migoczącym świetle zobaczył, że na ścianie pojawił się kolejny łaciński cytat. Tekst był krótki i zwięzły: Morituri te salutant.

Pozdrawiają cię, idący na śmierć.

Zanurzenie się w hermetyce,
pożegnanie signore Loppo
oraz Fredric Drum podążający
za światłem w mroku

Fredric Drum usiadł nagle na łóżku. Zegarek wskazywał za kwadrans trzecią. Był pewien, że to nie był sen; na pewno słyszał jakiś dźwięk.

Nasłuchiwał w ciemnościach.

Nagle znów go usłyszał. Było to wyraźne zawodzenie, smutna melodia, która rozbrzmiewała raz ciszej, raz głośniej, niekiedy fałszywie, po chwili znów harmonijnie i spokojnie. Czy ktoś jest w korytarzu? Odwrócił głowę, ale nie potrafił powiedzieć, skąd pieśń dochodzi.

Zapalił lampę naftową i ustawił słaby płomień. Włożył spodnie i koszulę. Hotel miał w sobie coś, co prowokowało jego ciekawość.

Sięgnął do walizki i znalazł to, czego szukał: mały długo*pis*latarkę. Następnie podszedł do drzwi i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Pieśń dochodziła gdzieś stamtąd, może z drugiego pokoju?

Uchylił drzwi. Korytarz był pogrążony w ciemnościach. Pieśń brzmiała równie słabo, ale potrafił zlokalizować źródło głosu. Dochodził z pokoju w głębi korytarza. Nie zapalił latarki, tylko szedł po omacku, trzymając się ścian. Momentami pieśń brzmiała tak, jakby śpiewał ją ktoś potrzebujący pomocy. Był to głos kobiety.

Po co się tym zajmować?, pomyślał i zatrzymał się. To go w ogóle nie dotyczy. Dlaczego jakaś kobieta nie miałaby wyśpiewać swego smutku czy swojej radości? Dlaczego on, turysta, miałby wtrącać się w jej sprawy? Ale czy to naprawdę była pieśń? Szedł dalej.

Długo stał pod drzwiami, zza których dobiegała pieśń. W końcu ostrożnie położył dłoń na klamce i nacisnął. Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Uderzyło go zimne, wilgotne powietrze. Nic nie widział, w pokoju nie było światła. Zdziwił się, że pieśń wcale nie brzmi głośniej. Pokój był chyba pusty. Odczekał minutę, dwie. W końcu zapalił małą latarkę i rozejrzał się.

To, co zobaczył, właściwie go nie zdziwiło. Pokój był niemal identyczny jak jego. Był to pokój gościnny, ale nikogo w nim nie było. Poświecił latarką po ścianach. Dźwięki pieśni musiały skądś dochodzić. W pokoju stała duża szafa, ciężka, solidna, z cedrowego drewna. Czy to możliwe, że głos...?

Podszedł do szafy i ją otworzył. Dźwięk przybrał na sile. Sprawdził dokładnie jej wnętrze, ale niczego nie zauważył. Nie zdziwiłby się, gdyby w środku znalazł magnetofon z kręcącą się taśmą. Ale szafa była pusta, całkowicie pusta. Badał palcami jej ściany, gdy nagle na jego dłoni pojawił się ogromny pajak. I przywarł do ręki. Fredric wzdrygnął się przerażony i odskoczył w głąb pokoju. Poczul silne uderzenie w głowę, coś białego błysnęło mu przed oczami, po czym wszystko zrobiło się czarne.

Kiedy doszedł do siebie, leżał na podłodze. Marzył i nie miał pojęcia, gdzie jest. Nagle sobie przypomniał. Chwycił się za głowę * z prawej strony wyczuł dużego guza. Było cicho.

Ciemno. Nie słychać było żadnego dźwięku.

Podniósł się i poczuł ból w skroniach. Uderzenie było mocne. Zaczął szukać swojej latarki. W końcu ją znalazł. Leżała w połowie drogi do łóżka przypominającego straszego potwora.

Oczywiście zahaczył głową o dużą belkę na górze łóżka.

* Idiota * zasyczał do siebie.

W końcu odnalazł drogę do swojego pokoju, sięgnął po szklankę stojącą na nocnym stoliku i wypił kilka dużych łyków wody. Drobna rana na jego dłoni silnie pulsowała, ale tym się nie przejmował. Pieśń zamilkła.

Pieśń?

Złapał się za głowę i jęknął. Zdjął spodnie i koszulę, zatrzymał się na chwilę obok komody, przyglądając się durnemu łacińskiemu cytatu. „Pozdrawiają cię, idący na śmierć”. Pokłon gladiatorów przed cesarzem na Forum Romanum. Chwycił pióro, wziął kartkę papieru i dużymi literami napisał: „Plaudite, cives!”. Klaszczcie, obywatele! Powiesił kartkę pod ramką z cytatem. Ostatni akt łaski cesarza dla straceńców.

Wziął prysznic i pomacał guza na głowie. Był spory. Następnie nakleił plaster na miejsce, w którym ugryzł go pająk.

Obudził się wcześniej, w dobrym nastroju. Nie było jeszcze ósmej. Wydarzenia nocy zdawały się odległe. Natomiast bynajmniej nie było odległe wczorajsze cudowne spotkanie z Genevieve.

* Genevieve * powiedział głośno do lustra w łazience i mrugnął do siebie. Może jego życie właśnie zaczyna się zmieniać? Wobec kobiet zawsze był nieśmiały i wycofany. To, co wydarzyło się wczoraj po południu, zostawiło wyraźny ślad w jego pamięci. Nadal czuł zapachy. Wkrótce znów ją zobaczy. * Ty dupku! * powiedział. Tak mocnych słów Fredric Drum rzadko używał w odniesieniu do własnej osoby.

Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami pokoju, w którym był w nocy. Nie mógł się powstrzymać.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

Od spotkania z Genevieve o czwartej dzieliło go jeszcze wiele godzin. Właściwie, pomyślał, wszystko inne jest bez znaczenia. Może powinien dać sobie spokój z kodeksem, zapomnieć o ruinach i profesorze Donato d'Angelo i poprosić Genevieve, żeby jak najszybciej się spakowała, by mogli razem stąd odjechać, zanim on wda się w coś, co * wyraźnie to przeczuwał * może się dla niego źle skończyć. Zwykle miewał nosa, czuł, kiedy na coś się zanosi. A może przesadza? Czyżby dlatego, że ktoś' sobie z niego paskudnie zażartował w miejscowym autobusie do Ofanes, teraz wszystko ma być podejrzane?

* Fredricu * odezwał się sam do siebie, siadając na łóżku. * Tym razem musisz powściągnąć swoją ciekawość. Trzymaj się z daleka od spraw, które cię w ogóle nie dotyczą, trzymaj się z daleka od wszystkiego. Okej?

* Okej * odpowiedział.

Ale chyba wolno mi myśleć? Zastanowił się i pokiwał energicznie głową. Myśleć mógł do woli. Tutaj, w tym pokoju, w tej zakonnej celi, mógł rozmyślać w spokoju. Mógł na przykład rozważać różne konteksty. Czy istnieje jakiś związek między jego pobytem na skalnej półce a śmiercią dwóch chłopców. To proste. W obu przypadkach podmioty w mniejszym bądź większym stopniu były związane z archeologicznymi wykopaliskami. Mógł także zastanawiać się nad tym, co łączy tajemnicze łacińskie cytaty pojawiające się na ścianie jego pokoju z pieśnią, którą słyszał w nocy. Do tego jeszcze właściciel hotelu wyznał mu, że ma kłopoty. Tutaj ogniwem łączącym mogła być Andrea, chuda kobieta * gospodyni? kochanka? * która przemykała się po domu przestraszona i zgorzkniała.

Powiązania mogło być więcej. Brakowało mu jednak wielu innych, koniecznych ogniw.

Zgadywanie nie miało sensu. Powinien się skoncentrować.

Przez następne dwie godziny skupiał się nad Tarczą Trithe*miusa i Champolliona.

Przeanalizował Fragment numer 233 XII Codexu Ofanes pod wszelkimi możliwymi kątami; posłużył się kabalistycznymi kryptosymbolami arabskiego mędrca, al Mal*ahquida, udał się aż do Tybetu, sięgając po pismo ognia Czternastu Świętych Mnichów z ksiąg Tylandusa.

Rozłożył na części sumeryjski Tetragrammaton, szukał nowych podejść. Przejrzał czterdzieści najważniejszych systemów kodowych rozwiniętych przez Trithemiusa, zastosował piktogramy i starożytną ornamentykę z Lukki. Wszystko nadaremnie. Cztery wiersze znaków pozostawały zamknięte, nie poddawały się.

Nie miał niczego.

Ale jego umysł się wyostrzył. Był teraz w stanie przeniknąć przez grube ściany, powędrować wzrokiem na zamek na wzgórzu. Na kołyszącym się na wietrze sznurze do bielizny siedziały kruki. Wielkie, czarne, zachrypnięte kruki. Poderwały się, kiedy jakaś kobieta przyszła zabrać bieliznę.

Fredric sięgnął po gruby tom filozofii antyku. Otworzył na chybił trafił, po czym zaczął szukać rozdziałów traktujących o pitagorejczykach. Pitagoras z Samos osiedlił się w Croto*ne. Niewykluczone, że wykopaliska w Ofanes są świadectwem bytności tutaj jego następców. Być może zagadka, a więc i jej rozwiązanie, ma związek ze słynnym filozofem? Pitagoras posiadał wielką wiedzę. Na temat życia i działalności tego człowieka powstała niezliczona ilość anegdot. Filozof i poeta Xenophanes (Xenophanes * Ofanes? odnotował Fredric w swoim zeszycie) podaje, że wierzył w wędrówkę dusz. Kiedy mistrz widział, jak ktoś bił psa, wołał, żeby tego nie robił, bo dusza zwierzęcia była wcześniej duszą jego przyjaciela. Podobno rozpoznawał to po skowycie psa. W wielu przypadkach Pitagoras wyrastał wręcz na jasnowidza o nadludzkich możliwościach i cudotwórcę; był blisko spokrewniony z boskimi mędrkami Orientu. Mógłby być odpowiednikiem perskiego Zarathustry czy egipskiego Hermesa Trismegistosa.

Hinduski mistycyzm, pomyślał Fredric. Filozoficzny system Sankhya. Jakie były źródła doktryny Pitagorasa?

Dla Pitagorasa dusza była istotą wyższą, podobną do boga; daimon, pozostający w cielesnym świecie do czasu oczyszczenia, które umożliwiało powrót do boskich źródeł. Dusza była więziona przez materię. Jednak zamiast poszukiwać mistycyzmu i ascetycznej samodyscypliny prowadzącej do metafizyki, jego uczniowie zajmowali się arytmetyką, geometrią i astronomią. Matematyka jako narzędzie prowadzące do oczyszczenia duszy. Kontynuatorami tej idei byli Euklid, Aristarchos i Ar*chimedes.

Fredric zadumał się. Nauka Pitagorasa mogła być metafizyką! Metafizyka pełniła funkcję nadrzędną wobec wiedzy

o liczbach i pojęciach, które były jedynie środkami służącymi do przejścia na •wyższy poziom. W porządku. Arytmetyczna metafizyka głosiła, że arche wszystkich rzeczy należy szukać w liczbach. Liczba jako arche. Do czego mogły one zostać użyte? Hermetyka, pomyślał Fredric. Kabaliści i krzyżowcy, alchemicy i współczesne wróżki, wszyscy mieli takie same pomysły jak Pitagoras. Jego filozofia mogła w rezultacie doprowadzić do czystego w formie * ukrytego * hermetycznego kierunku.

Zaczął się zastanawiać, jak wielu naukowców, badaczy antyku i filozofii wpadło na to wcześniej. Czyżby brakowało im dowodów?

Dowód być może leżał przed nim na stole: cztery niezrozumiałe wiersze, Fragment numer 233 XII. Fredrica przeszedł dreszcz. Teraz dopiero zrozumiał, jak ważne mogłoby okazać się rozszyfrowanie tego tekstu.

Przez bite dwie godziny czytał o pitagorejczykach. Kiedy poczuł ssanie w żołądku, uznał, że pora udać się na śniadanie.

W drodze do trattorii powtarzał pod nosem dwa słowa, dwa pojęcia zaczerpnięte z filozofii pitagorejczyków: peras

i apeiron. Niemożność i moc przeciwieństw. Każda para przeciwieństw zawierała w sobie napięcie, posiadała niewidoczne pole oddziaływania stanowiące arche, zasadę przeciwstawności. Kto je odbierał i rozumiał, był w stanie otworzyć drzwi do wiedzy.

Signore Ratti, właściciel trattorii, przywitał Fredrica ze smutną miną, kiedy ten zamawiał śniadanie. Natomiast Fredric był w radosnym nastroju. Zaczął poetycko:

* Ave, Bachus! Jakież cudowne słońce oświetla krainę antyku. Po śniadaniu, signore Ratti, poproszę wino, najlepsze, jakie pan skrywa w swojej przepastnej piwnicy!

Albo jego włoski był niezrozumiały, albo właściciel z nieznanego powodu postanowił okazać mu niechęć, bo kiedy Fredric skończył jeść, signore Ratti stał oparty o framugę, udając, że w ogóle go nie widzi, i oddawał się czyszczeniu zębów wykałaczką. Na stole nie pojawiło się żadne wino.

Fredric postanowił dotrzeć do sedna sprawy.

Wstał od stołu, minął właściciela i wszedł do niewielkiej, rzadko używanej salki w głębi lokalu. Stanął i zaczął się rozglądać. Ratti podszedł do niego szybkim krokiem i spytał, czego sobie życzy.

* Szukam zejścia do piwnicy z winem. Chciałbym ją obejrzyć * powiedział Fredric, patrząc Rattiemu prosto w oczy.

* Obejrzyć? Wino? * Ratti wzruszył ramionami, * Tu na górze też mam wino. * Wskazał na półkę nad ladą.

Fredric pokręcił głową.

* No, signore. W piwniczce jest inne wino. Dobre wino. Proszę mi je pokazać * rzekł i demonstracyjnie skrzyżował ręce na piersiach.

* Si, si, signore Drum. Oczywiście podam panu dobre wino. Chce pan je zobaczyć? * spytał i nagle się uśmiechnął. Fredric nie odwzajemnił uśmiechu.

* Zobaczyć * powtórzył.

Ratti ruszył przodem. Zeszli schodami, które rzeczywiście prowadziły do piwniczki z winem. Na półkach ułożone były butelki.

* Proszę * powiedział właściciel. Chrząknął wzruszony. *Tu jest dużo dobrych win. Sądzę wręcz, że najlepszych w naszym rejonie. Ciro, Melissa, Capo Rizzuto, wina z Puglii i Basi*licaty. A tam, w rogu, jest kilka skrzynek Classico.

Fredric głośno zagwizdał. Tego się doprawdy nie spodziewał. Tylko dlaczego Ratti jest mu tak niechętny?

* Signore Ratti * zaczął. * Wspaniała piwniczka. Proszę wybrać mi butelkę wina, które uzna pan za najlepsze w regionie.

* Tak? Naprawdę? * Właściciel spojrzał na niego podejrzliwie. * Na pewno wiem, czego sam miałbym ochotę się napić, gdybym chciał uczcić coś wyjątkowego. To * powiedział i zdjął z półki jakąś butelkę.

Fredric przestudiował etykietkę. Preludia no 1 1975. Butelka była ładna, skinął więc głową.

* Grazie, signore. Poproszę tę * powiedział i ruszył schodami na górę. Wyszedł na słońce i usiadł przy stole. * Dziwne * wymamrotał pod nosem. * Bardzo dziwne.

Po chwili nadszedł Ratti z butelką i dużym kieliszkiem. I jedno, i drugie wytarł dokładnie ścierką. Następnie bardzo ostrożnie i fachowo otworzył butelkę i nalał trochę wina do kieliszka Fredrica.

Fredric nie spieszył się. Długo wahał i chłonał bukiet. Wziął łyk, trzymał go w ustach.

Przełknął. Wziął kolejny łyk. Siedział z zamkniętymi ustami, jakby coś przeżuwał. W końcu spojrzał na właściciela i powiedział:

* Signore Ratti. To dla mnie zaszczyt. To wielkie wino, naprawdę wielkie. Ma bogaty bukiet, jest łagodne, ale nie za łagodne, a smak pozostaje w ustach długo po przełknięciu ostatniego łyka. No i pobudza wyobraźnię. Takiego właśnie szukałem.

Ratti stał obok stolika, na jego twarzy malowało się zdziwienie. Po chwili zaczął się cofać, dotarł do drzwi i zniknął.

Fredric na chwilę zapomniał, gdzie jest. Wahał, gulgotał, mlaskał i przetykał, całkowicie pochłonięty doświadczeniem smakowym, jakiego dostarczało mu wino. Między jednym a drugim łykiem mruczał pod nosem słowa wywodzące się z południowoamerykańskiego narzecza Indian. Język ten miał setki synonimów dla norweskiego słowa woda. H₂O. Dzięki temu mógł bardzo precyzyjnie określić i nazwać nowe zapachy i smaki. Dzięki temu całe zdarzenie pozostanie mu dłużej w pamięci.

Tob, jego partner z „Kasserollen”, powinien teraz tu być. Jego okrągłe okulary aptekarza zasłzyby mgłą. Byłby podniecony odkryciem nieznanego mu dotąd wspaniałego wina. Lecz Tob mieszał teraz w garnkach w Oslo.

Kiedy butelka była już niemal w połowie pusta, uzmysłowił sobie, że signore Ratti nadal się nie pokazał. O tak wczesnej porze Fredric był jedynym gościem w lokalu. Gdzie zniknął

właściciel? Fredric nie potrafił zrozumieć dziwnego zachowania mężczyzny. Miał wrażenie, że kiedy chwalił wino, Ratti nie patrzył na niego wrogo. Był raczej... przestraszony?

Przestraszony. Fredric nie wiedział, że jest w stanie kogoś przestraszyć.

Cieszył się słońcem i winem. Kiedy minęło wpół do dwunastej, stoliki zaczęły się zaludniać.

Zamawiano grappę, espres*so i niewielkie zielone drinki. Przy stolikach siedzieli głównie mężczyźni w średnim wieku i starsi. Wielu z nich grzecznie go pozdrowiało, a on kiwał głową i się uśmiechał.

Zerknął w stronę zamku. Dzisiaj nie zauważył żadnego prania. Spostrzegł natomiast dwoje ludzi * mężczyznę i kobietę *schodzących ze stromego zbocza. Ścieżka wiła się zakolami,

W pobliżu ruin nic się nie działo. Jedyne strażnik, signore Loppo, przechadzał się między fragmentami murów, drapiąc się po głowie.

Fredric był w wyjątkowo dobrym nastroju, po części z powodu dobrego wina, a po części z powodu pracowicie spędzonego poranka. Czekał go popołudnie też napawało go radością.

„Wojownikiem był, wojować potrafił” cytował słowa swojego krajana, dawno już zmarłego króla Magnusa Er*lingssona. Mrugnął porozumiewawczo do dwóch miłośników grappy przy sąsiednim stoliku.

Przez rynek szedł silnie zbudowany, opalony mężczyzna. Miał na głowie duży czarny

kapelusz, idealnie pasujący do eleganckich podkręconych wąsików. Fredric domyślił się, że jest to zapewne mężczyzna, którego widział schodzącego drogą z zamku: kapelusz i ubranie mogły o tym świadczyć. Nie widział jednak kobiety.

Kiedy mężczyzna zbliżył się do trattorii, nagle rozmowy przy stolikach zamarły, ludzie zaczęli wpatrywać się w blaty stolików. Fredric spojrzał pytająco na swoich sąsiadów; jeden z nich wychylił się do niego i wyszeptał:

* IIFalco!

Il Falco, sokół, pomyślał Fredric. Zgadza się. Wysoko uwił sobie swoje gniazdo. Fredric przypuszczał bowiem, że chodzi o Romea Umbro, właściciela zamku i okolicznych winnic.

Złego wuja doktora Umbro, który uruchomił na wzgórzu za szpitalem piekielną maszynę, zakłócając w ten sposób tok leczenia. Mężczyzna nie wyglądał na wiele starszego od doktora.

Romeo Umbro stał i kiwał się na obcasach, przyglądając się dokładnie gościom w kafejce.

Miał ostry, baczny wzrok. Nie bez powodu otrzymał swoje przezwisko, pomyślał Fredric.

Signore Ratti biegał wśród stolików niemal przerażony, usuwając pospiesznie puste kieliszki i filiżanki.

Wzrok Umbro zatrzymał się na Fredricu. Na twarzy mężczyzny pojawił się cień uśmiechu, a może był to grymas? Zrobił cztery kroki i stanął przy stoliku, zasłaniając mu słońce.

Fredric zmarszczył czoło.

* Signore Fredric Drum z Norwegii * dał się słyszeć jego niski głos. Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie. * Łatwo się domyślić, któż inny piłby w środku dnia najdroższe wino w regionie? * dodał. Nie pytając, sięgnął po krzesło i usiadł.

Fredric był w doskonałym nastroju, więc nawet się nie zirytował, zmarszczył tylko lekko czoło.

* Romeo Umbro.

Słowa zabrzmiały niczym policzek.

* Norwegia * ciągnął dalej mężczyzna, sadowiac się wygodnie na krześle. * Norwegia, Norwegia. Imbecyle, sztywnia*cy i idioci. Puszące się koguty, mięczaki, zadufani protestanci. Zadzierający nosa zasmarkani gówniarze. Urodzeni w jakiejś lodowej jamie pod ledwie świecącym słońcem. Oszronieni od urodzenia, z zamarzniętymi gilami u nosa; rozpułtni i rozwiązli, umrą i zostaną pochowani w tundrze. I taki śmie tu przyjeżdżać i się mądrzyć! Ostatnie słowa padły z taką siłą, że Fredric cofnął się przestraszony na krzesło, i niewiele brakowało, a przewróciłby kieliszek.

Dookoła zaległa ciężka cisza.

* Scusi, signore, ale byłby pan uprzejmy odejść? Nie znam pana i nie ma pan prawa...

Uderzenie pięścią w twarz przerwało jego wywód; butelka stojąca na stole zachwiała się.

* Nie mam prawa? Nie masz tu nic do gadania, ty zimny dorszu! Tu w Ofanes rządzą ja, nie ty! Rozejrzyj się! Widzisz te winnice, gaje oliwne, port, zamek? To wszystko jest moje.

Gdyby nie ja i moja rodzina, to miejsce nie istniałoby; zamieniłoby się w nędzny ugór porośły kaktusami. Jeśli tego nie rozumiesz, to pakuj manatki i znikaj stąd, o ile twoje nogi są jeszcze w stanie cię nieść * dokończył i dał znak signore Rattie*mu, który natychmiast pojawił się z kieliszkiem grappy.

* Szpital też jest pana własnością? * spytał Fredric szyderczo, kiedy trochę się otrząsnął.

* Nie mów mi o żadnym szpitalu, draniu! * padła odpowiedź. Dało się słyszeć uderzenie pustego kieliszka o blat stołu. * Mój zadzierający nosa kuzyn może przenieść swój dom wariatów w każde inne miejsce na świecie. Jest nieprzyzwoicie bogaty. Dlaczego zajmuje moją najlepszą ziemię? Co? Jeśli o mnie chodzi, najchętniej wysłałbym jego i te jego nieme dziwki na biegun północny.

Fredric próbował zrozumieć zdenerwowanie mężczyzny. Jego nieuprzejme zachowanie musiało być wynikiem jakiegoś poważniejszego konfliktu. Fredric nie bardzo rozumiał, w jaki sposób jego obecność tak podniosła temperaturę sporu.

* Mógłby pan wyrażać się tak, bym zdołał pojąć, na który odcisk panu nadepnałem i skąd się bierze pański niechętny stosunek do mieszkańców Północy? * spytał i spokojnie dołał sobie wina.

* Kretyn * odparł Romeo Umbro, prychnąwszy. * Nawet twój kurczy mózdzek powinien to pojąć. Widać jednak jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz. Odpowiedź na swoje pytania znajdziesz tam! * Wskazał na zamek. * Poza tym * ciągnął *nie masz prawa niczego wiedzieć. To, co ci się zdaje, że wiesz, to nieprawda, a to, czego chciałbyś się dowiedzieć, to czysta fantazja, wytwór chorej wyobraźni. Najlepiej zrobisz, jeśli jak najszybciej stąd się ulotnisz. Albo zrobię z ciebie paczkę i wyekspeduję cię stąd. Cur, quomodo, quando. Takich pytań nie ma sensu stawiać tu, w Ofanes.

Nagle się podniósł, obrzucił wzrokiem wszystkich obecnych i szybkim krokiem opuścił lokal. Fredric zauważył, że zniknął w bramie kościoła.

Wokół niego zaczął narastać niespokojny gwar. Fredric pokręcił głową i odetchnął. Dwóch młodszych mężczyzn podeszło do niego, pytając, czy pazury Il Falco mocno go dotknęły.

* Musisz wiedzieć, straniero, że to potwór. Wszystkich tyranizuje. Wydaje mu się, że jest obszarnikiem, który nadal może stosować średniowieczne prawa. Nienawidzi wszystkiego, co nowe. Gdybyś, straniero, był tu dwa lata temu, kiedy rozpoczęto wykopaliska! Ta ziemia należała przecież do niego, tam rosły jego winnice! Zmobilizował wszystkich skorumpowanych prawników w całej Kalabrii i na Sycylii, ale oczywiście przegrał. My natomiast jesteśmy zadowoleni, że coś tu się dzieje: szpital, wykopaliska przyciągają turystów, dla nas to czysty zarobek.

* Dziękuję, signores. Dziękuję, że panowie mi o tym powiedzieli. Inaczej byłbym przekonany, że jestem jak ta natrętna mucha.

* Powiedz, jeśli będziesz potrzebował naszej pomocy, straniero. Mamy czas i jesteśmy chętni do pracy. Nazywam się Lo*renzo Carli, a to mój przyjaciel, Paolo Servero * poinformował mężczyzna, uklonił się grzecznie i wycofał.

Działanie wina na dobre minęło. Butelka była niemal pusta.

„Odeślę cię jak paczkę!”. Siedział i zastanawiał się nad słowami będącymi wyraźną pogroźką. Wyrażenie było dwuznaczne, mogło znaczyć : albo wylądujesz w trumnie, albo zignoruję cię. Tak czy inaczej, była to pogroźka. Poważna pogroźka.

Dał znak signore Rattiemu. Poprosił o rachunek. Wyraz twarzy właściciela trattorii nadal był nieprzenikniony. Fredric zostawił sowity napiwek i pochwalił wino. Poprosił o drobne do automatu telefonicznego na rynku. Kiedy już miał wychodzić, odezwał się Ratti:

* Wino naprawdę panu smakowało? Fredric rozłożył ręce.

* Wino było boskie, signore. Nie pojmuję, czemu pan wątpi w moje słowa.

Gospodarz chrząknął, ale nic więcej nie powiedział. Fredric pożegnał się i wyszedł.

Zaczął kartkować książkę telefoniczną Crotone. Po jakimś czasie znalazł to, czego szukał:

Prefettura la Chiesa della Crotone. Przy odrobinie szczęścia może mu się udać. Tak czy inaczej, nurtujące go pytanie wymagało odpowiedzi. Mówił długo, starając się wyrażać zrozumiale. Odniósł wrażenie, że uzyskał zapewnienie, iż zostaną podjęte wszelkie możliwe kroki. Zadowolony odłożył słuchawkę.

Ruszył w kierunku małego pomostu. Znalazł miejsce w cieniu pod jakąś szopą i postanowił zostać tu dłużej.

Minęła druga, kiedy w końcu znów skierował się w stronę rynku. Od razu zauważył, że coś się wydarzyło. Rynek był niemal pusty, w trattorii Rattiego nie było ani jednego gościa, a przecież była pora obiadu. Sam miał ochotę na jakieś dobre spaghetti, by doczekać czwartej, kiedy to miał się spotkać z Genevieve.

Szybko domyślił się, co się stało z ludźmi. Obok ruin zebrał się spory tłum; wszyscy najwyraźniej czemuś się przyglądali, panowało dziwne milczenie. Wielu mężczyzn zdjęło kapelusze i ścisnęło je w dłoniach.

Fredric podbiegł do nich. Nie udało mu się przedrzeć przez zwartą cizbę, więc wszedł na murek.

Pośrodku koła leżał człowiek. Nie ruszał się. Leżał na plecach. Oczy miał szeroko otwarte, w jednym ręku trzymał niewielką łopatę. Fredric natychmiast go rozpoznał. To był strażnik, signore Loppo.

* Co się stało? * spytał Carliego, z którym kilka godzin wcześniej rozmawiał w trattorii.

* To signore Loppo * odpowiedział Carli ze łzami w oczach. * Nie żyje. Kwadrans temu znalazła go signora Nan*fi, która przysłała narwać tymianku dla swojego cierpiącego na reumatyzm męża. Signore Loppo leżał tu i patrzył w niebo.

* A policja? Lekarz? * spytał Fredric, chwytając Carliego za ramię.

* Lekarz zaraz tu będzie. Il poliziotto badał biednego Loppo. Twierdzi, że nie ma mowy o przestępstwie. Nie ma żadnych śladów przemocy.

Jakaś klęcząca kobieta szlochala histerycznie obok ciała zmarłego. To była signora Loppo.

* Mają czwórkę małych dzieci * wyjaśnił Lorenzo Carli i odwrócił się wzruszony.

Siedział w swoim pokoju. Było tu chłodno i przyjemnie, do czwartej brakowało zaledwie kilku minut. Zaraz będzie musiał iść. Fredric Drum wpatrywał się w swój zeszyt. Puste strony. Od chwili, kiedy opuścił miejsce tragedii, nie zrobił niczego sensownego.

Puste strony. Prawie puste. Na jednej, na samej górze, zapisał trzy imiona i nazwiska:

Marco Albelli

Aldo Puggi

Signore Loppo

Pitagorejczycy, pomyślał. W jakiś sposób powiązał w myślach to, o czym wcześniej tego dnia czytał, z nazwiskami

trzech nieżyjących. Kiedy czas Pitagorasa dobiegł końca, jego społeczność została wplątana w szereg sporów; wielu jej członków przypłaciło to życiem. Niektórzy zostali spaleni, inni zginęli, trafieni niewidzialnym gromem, który powalił ich na ziemię. Ci, którzy zdołali uciec, zabrali ze sobą tajemną część filozofii Mistrza. Niewidzialny grom?

Genevieve czekała na niego na ławce w ogrodzie obok szpitala. Rzuciła mu się na szyję, upadli na trawę i zaczęli się turlać.

Potem poszli na górę do jej pokoju, gdzie po chwili okna zaszły parą, tak gorąca była ich miłość. Nie byli w stanie się powstrzymać. Trzy lata tęsknoty i pożądania; niewypowiedziane słowa i myśli musiały znaleźć ujście. Odurzeni miłością, wierzyli, że będzie trwać wiecznie.

Pod prysznicem śpiewali w duecie, potem jedli owoce i ciastka z pięknych półmisków, które Genevieve przyniosła . do pokoju.

* Myślałam, że Norwegowie są zimni i powolni, dopóki nie poznałam ciebie * mówiła, drażniąc się z nim. Próbowwała włożyć mu do nosa winogrono.

Fredric kichnął, po czym odpowiedział:

* A ja myślałem, że Francuzki są zarozumiałe i dumne, i noszą szpilki, żeby w każdej chwili móc przywołać do porządku nachalnych adoratorów.

Genevieve zaczęła wypytywać go o Norwegię. A on opowiadał jej o malarzu Munchu i pisarce Undset, o łowieniu pstrągów w przezroczystych górskich potokach, o niedźwiedziach chowających się głęboko w lasach na wschodzie, o wyrabianych tam serach i specyficznym zapachu, którym przechodzą rybacy poławiający krewetki, o Anne Knutsdatter i Kobiecie z laską oraz zakazie picia koniaku w niedzielę. Długo opowiadał jej o „Kasserollen”, o panującej tam wyjątkowej atmosferze, o mądrościach wypowiedzianych przez Toba i niezliczonych godzinach, które spędzili razem przy szklaneczce

wina już po zamknięciu restauracji, przy prywatnym stoliku na tyłach lokalu.

Wypytywał ją o jej ulubione smaki, o jej zainteresowania, marzenia, o dorastanie na zamku wśród winnic w St. Emilion, o tajemnice uprawy wina i ludzi portretowanych w powieściach Balzaka; o rewolucyjne wizje robotników fabryki Renault i niezmienną anglofobię Francuzów.

Potem wędrowali w ciemnościach po ogrodzie, między krzewami hibiskusa i bugenwilli, nic nie mówiąc, policzek przy policzku.

O godzinie ósmej Genevieve miała się stawić na retrospektywną rozmowę u doktora Umbro, który pragnął zanotować wszystkie, nawet najmniejsze, szczegóły mające związek z jej chorobą, wszystko, co w tym czasie przeżyła. Rozmowy te miały się odbywać wieczorami i nie były częścią procesu leczenia, który w zasadzie dobiegł już końca. Miały jednak jeszcze trochę potrwać, tak że mogła opuścić klinikę dopiero za jakiś tydzień. Doktor Vitollo Umbro był szalenie dokładny.

Przed pożegnaniem Genevieve chciała jeszcze pokazać Fre*dricowi pokój muzyczny.

Weszli głównymi drzwiami do holu i ruszyli po schodach na górę. Na końcu korytarza znajdowały się duże drzwi, na których namalowany był satyr grający na harfie. Genevieve otworzyła je i zaprosiła go do środka.

Na podłodze leżały miękkie dywany. Pokój nie miał gładkich ścian, wszędzie były łuki, wykusze, a sufit przedstawiał wzburzone morze podczas sztormu. Wokół stały miękkie, wygodne krzesła. Na statywach wzdłuż ścian rozmieszczone były najdziwniejsze instrumenty muzyczne.

Genevieve szła obok niego i wszystko mu tłumaczyła. Wskazała na antyczną lirę, chelys, która pierwotnie pochodziła z Krety. Instrument ten wymyślił podobno bóg Hermes. Fredric mógł także podziwiać tybetańskie bębenki klasztorne, grecką kitkarę pochodzącą z VIII wieku przed naszą erą, egipskie sekem, a także flety o różnych kształtach.

Na jednej z półek zobaczył instrument, który nie przypominał mu żadnego z tych, które znał.

* To jest cilot * powiedziała Genevieve. Już go nie używano. Pierwotnie pochodził, zdaje się, właśnie z tych okolic. Był to instrument strunowy i dęty, który wydawał przedziwne dźwięki. Wszystkie instrumenty wykorzystywano w procesie leczenia. W pokoju rozmieszczono w różnych miejscach wiele głośników.

Fredric był zafascynowany. Pomyślał, że chętnie usiadłby tutaj i słuchał, rozmyślał. Wszystko zdawało się tak harmonijne, tak przemyślane.

Nagle okazało się, że nie mają już czasu. Za kilka minut Genevieve miała się spotkać z lekarzem. Odprowadziła Fre*drica do bramy. Umówili się na długi spacer następnego dnia. O pierwszej Genevieve miała się stawić na nabrzeżu w miasteczku.

Było już ciemno. Fredric odszukał kolumnę, na której siedział poprzedniego wieczoru. Za jego plecami rozciągał się teren wykopalisk. Był zadowolony. Cieszył się, że żadne ponure myśli, żadne smutne wieści nie zakłóciły jego spotkania z Ge*nevieve, która nic nie wiedziała o nagłej śmierci signore Lop*po. On nie wspominał jej o tym.

Na rynku było cicho. Ofanes pograżyło się w żałobie. Signore Ratti zamknął swoją trattorię. Fredric żałował, że nie ma z kim porozmawiać, że nie ma nikogo, komu mógłby zaufać. Każde pytanie mogło zostać opacznie zrozumiane, o wielu rzeczach nic nie wiedział. Z niecierpliwością czekał na dzień, w którym zjawi się profesor Donato d'Angelo. Na pewno będzie mu mógł wiele spraw wyjaśnić.

Siedział i patrzył w ciemność. W uszach rozbrzmiewała mu pieśń cykad. Przed nim rozciągały się ruiny. Co to był za

gmach? Widział jego zarys i strome szczyty zavalonego dachu. Jutro przyjrzy się wszystkiemu dokładniej. Wiele rzeczy chciałby tu obejrzeć. Ale musi zachować ostrożność, uważać na każdy krok. Nie może sobie pozwolić na nieprzemyślane zachowanie.

W myślach powracał ciągle do zdania zaczerpniętego z fragmentu kodeksu, który miał odczytać. Część greckiego tekstu brzmiała następująco: „... .Ermetica Chiron rzekł tak: to jest Szept Śmierci w naszych wiejskich dionizjach...”.

O kogo chodziło? Czyje słowa skrywał zaszyfrowany tekst, którego do tej pory nie udało mu się odczytać? Czy był to uczeń Pitagorasa? Czy to jemu przypadło w udziale przekazać metafizyczną część nauki mędrca? Czy Codex Ofanes zawierał sensacje i nieznanne odkrycia dotyczące szkół antyku?

Profesor d'Angelo na pewno będzie potrafił na to odpowiedzieć.

Fredric Drum zmrużył oczy. Czyżby tam w oddali było światło? Teraz widział je wyraźnie * niewielki płomień migotał w otwartych drzwiach zrujnowanego domu. Zrobił kilka kroków w jego kierunku.

Światło znikło i nagle znów się pojawiło. Płomień cały czas migotał. Tam wewnątrz są ludzie! Co robią w ciemnościach?

Fredrica paliła ciekawość. Miał ochotę podejść bliżej. Ale się opamiętał: to nie jego sprawa, nie ulegnie pokusie, czemuś, co mogłoby...

Nie dokończył myśli. Jego nogi automatycznie niosły go w stronę budynku. Czemu nie miałby sprawdzić, co to za światło pali się w ciemnościach?

Płomień cały czas drżał. To musiała być świeczka, nie mógł jednak dojrzeć osoby, która ją niosła. Był już niemal przy drzwiach, kiedy potknął się o jakieś fragmenty muru.

* Halo, jest tam ktoś?! * zawołał.

Echo odbiło się od pustych ścian. Nic. Stał i mrugał. Płomień znikł. Już miał się odwrócić i odejść, kiedy znów go zauważył, tym razem bardziej w głębi. Zdecydowanym krokiem przekroczył kamienie i znalazł się wewnątrz budynku. Nad głową widział gwiazdy.

Poczuł odór uryny i odchodów. Usiłował dojrzeć coś w ciemności, ale nie było to łatwe.

Płomień migotał, ale był mocniejszy. Fredric znów zawołał. Żadnej odpowiedzi.

Na pewno widział światło i chyba też... jakiś cień?

Niczym kot podkraść się bliżej. Kiedy wydawało się, że powinien móc zobaczyć osobę niosącą świeczkę, płomień znikł. Szybko jednak znów się pojawił, tym razem gdzieś pod nim. Ten ktoś schodził po schodach.

* Pitagorasie, to ty? Pitagorasie?! * zawołał Fredric, żeby dodać sobie odwagi. Był teraz na szczycie schodów.

Płomień zniknął w głębi korytarza. Może w jakiejś grocie? Fredric zaczął ostrożnie schodzić schodami. Poczuł powiew zatechłego powietrza. Musi się pospieszyć, jeśli nie chce, żeby światło znów znikło gdzieś w głębi.

Potknął się i omal nie upadł. Idź stąd, mówił mu jakiś wewnętrzny głos. Ale nie zawrócił.

Szedł dalej w stronę światła.

Wszedł do większego pomieszczenia, gdzie wyraźnie słyszał echo własnych kroków. Światło znikło. Wokół niego panowała całkowita ciemność. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech. Właśnie miał znów zawołać „halo”, kiedy usłyszał za sobą krzyk. Nie zrozumiał słów, ale w następnej sekundzie usłyszał huk, który wprawił w drżenie bębenki w jego uszach. Ciężkie drzwi, może wręcz wrota, zamknęły się za nim.

Fredric poznaje Wielkiego Inkwizytora,
przyjmuje gościa i słyszy w oddali niebiańską pieśń siostr zakonu Empedesiusa

Stał całkowicie nieruchomo. Czuł lekkie drętwienie dłoni. Doskonale wiedział, co się stało: niczym ślepe zwierzę dał się złapać w pułapkę. Świadomie zlekceważył wszystkie środki ostrożności i uległ temu, co zawsze brało nad nim górę: ciekawości. Najgorsze, że nie czuł strachu, jedynie lekką bezsilność. Syndrom Druma.

Nie ruszał się. Tu, gdzie stał, czuł się bezpieczny. Nie miał pojęcia, co skrywa mrok, domyślał się jednak, że raczej nic przyjemnego. Nasłuchiwał. Usłyszał jakieś drapanie. Od czasu do czasu czuł na twarzy powiew wiatru, dopiero po chwili domyślił się, co to było. Nietoperze. Szczury i nietoperze. Niegroźne zwierzęta. Tam, gdzie są zwierzęta, jest też życie, pomyślał optymistycznie.

Przykucnął. Zaczął macać dłońmi podłogę wokół miejsca, gdzie stał. Kamienie, wilgotne kamienie. I coś gładkiego, grubego. Wbił paznokcie w to miękkie i od razu domyślił się, co to jest. Wosk. I łój. Przez lata skapywał tu z niezliczonej ilości świec.

Aha, pomyślał i wyszperał z kieszeni zapalniczkę. Płomień był słaby i niewiele mógł zobaczyć; dojrzał jednak zarys ścian, wnęk i różne bliżej nieokreślone przedmioty. Zgasił zapalniczkę i zaczął zdrapywać wosk z podłogi. Po chwili oderwał kawałek materiału z koszuli.

Cały czas pozostawał dokładnie w tym samym miejscu. W słabym świetle zapalniczki widział po bokach ciemne cienie; to mogła być przepaść. Długo darł materiał na drobne kawałki i zwijał tak, żeby zrobić z nich knot. Na koniec oblepił go woskiem i postawił na podłodze. Zapalił. Płomień był wysoki i jasny.

Potrzeba jest matką wynalazku, pomyślał i zaczął się rozglądać. Ściany, podłoga i wysoko w górze sufit. Chociaż podłoga właściwie nie była prawdziwą podłogą; Fredric stał na kawałku muru, który prowadził przez całe pomieszczenie. Gdyby zrobił krok w bok, spadłby. Spadłby i zginął.

Mur prowadził od drzwi, którymi wszedł, do gładkiej ściany. Fredrick znajdował się gdzieś pośrodku. Podniósł ostrożnie swoją świecę z podłogi i cofnął się parę metrów w stronę drzwi. Zrobione były z grubych desek, miały zardzewiałe okucia. Były zamknięte. Fredric pchnął z całej siły, ale nie drgnęły nawet na milimetr.

Bezmyślnie wszedł w ciemność, podążając za jakimś światełkiem, niczego nieświadomy balansował na wąskim murze, a teraz został zamknięty, sam. Ale przecież światło było przed nim. Czy ktoś mógł tu wrócić, przejść obok niego tak, by tego nie zauważył, wyjść i zamknąć drzwi?

* Niemożliwe, to jest niemożliwe, Fredricu Drum * powiedział głośno sam do siebie.

Świeczka dobrze się paliła. Postawił ją przed drzwiami i poszedł murkiem aż do przeciwległej ściany. Była gładka, bez śladu jakiegokolwiek otworu. Wokół niego latały nietoperze, rzucając na ściany groteskowe cienie. Gdzieś w dole słyszał drapanie szczurów.

Wyjął z kieszeni kilka drobnych monet i rzucił je. Słyszał, jak uderzyły o dno. Jakies pięć metrów poniżej. Na pewno nie chciałyby tam się znaleźć.

Nie miał gdzie się ruszyć; mógł tylko spacerować po murze. Nie miał pojęcia, do czego to pomieszczenie mogło kiedyś służyć. Na pewno nie był to pokój mieszkalny. Ściany były

pełne dziur, widział też wykusze, a spod jednej z nich wystawały potężne belki. Do samych ścian nie mógł jednak podejść, z obu stron był dół.

Wziął do ręki świeczkę i wychylił się. Nie był w stanie dojrzeć dna.

Co się stało z osobą, która niosła światło?

Długo przypatrywał się drzwiom. Wyglądały tak, jakby nie miały żadnych słabych punktów. Od zewnątrz na pewno były zabezpieczone solidną zasuwą. Zauważył litery wyryte w starym drewnie. Wyryte niedawno. Daty, imiona. Pewnie bawiły się tu dzieci. Na górze widniał jednak znacznie starszy napis. Był w stanie go odczytać: HARMONIUM.

„Harmonium”. Właśnie. Znajdował się w „Harmonium”. Dobrze wiedzieć. Tak wyglądało „Harmonium”.

Zaczął się cicho śmiać. To już przesada!

Dom, a raczej ruina, do której wszedł i w której nadal przebywał, pochodził zapewne ze średniowiecza. To pewnie tutaj mieściła się siedziba inkwizycji w południowych Włoszech. Być może Święty Ambroży, Marcin z Tour i Jan Chryzostom chodzili po tym samym murze, co on, podczas gdy Wielki Inkwizytor, sam Torquemada, mistrz tortur i zadawania cierpienia, stał gdzieś z tyłu i napawał się nowymi, coraz bardziej wymyślnymi metodami.

Miał wrażenie, że ściany wciąż przechowują jego śmiech.

Świeczka szybko się spalała; wkrótce zapewne nic już z niej nie zostanie. Pospiesznie uklękł i przeszedł na kolanach po murze, zbierając wszystkie wosk, jaki był w stanie znaleźć. Było go sporo, ale i tak kiedyś się skończy, a wtedy zapadnie nieprzenikniona ciemność.

Wino, pomyślał, nie od rzeczy byłoby mieć tu teraz butelkę dobrego wina. Żeby uspokoić myśli i pytania, które * niczym uciążliwa osa * nie dawały mu spokoju. Błogie godziny popołudnia spędzonego z Genevieve wydały mu się nagle bardzo odległe. W migoczącym, niemal psychodelicznym świetle płomienia, zaczął się zastanawiać, w jakiej rzeczywistości naprawdę się znajduje. Niczym eteryczny stwór pozbawiony kształtu i formy, pozwalał się wciągać w sytuacje i stany, których istnienia zwykli śmiertelnicy nawet nie podejrzewali. Syndrom Druma.

Wpatrywał się w ciężkie, solidne drzwi. Zapewne miały kilkaset lat, drewno było twarde, zwarte. Pachniało żywicą, a może była to kamfora?

Nagle Fredric Drum zaczął się głośno śmiać; jego śmiech odbijał się echem w podziemiach, aż nietoperze pochowały się po kątach.

Przecież to proste. Wcale nie musi zostać tu dłużej niż to konieczne.

Znów zaczął skrobać kamienny murek, zbierając resztki zastygłego wosku. Wtarł go w drewno na dole drzwi. Potem przyłożył świeczkę.

Szybko pojawił się dym. Płomienie ogarnęły drewno, które po kilku minutach już się porządnie paliło. Ogień stawał się coraz jaśniejszy. Fredric cofnął się i głośno kichnął. Usiadł i cierpliwie czekał. Wpatrywał się w przepaść, która w płomieniach ognia stała się wyraźniejsza. Widział dno. Widok ten wcale go nie ucieszył. Zauważył gęsto stojące zardzewiałe żelazne pręty. Nadziałyby się na nie, gdyby tam spadł. Nie było to bezpieczne miejsce do dziecięcych zabaw.

Spojrzał na zegarek. Kwadrans po dziesiątej. Był tu zaledwie od godziny. Drzwi paliły się ochoczo, dym unosił się aż pod dach, wywołując panikę wśród niezliczonej ilości nietoperzy. Zapach nie był przyjemny, ale Fredric napawał się nim. Zresztą niedługo będzie mógł odetchnąć świeżym powietrzem.

Podszedł do ściany na końcu muru, żeby jeszcze raz jej się przyjrzeć. Osoba niosąca światło nie mogła przecież po prostu przejść przez ścianę. Spojrzał w dół. I wtedy to zobaczył.

Do muru były przytwierdzone żelazne klamry, po których można było zejść. Tyle że w dole nic nie było, pustka, tylko ostro zakończone żelazne pręty. Fredric nie czuł potrzeby, żeby tam schodzić.

Ktoś coś krzyknął i kilka sekund potem drzwi się zamknęły. Czy to było ostrzeżenie? A może ostatnie pozdrowienie dla

Fredrica Drum? Jedno było pewne: i za nim, i przed nim byli jacyś ludzie.

Ogień strawił drzwi w kilku miejscach. Podszedł i mocno w nie kopnął. Iskry poleciały na wszystkie strony i drewno się rozpadło. Mógł wyjść na wolność.

W recepcji „Allbergo Anziano Ofani” było pusto. Fredric był głodny, a ponieważ trattoria była zamknięta, pozostał mu tylko hotel. Zawołał kilka razy „halo” i usiadł na skórzanej kanapie. Czekał.

Z pokoju za recepcją dobiegały odgłosy cichej rozmowy. Rozpoznał niski głos właściciela. W końcu się pojawił: czarne włosy niczym u prawosławnego duchownego, stercząca na wszystkie strony broda i wzrok szaleńca. Pewnie nawet Raspu*tin nie wyglądał lepiej w chwilach największej ekstazy, pomyślał Fredric, zastanawiając się, czy w ogóle jest sens wspominać o jakimkolwiek jedzeniu.

* Mi scusi, signore, ale czy byłoby możliwe, żebym dostał do pokoju butelkę wina i trochę chleba i sera? Trattoria Rat*tego jest dzisiaj, jak wiadomo, zamknięta.

* Prosciutto * wymamrotał Garrofoli, szarpiąc brodę. *Pachnie pan prosciutto, wędzoną szynką. Mocno wędzoną. Poza tym ma pan sadzę na twarzy. Pana twarz jest równie czarna jak moja dusza. Już niczego nie rozumiem. Chodzę niczym perinde ac cadaver, chociaż powinienem... * Urwał nagle. * Życzy pan sobie tylko jedzenie i wino? * spytał, bębniąc nerwowo palcami w blat recepcji.

* Sì, signore, grazie. Do pokoju, jeśli to możliwe. Signore Garrofoli pokiwał głową, wymamrotał coś niezrozumiałego i pospiesznie zniknął w głębi domu.

A Fredric ruszył po schodach na górę. Wszedł do łazienki. Obrazek, który zobaczył, nie był szczególnie piękny: był cały czarny od sadzy. Zaczął się zastanawiać, jak ludzie zareagowaliby na jego widok, gdyby w takim stanie pokazał się w trattorii. Poza tym cuchnęła. Jego ubrania przeszły kwaśnym zapachem dymu. Jeśli tak pachnie włoska szynka, to chyba nie będzie jej próbował.

Wziął szybki prysznic i zmienił ubranie.

Kiedy wrócił do pokoju, jedzenie stało już na stole. Wino, ser i chleb. Po prostu. Rzucił szybko okiem na ramkę z łacińskim tekstem. Ten sam, co poprzednio. A pod nim jego odpowiedź.

Dobrze. Jadł ser i przegryzał suchym chlebem.

Perinde ac cadaver, powiedział właściciel hotelu. „Posłuszny jak trup”. A więc był posłuszny jak trup. Tylko wobec kogo? Szalonej gospodyni? Kochanki? Andrei? Fredric patrzył pustym wzrokiem przed siebie i dalej przeżuwał. Wiele zagadek, żadnych odpowiedzi.

Chętnie zadałby swojemu gospodarzowi kilka pytań. Dotyczących hotelu, pobliskiego dworu w ogrodzie i zrujnowanego domu. Mężczyzna wyraźnie miał jakieś problemy. Jak na tak niewielkie miasteczko było tu zadziwiająco dużo problemów. Fredric zaczął się zastanawiać. Zepchnięto go ze skały, zanim w ogóle zdążył się tu pojawić.

Leniwy i nieuprzejmy policjant oskarżył go o kradzież ptasich jajek.

Wylądował w średniowiecznym klasztorze zamienionym na hotel, którego właściciel zachowywał się * łagodnie mówiąc * niekonwencjonalnie.

Kiedy odwiedził jedyną trattorię w mieście, restaurator patrzył na niego tak, jakby spadł z księżycy.

Został obrzucony stekiem wyzwisk przez nieznanego właściciela zamku w obecności połowy mieszkańców miasteczka.

Owiedził teren wykopalisk, gdzie w ciągu krótkiego czasu zginęły trzy osoby.

Owiedził też piękny stary dwór, obecnie szpital, gdzie rozbrzmiewa muzyka, a pacjenci są zadowoleni; gdzie jego ukochana dała mu szczęście, o jakim nigdy nawet nie marzył.

Został zamknięty w ciemnej piwnicy; właściwie powinien teraz leżeć tam martwy, nadziany na zardzewiałe żelazne szpikulce.

Fredricu Drum, jesteś' szalony.

Pił wino małymi łykami i coraz bardziej się zamyślał. W pokoju było ciepło i przyjemnie, ruszt pod łóżkiem dawał miłe światło, a lampa naftowa sprawiała, że zdawało mu się, iż został przeniesiony do innego stulecia.

Wszyscy wiedzieli, kim był, co mogło wynikać z dwóch rzeczy:

Albo profesor d'Angelo zapowiedział jego przyjazd, mówiąc też, czym się zajmuje, a po dokonaniach Laksdala i Joha*nessena zwracano tu szczególnie baczną uwagę na Norwegów.

Albo też stało się tak za sprawą Genevieve: opowiadała wszystkim szczerze i otwarcie o swoim ukochanym, który wkrótce miał ją odwiedzić. Na pewno spędziła wiele godzin w trattorii Rattiego.

Zachowanie Romea Umbro było wyjątkowe. Najwyraźniej nienawidził Norwegów.

Przyczyną były dokonania Laksdala i Johanessena. Jaka jednak była prawdziwa przyczyna, tej nienawiści? Tego właśnie Fredric Drum zamierzał się dowiedzieć. Życie rodziny Umbro na przestrzeni ostatnich kilku wieków na pewno warte było wnikliwego przestudiowania.

Może jutro wybierze się na spacer i zapuka do bram zamku?

„Nie wtrącaj się w rzeczy, które cię nie obchodzą”. Fredrica ogarnął pusty śmiech.

Laksdal i Johanessen. Więc to ich zasługa, że to miejsce i te wykopaliska budzą takie zainteresowanie. Gdyby nie ich przełomowa metoda rozwijania zwojów, miasteczko Ofanes nie wyróżniałoby się niczym spośród tysięcy innych miasteczek we Włoszech, w których prowadzono podobne wykopaliska. Tutaj jednak znaleziono i odczytano teksty, które mogły zakłócić ogólnie przyjęty obraz antyku. Znaleziono coś nowego, coś zupełnie nowego. I komuś to się zdecydowanie nie

spodobało. Za złośliwymi uwagami Romea Umbro pod adresem Norwegów kryło się coś więcej.

Co on powiedział? „To, co ci się zdaje, że wiesz, to nieprawda, a to, czego chciałbyś się dowiedzieć, to czysta fantazja, wytwór chorej wyobraźni”. Dziwne, mocne słowa. Co jest nieprawdą? To, co można przeczytać w kodeksie? We fragmencie numer 23 XII? Ale co w takim razie Romeo Umbro o tym wie?

Wino miało owocowy smak, niemal kwaśny, ale dobrze mu zrobiło. Odnalazł swoje papiery. Po raz enty przeczytał grecki tekst.

Jakie było przesłanie „Świętego Cylotiana”? Zaczął sprawdzać listy imion i szczegółowe indeksy, ale nie znalazł nic, co byłoby chociaż zbliżone do imienia świętego. Cały tekst był jedną wielką tajemnicą. Fredric był w stanie odczytać jedynie pojedyncze słowa:

„Odeon”, „Apaturie”, „Simmias”, „Hefajstos”, „Heka*te”, „Persefona” i „Chiron”. Poza tym jeszcze „synedrium”

i „Umbolicus Telluris”, które znaczyły: miejsce spotkania i pępek świata.

Czyżby Ofanes było pępkiem świata, miejscem spotkań, gdzie przekazywano sobie ważne informacje i dzielono się wiedzą?

Tekst zawierał odniesienie do jednego z uczniów greckiego filozofa Simmiasa ze szkoły w Tebach. Uczeń ten nazywał się Crotone. Czyżby miasto Crotone zostało nazwane właśnie jego imieniem? Fredric zaczął sprawdzać w księgach, dłuższą chwilę poświęcił Simmiasowi. Człowiek ten najwyraźniej zajmował się różnymi rzeczami.

Na przykład twierdził, że ciało, nasza fizyczna powłoka, jest naciągnięta od wewnątrz, spięta ciepłem i zimnem, mokrym i suchym. Dusza jest krasis, mieszaniną i harmonią. Dlatego dusza ginie razem z ciałem. To samo przecież głosiła nauka przedstawiająca duszę jako harmonię czynników fizycznych, innymi słowy była to psychologia fizjologiczna w powiązaniu

z medycznymi obserwacjami. Patologiczne stany ciała mogły zaburzać funkcjonowanie duszy.

Tym samym, doszedł Fredric do wniosku, Simmias zanegował podstawowy dogmat pierwotnej filozofii pitagorejczyków o nieśmiertelności duszy.

Dwie rzeczy go zdziwiły, mianowicie sprzeczności, z których składała się dusza. Czy chodziło o to, co już wcześniej dowodził Pitagoras poprzez swoje peras i aperion, moc i niemoc sprzeczności, silne pole, które mogło otworzyć drzwi do wiedzy? No i pozostawało jeszcze słowo: harmonia.

Harmonia * Harmonium.

Czyż przed chwilą nie był w pomieszczeniu, które nosiło nazwę „Harmonium”?

Croton był uczniem Simmiasa. Crotone było nazwą leżące nieopodal miasta. W tym mieście osiadł Pitagoras. Po jakimś czasie powstały tu szkoły bazujące na metafizycznej części filozofii Pitagorasa. Po śmierci Mistrza jego wyznawcy pograżyli się w sporach. Niektórzy z nich padali na ziemię, rażeni niewidocznym gromem...

Tetragrammaton. Magia liczb. Kabała, Filozofia hermetyczna. Wiedza tajemna. Anatomizm. Inkwizycja. Wendetta. Słowa*hasła od wieków określające specyficzną kulturę tego kręgu. Ten, kto zacznie tu dostatecznie głęboko szukać, ryzykuje, że natknie się na egzotyczne, ale nie zawsze przyjemne rzeczy.

Fredric był wykończony. Wino sprawiło, że czuł się senny, jego myśli nie były jasne. Ruszt pod łóżkiem żarzył się przyjemnie i dawał miłe ciepło. Fredric wszedł pod koc.

Cisza. Hotel pograżył się w całkowitej ciszy. Nie słychać było żadnych krzyków, nie było tu baru ani nocnego klubu. Był tu tylko jeden gość: Fredric Drum z Norwegii.

Obudził się wypoczęty i w dobrym nastroju. Gdzieś niedaleko piał zachrypnięty kogut, potwornie fałszując i zdecydowanie za późno. Było po dziewiątej. Słońce dawno już wstało. Chwilę leżał jeszcze w łóżku, napawając się optymizmem poranka i pozwalając wędrować myślom nad zielonymi gajami oliwnymi, szemrzącymi fontannami i bujnie rosnącymi trawami, wzdłuż białego wapiennego muru, by po chwili dać im wpaść przez okno do leżącego nieopodal starego dworu.

Genevieve budzi się z uśmiechem na ustach; wstaje, podchodzi do okna i patrzy na zielone morze.

Nagle jego rozmyślania zostały przerwane. Na korytarzu rozległy się kroki. Zatrzymały się przed jego drzwiami. Po chwili rozległo się delikatne pukanie.

Fredric szybko się ubrał. Podeszedł do drzwi i otworzył.

Za drzwiami stała Andrea. W świetle dziennym wcale nie wyglądała na szczególnie przestraszona. Mogła mieć czterdzieści parę lat. Była co prawda chuda i nieco kanciasta, ale wcale nie była brzydka. W jej wzroku była jednak jakaś słabość, która sprawiała, że wyglądała niezdrowo, była blada i poważna.

* Tak? * spytał zdziwiony.

* Ktoś czeka na pana w recepcji, signore Drum * powiedziała tak cicho, że niemal niesłyszalnie. Szybko się odwróciła i znikła w korytarzu.

Gość? Fredric w mig uporał się z poranną toaletą, włożył do ust kawałek suchego chleba, który został od wczoraj. Jakież to gość przychodzi tak wcześnie rano?

Szybko otrzymał odpowiedź. W recepcji stał starszy mężczyzna w dużym, czarnym kapeluszu, ręce trzymał złożone na brzuchu, na sutannie. Był to ksiądz. Ksiądz z autobusu. Fredric natychmiast go rozpoznał. Poczł niewypowiedzianą ulgę: teraz wszystko nabierze tempa! Wczorajszy telefon spowodował, że nareszcie zjawił się właściwy człowiek.

Ksiądz skłonił się, a Fredric wyciągnął do niego rękę i się przedstawił. Zaprosił go do pokoju, który, zdaje się, miał pełnić rolę salonu. W pobliżu nie dostrzegł ani signore Garrifo*iego, ani Andrei.

* Ksiądz mnie pamięta? * spytał spięty.

* Si, signore. Doskonale pana pamiętam. Kilka dni temu został pan aresztowany i odprowadzony przez trzech mężczyzn. Komu pan się naraził i czemu pan mnie wezwał? Mój primas oświadczył, że to ważne, dlatego wsiałem rano na moją vespę.

* Proszę posłuchać * zaczął Fredric podniecony, pochylając się do księdza. * Pamięta ksiądz, że wyprowadzono mnie z autobusu. Policjanci zabrali mnie ze sobą. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Widział ksiądz, co później się stało?

Ksiądz pokręcił głową.

* Autobus natychmiast odjechał.

* Właśnie. A wie ksiądz, co ci trzej policjanci zrobili? Zepchnęli mnie brutalnie ze zbocza w przepaść. Niewiele brakowało, a spadłbym dwieście metrów do morza, na szczęście zatrzymałem się na skalnej półce. Spędziłem na niej niemal dwie doby, zanim zabrał mnie stamtąd śmigłowiec. A teraz miejscowa policja twierdzi, że kłamię i że tak naprawdę to podkradałem ptakom jajka! Ja miałbym być złodziejem jajek!

Stary ksiądz obrzucił go łagodnym spojrzeniem.

* Domyślam się, signore, że policjanci myśleli, że to pan złapał złodzieja jajek. Kolekcjonuje pan jajka?

Fredric otworzył szeroko oczy.

* Ksiądz mnie źle zrozumiał. Proszę posłuchać. Będę się starał mówić wyraźnie. Mój włoski na pewno nie jest doskonały. * Zacerpnął powietrza i jeszcze raz wszystko opowiedział, powoli, spokojnie, patrząc swojemu rozmówcy w oczy.

Zapanowała dłuższa cisza. W końcu ksiądz się odezwał: * To stworzenia boże. Pan Bóg stworzył też ptaszki. Nie

powinien pan być wspominać policjantom o sokole kalabryjskim. Zepchnęli pana, ale Bóg pana uratował.

Fredric miał wrażenie, że chyba się przesłyszał. A może ksiądz ma demencję?

* Proszę posłuchać * zaczął zdesperowany. ** Ksiądz widział, jak trzech policjantów wyprowadziło mnie z autobusu?

* Si, signore, widziałem, jak ze spuszczoną głową wyznawał pan swoje grzechy. Był pan u spowiedzi? * spytał ksiądz niepokojąco łagodnym głosem. Fredric był bliski wybuchu.

* Proszę pójść ze mną * powiedział i wstał. * Pójdziemy na komisariat. Signore Nuragus. Zna go ksiądz może?

Ksiądz zrobił w drzwiach znak krzyża.

* Signora Nuragus, jego babka, dawała co roku trzy kury i prosiaka na szkołę dla niewidomych przy klasztorze Rizzuto. Dożyła stu trzech lat.

W drodze na rynek Fredric nie odzywał się więcej. Ksiądz podążał za nim posłusznie.

Fredric zapukał do drzwi i usłyszeli jakieś mruczenie. Weszli. Signore Nuragus siedział jak zwykle za pustym biurkiem, trzymając w ręku łapkę na muchy.

* Aha, signore Drum. Przybywa pan wyrównać rachunek? * rozległ się jego ironiczny głos. Na widok starego księdza ilpoliziotto wzdrygnął się i na jego twarzy pojawił się cień. Uniósł się na krzesło i lekko się pokłonił.

* Proszę wziąć pióro i kartkę papieru! * rozkazał Fredric. Nie zamierzał być uprzejmy wobec kogoś, kto wykazywał się tak straszną głupotą. * Mam świadka, księdza, który też jechał autobusem. Widział, jak zostałem wyprowadzony z autobusu przez trzech policjantów. To powinno zakończyć te wszystkie bzdury o podbieraniu jajek.

Na czole policjanta pojawiły się krople potu. Rozejrzał się bezradnie wokół i w końcu zatrzymał rozbiegany wzrok na księdzu.

* Autobusem? * powtórzył i zmrużył oczy. * Czy Wasza Świątobliwość podróżował autobusem razem z signore Drum z Norwegii?

* Sì, signore poliziotto Nuragus. Ale on wyraził skruchę, poza tym podźwignął się z upadku

* ciągnął ksiądz spokojnym, kojącym głosem.

* Słucham? * spytał szef policji i kropla potu skapnęła mu z nosa.

* Chwileczkę! * krzyknął Fredric, podnosząc rękę. * Załatwmy to tak, jak trzeba. Proszę wziąć papier i pióro i spisać zeznanie księdza, które ksiądz później podpisze. 31 lipca, w dniu przed obchodami camogli, byłem w drodze z Catanzaro do Ofa*nes, kiedy kilka kilometrów przed Ofanes zostałem siłą wyprowadzony z autobusu przez trzech nieznanych mi policjantów. I tyle. Czy to jest jasne? * spytał Fredric niepokojąco głośno.

Nuragus otarł twarz. Żrenice jego oczu zrobiły się duże jak jagody.

* Tak było, ojczy? * spytał łamiącym się głosem.

Ksiądz patrzył przed siebie. Jego oczy zdawały się przejrzyste jak kawałki lodu; szukały czegoś, co najwyraźniej nie istniało w doczesnym świecie. W końcu się odezwał:

* Prorok Jeremiasz powiedział, że każdy człowiek staje się bezrozumny, gdy pozbawi się go rozumu. Złotnik wstydzi się swoich rytych w złocie obrazów, bo one kłamią; nie ma w nich duszy. Odwiedziłem tego młodego człowieka w opuszczonym przez Boga domu. Widziałem obraz Najświętszej Pani z miską krwi. Ten młody człowiek nigdy nie rozwinie swoich skrzydeł i nie poszybuję równie wysoko jak sokół kalabryjski. Nie wierzę, żeby żałował swoich grzechów, dlatego nie mogę udzielić mu rozgrzeszenia. Nie mogę zeznać na piśmie czegoś, co nakazuje mi jego butna dusza.

Gdy Fredric usłyszał te bzdurne słowa, zrozumiał, że bitwa została przegrana. Ksiądz był szalony. Pokręcił głową, wskazał palcem na szefa policji i powiedział:

* Jeśli ma pan trochę oleju w głowie, proponuję zapomnieć te wszystkie bzdury o podkradaniu jajek. Radzę, żeby pan raczej skupił się na wyjaśnieniu przyczyn trzech zgonów, które bynajmniej nie nastąpiły w wyniku porażenia słonecznego. Żegnam * dodał i wyszedł, zostawiając księdza i szefa policji samych sobie.

Było po dziesiątej. Ku swojej radości zauważył, że signore Ratti otworzył już trattorię. Wzburzony niezbyt udanym początkiem dnia, postanowił uspokoić się, zasiadając do porządnego śniadania. Młoda dziewczyna przyjęła jego zamówienie. Uśmiechnęła się nieśmiało i Fredric domyślił się, że to córka właściciela trattorii.

Kiedy był w trakcie śniadania, usłyszał nagle przeraźliwy warkot skutera. Przez rynek jechał na pierwszym biegu i pełnym gazie ksiądz.

Czarna sutanna powiewała na wietrze, kiedy zniknęła, skręciwszy w kierunku Crotone.

Fredric nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Co takiego Tob kiedyś powiedział? „Jeśli dostatecznie długo będzie się studiowało biblijne przypowieści, dusza zacznie się powoli zamykać w labiryncie szaleństwa”. Ksiądz przebywał w nim już od dawna.

Fredric skończył śniadanie, syty i zadowolony zapłacił i odszedł. Postanowił pójść na teren wykopalisk. Miał też ochotę udać się z wizytą do pana na zamku, signore Romea Umbro, ale ponieważ już o pierwszej miał się spotkać z Genevieve, tę wizytę musiał na razie odłożyć. Przy ruinach nie było nikogo. Nadal leżała tam łopata strażnika; dokładnie w tym samym miejscu, w którym wczoraj leżał signore Loppo. Biedny signore Loppo. Co tak naprawdę tu się wydarzyło?

Nagle zauważył mężczyznę, który siedział ze spuszczoną głową na murku w cieniu.

Powoli zaczął iść w tym kierunku. Na jego widok mężczyzna wstał. Fredric przywitał się z obcym.

* Zapowiada się upalny dzień * powiedział, spoglądając na bezchmurne niebo.

* Sì, signore, bardzo upalny. W taki dzień można dostać udaru i umrzeć. * Fredric wyczuł gorycz w jego głosie.

* Jesteś turystą, straniero?

Fredric pokręcił głową. Wy tłumaczył, kim jest i dlaczego tu przybył. Ciekawe, że jednak nie wszyscy wiedzieli, kim jest. Mężczyzna, który teraz wyszedł z cienia, wyglądał jak zwykły chłop; ubrany był w zniszczoną marynarkę, a spodnie miały w wielu miejscach łaty. Głębokie bruzdy na jego twarzy świadczyły o ciężkiej pracy i zmartwieniach, jednak liczne drobne zmarszczki wokół oczu wskazywały, że lubi się też uśmiechać. Sprawiał miłe wrażenie. Pokiwał głową.

* Poznałem profesora d'Angelo. Sympatyczny, bardzo energiczny człowiek. Sprawiedliwy. Mój syn świetnie zarabiał, kiedy pracował dla profesora * powiedział. Spuścił wzrok i patrzył na wysuszoną ziemię.

* Pański syn? * podchwycił czujnie Fredric.

* Tak, biedny Aldo. Aldo i Marc, jego kolega, obaj pracowali dla profesora. I obaj nie żyją. Zginęli razem, tu niedaleko. Po prostu leżeli i byli martwi. Tak jak signore Loppo. Żałuję, że te ruiny w ogóle zostały odkryte. Przynoszą nam same nieszczęścia, mimo że nie jestem przesądny.

Fredric nie odzywał się. Domyślił się, że ma do czynienia z signore Puggi, ojcem Aldo Puggiego, postanowił więc zachować ostrożność.

* Signore Puggi * zaczął. * Słyszałem o tych tragicznych wydarzeniach. Pozwoli pan się zaprosić na szklaneczkę grapy? Sam doświadczyłem wielu dziwnych rzeczy od momentu przybycia do Ofanes i nie bardzo miałem z kim o tym porozmawiać. Niektórzy ludzie bardzo dziwnie się zachowują.

* Dziwnie, tak * powtórzył mężczyzna. Uśmiechnął się, a wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. * Dziwnie to właściwe słowo. Nie odmówię jednej szklaneczki albo dwóch.

Udali się do trattorii. Znaleźli stolik w rogu, nieco na uboczu. Gospodarz, signore Ratti, podszedł i cichym głosem przywitał się z Fredrikiem. Nadal jednak unikał jego wzroku. Puggi rzucił parę dowcipnych uwag i Ratti się roześmiał. Ci dwaj na pewno dobrze się ze sobą dogadują, pomyślał Fredric.

Wypili zdrowie mocną gorzałką. Fredric natychmiast dostał ataku kichania. Nie przywykł do mocniejszych alkoholi.

* Signore Puggi * zaczął. * Może mi pan dokładnie opowiedzieć, co się przytrafiło pańskiemu synowi? Interesują mnie wszystkie szczegóły.

Puggi odchrząknął i spojrzał na niego poważnym wzrokiem.

* Szczegóły * powiedział. * O szczegóły nikt mnie dotąd nie pytał. A już na pewno nie ten dureń tam. * Wskazał z pogardą na komisariat, gdzie urzędował szef policji, Nuragus. * Mam zacząć od początku? * spytał.

* Tak, niech pan zacznie od początku * przytaknął Fredric.

* Jakiś rok temu pozwoliłem synowi zaangażować się do pracy przy wykopaliskach. Wtedy właśnie zaczęto usuwać ciężkie belki za tym, co profesor nazywał „atrium”. Aldo był bardzo żywym chłopcem i ciągle się o coś dopytywał. Zadawał najrozmaitsze pytania, bardzo interesowała go historia. Zarówno Aldo, jak i Marco szybko zaprzyjaźnili się z profesorem, który pozwalał im uczestniczyć w wielu pracach, do których nie dopuszczał innych, leniwych robotników. Profesor zapoznał chłopców z bardzo wieloma rzeczami. Aldo szybko nauczył się czytać łacińskie teksty. Pewnego dnia wrócił dumny do domu z prezentem, który dostał od profesora. Był to napis nagrobny na marmurowej płycie. Mnóstwo takich płytek znajdowało się w miejscu, w którym kiedyś grzebano zmarłych, położonym kilkaset metrów od ruin świątyni. Aldo potrafił odczytać wykuty w płycie napis. Brzmiał on mniej więcej tak: „Dużo jadał Timokreon, dużo także pił i dużo cierpieć musiał. Gdy będziesz tędy szedł, pamiętaj: tu jest grób Timokreona”. Dzisiaj też można by kazać wykuć podobny napis, prawda? * Signore Puggi napił się grappy i ciągnął dalej:

* Kiedy w czerwcu wykopaliska zostały wstrzymane, Aldo,

Marco i signore Loppe zostali wyznaczeni do pilnowania terenu pod nieobecność archeologów, którzy, jak wiadomo, nie pracują podczas najgorętszych miesięcy. Swoje zadanie potraktowali bardzo poważnie; codziennie siadywali ma murze i pilnowali całego terenu. Pewnego wieczoru, pewnie pod koniec czerwca, Aldo wrócił do domu i zachowywał się bardzo tajemniczo. Wziąłem go na stronę * bardzo mnie szanował * i wyciągnąłem z niego całą historię. Okazało się, że on i Marco zaczęli trochę kopać na własną rękę i znaleźli coś, z czego, jak sądzili, profesor bardzo się ucieszy. Mówił mi różne rzeczy, których do końca nie pojmowałem. Zrozumiałem jednak, że kiedy profesor wróci, zrobi z nich bohaterów. To, co znaleźli, dobrze gdzieś ukryli. Powiedziałem, żeby natychmiast opowiedzieli o wszystkim signore Loppe, strażnikowi, co chyba też zrobili. Tydzień później chłopcy już nie żyli * zakończył ojciec. Odwrócił się tyłem do Fredrica i otarł łzę. Fredric milczał chwilę. Następnie spytał:

* Mówili, co znaleźli? Pamięta pan?

* Tylko pojedyncze słowa: „sillatan”, czy jakoś podobnie, i „Hekate”. Co znaleźli, nie mam pojęcia. Na pewno nie było to nic dużego.

Fredric drgnął. Hekate. Bogini magii i czarów. A pozostałe słowa?

* A może nie „sillatan”, tylko „cylotian”? * spytał i zamówił dwie kolejne grappy.

* Certo * odpowiedział Puggi. * Tak to brzmiało. Co to znaczy?

* Gdybym to wiedział... * westchnął Fredric. * Profesor d'Angelo poprosił mnie o odczytanie fragmentu pewnego tekstu. To właśnie tam występuje to słowo. Nie mam jednak pojęcia, co ono znaczy. Niestety. Pamięta pan może, co jeszcze syn mówił?

Signore Puggi długo marszczył czoło.

* Nie * odpowiedział. * Niczego więcej sobie nie przypominam. Ale jestem pewien, że chłopcy opowiedzieli o tym strażnikowi. A teraz wszyscy trzej nie żyją. I proszę nie opowiadać o jakimś udarze; w życiu nie słyszałem, żeby ktoś umarł z powodu udaru słonecznego. Bzdura!

Mężczyzna nachylił się nad stołem i niemal wyszeptał: * Nie wierzę w bajki. Chłopcy i signore Loppo zostali zamordowani. Z pełną premedytacją. Ktoś bardzo nie chce, żeby zaczęto grzebać w tej ziemi.

* Kto? * spytał Fredric, także szeptem.

* Pewnie wielu. Na przykład ten leniwy dureń, szef naszej policji. Nie znosi zamieszania; nie lubi, kiedy przyjeżdżają tu turyści. Tylko przysparzają mu pracy, jak twierdzi. No i oczywiście Il Falco, Sokół, tam na górze. Romeo Umbro jest przekonany, że cały świat należy do niego. Kiedy ktoś zaczyna kopać w jego ziemi, czuje się tym osobiście dotknięty. Jego bratanek, doktor Vitollo, który uczynił Ofanes sławnym na długo przed wykopaliskami, też nie lubi, kiedy w pobliżu szpitala za dużo się dzieje. No i są też siostry z zakonu Empede*siusa, które mieszkają w klasztorze za wzgórzem. Z jakiegoś powodu uznały, że wykopaliska to grzech. W proteście przeciwko profesorowi zorganizowały nawet mszę żałobną na terenie wykopalisk, i to jeszcze kiedy trwały tam prace.

* Mszę żałobną? * powtórzył Fredric coraz bardziej zaciekawiony. Opowieść dobrodusznego farmera mogła rzucić światło na wiele spraw.

* Umbilicus Telluris? * spytał Fredric i wstrzymał oddech.

* Właśnie, o tym też mówili. Dużo pan wie. Co to właściwie znaczy? * dopytywał signore Puggi, wpatrując się w swoją pustą szklankę.

* Pępek świata * odpowiedział Fredric. * Wygląda na to, że Ofanes było kiedyś w przeszłości pępkiem świata * dodał i zamówił kolejną szklaneczkę grappy dla swojego rozmówcy. * Wie pan może, kim są te zakonnice?

* Siostry z zakonu Empedesiusa? * Mężczyzna odchylił się do tyłu na krześle. * Nie znam w szczególności ich historii. To siostry z zakonu, który istnieje tu, odkąd sięgam pamięcią.

Widział pan ten straszny budynek, niemal ruinę, tam na wzgórzu? I hotel, w którym pan się

zatrzymał. Kiedyś cały ten teren należał podobno do zakonu. Był tam klasztor, w którym mieszkali mnisi z zakonu Empedesiusa. Już od dawna ich tu nie ma. Ale mój pradziadek jeszcze ich pamiętał, a ludzie do dziś opowiadają o dziwnych rzeczach, którymi się zajmowali. Zresztą podobno nadal straszą w tym zrujnowanym domu. Ja w to oczywiście nie wierzę; co wieczór chodzę tam i sprawdzam, czy drzwi do lochów są zamknięte. To niebezpieczne miejsce dla dzieci, a jeszcze czwórka mi została. Kilka lat temu jakaś dziewczynka wpadła tam i zginęła. Ale żeby tam straszyc, w to nie wierzę. Ludzie są po prostu przesądni.

Fredric zamyślił się. Nic nie mówił, ale miał wrażenie, że kolejne części układanki trafiły na swoje miejsce.

* A te siostry, zakonnice. Czy ich zakon jakoś się wyróżnia? * spytał po chwili.

* Nie, a czym mógłby się wyróżniać? * zasygnalizował Puggi. Widać było, że się zastanawia. * Nie bardzo się na tym znam. Nie wiem, czym zakonnice zwykle się zajmują, natomiast wiem jedno: te potrafią śpiewać. Nikt tak nie śpiewa kolęd i pieśni na Wielkanoc jak one. Człowiek się wzrusza do łez. Jeśli ktoś chciałby usłyszeć niebiański śpiew, niech posłucha, jak śpiewają swoje canzoni.

Fredric spojrzął na zegarek. Zbliżała się pierwsza, a przed spotkaniem z Genevieve musiał jeszcze załatwić kilka drobnych spraw. Nie mógł spędzić całego dnia na rozmowie z si*gnore Puggi.

* Ten drugi chłopiec, Marco * przeszedł szybko do kolejnej sprawy. * Co z jego rodziną? Myśli pan, że oni mogą wiedzieć, co chłopcy znaleźli?

Puggi pokręcił zdecydowanie głową.

* Kto jest ojcem Marco, tego nikt nie wie. A jego matka jest, jak to się mówi, semplice, nieco szalona. Biedny Marco spędzał równie dużo czasu u nas, jak w domu, gdzie było zresztą jeszcze ośmioro innych dzieci. Nikt nie wie, z kim jego matka je miała * powiedział Puggi. Nagle się schylił i zaczął pospiesznie wiązać sznurowadła.

* Dziękuję za miłą pogawędkę, signore Puggi * powiedział Fredric, wstając od stołu. * Niestety muszę już iść, jestem umówiony. Jeszcze tylko jedno: czy Aldo i Marco zostali dokładnie zbadani przez lekarza? Chodzi o ustalenie przyczyny zgonu.

* Si, signore. Zabrali ich do Catanzaro i rozkroili, tak mi mówiono. Jak to się nazywa? Auti... auta...

* Autopsja. Obdukcja. I nie znaleziono niczego podejrzanego?

* Nulla, po prostu umarli.

Dochodziła pierwsza. Gwiżdżąc, Fredric zbliżał się do nabrzeża. Od strony oliwnego gaju i rosnących obok wąskiej drogi winorośli dochodził przyjemny zapach. Wielkie czerwone*żółte motyle fruwały między krzakami. Fredric niósł w rękę koszyk, który kupił przed chwilą. Była w nim butelka chianti, dwa smakowicie pachnące sery i kiełbasa z jagnięciny, która według kupca, u którego ją kupował, była tak świeża, że niemal słychać było jeszcze beczenie owcy. Do tego bochenek ciepłego chleba i owoce.

Z nabrzeża rozciągał się sielankowy widok. Na południu była spokojna zatoczka z krystalicznie czystą wodą, na północy * skały. Kilka łódek kołysało się na falach, pachniało morzem i linami. Wszystko było tak jak trzeba.

Ludzi nie było widać. Fredric wiedział, że rybacy mieszkający wokół Morza Śródziemnego przeżywają teraz chude lata.

Nad zatoką, na porośniętym trawą brzegu, pasły się dwie kozy. Pozostałe leżały w cieniu oliwek i przeżuwały. Było gorąco.

Fredric postawił koszyk w cieniu pod drzewem. Zdjął koszulę i podwinął nogawki spodni.

Wszedł do zielonej wody zatoki. Kilka małych rybek pływało mu między nogami. Widział też jeża morskiego.

Nagle zobaczył ją obok siebie.

Ubrana była w cienką białą sukienkę. Miała bose stopy. Fredric pomachał jej. Odmachała mu. Próbował ochlapać ją wodą, ale ona śmiejąc się, zaczęła się cofać.

Usiedli w cieniu pod oliwkami, blisko siebie.

Nikt ich nie widział. Kapali się nago. Potem ruszyli w głąb oliwnego gaju. Wzięli ze sobą koszyk. Pili wino. Przepijali do siebie, śmiali się. Po kilku godzinach, kiedy podniecenie zaczęło stopniowo mijać, Fredric zauważył, że Genevieve spoważniała. Spytał:

* O czym myślisz, najdroższa?

Genevieve spojrzała na niego. Po chwili zaczęła mówić:

* Słyszałam o tym. To straszne. Signore Loppo nie żyje. Był częstym gościem w szpitalu. On i doktor Vitollo lubili usiąść wieczorem ze szklaneczką campari. Wszyscy jesteśmy pogrążeni w smutku. Doktor uważa, że powinnam opuścić szpital. Już jutro. Twierdzi, że jestem zdrowa, a on zebrał już wszystkie potrzebne mu informacje o mojej chorobie. Uważa, że powinnam jak najszybciej stąd wyjechać. Tyle niedobrych rzeczy się tu dzieje, w miasteczku, w Ofanes, nie w szpitalu...

* Tak * wyszeptał Fredric. Chciał, żeby mówiła dalej. Ale ona zamiast kontynuować wątek, wyjęła z siatki gazetę i rzuciła ją Fredricowi.

Wziął gazetę. Było to dzisiejsze wydanie „La Stampy”. Na pierwszej stronie był duży artykuł, a obok zdjęcie wraku samochodu. Tytuł brzmiał: „Znany profesor zginął w wybuchu bomby”. Fredric zerknął niżej i dojrzał nazwisko Donato dAngelo.

Fredric Drum widzi

gniewnie tupiącą francuską stopkę,
wysłuchuje opowieści o fasce pełnej krwi
i czuje słodki zapach w swoim pokoju

Minęło sporo czasu, zanim Fredric był w stanie się ruszyć. W końcu się podniósł, podszedł do brzegu, wziął kamień i cisnął go w wodę. Wzrok miał zawzięty, zimny, a tętnice pulsowały mu, jakby płynęła w nich ropa naftowa. W powietrzu, w otaczającej go lekkiej mgiele, zamarł krzyk, pytanie, które wymagało odpowiedzi.

* Fredricu? * usłyszał głos Genevieve. Stała za nim, ostrożnie obejmując go w pasie. Odwrócił się, ale ciepło jej spojrzenia nie docierało do niego.

* Wyjedźmy * powiedziała. * Znajdziemy jakiś miły hotel na północy, na Włoskiej Riwierze, i spędzimy razem tydzień. Potem możesz przyjechać do mnie, do St. Emilion, a za kilka tygodni ja podążę za tobą do Norwegii, dobrze?

Fredric położył ręce na jej ramionach.

* Tak, Genevieve * odezwał się w końcu. * Ale daj mi jeszcze dwa dni. W ciągu tych dwóch dni muszę złamać pewien szyfr. To ważne. Rodzice stracili synów. Dzieci zostały osierocone. Nad Ofanes zaległ ponury cień. Jest coś, co pewnie tylko ja jestem w stanie rozwiązać. Powierzono mi zadanie. Profesor d'Angelo mi zaufał. Teraz on już nie żyje, ale ja nie mogę go zawieść, rozumiesz mnie, Genevieve?

W jej oczach pojawił się błysk. Szarpnęła się i oswobodziła z jego uścisku.

* Fredricu Drum * powiedziała. Wymawiała „u” jak „y”. Sądziłam, że przyjechałeś tu do mnie, ale rozumiem, że miałeś ważniejszy powód * dodała i tupnęła piętą w mokry piasek.

* Genevieve, najdroższa... * zaczął i zaraz przerwał. Co miał jej powiedzieć?

* Co takiego? * spytała, dając upust swojemu temperamentowi.

* Ty jesteś najważniejsza. Przyjechałbym tak czy inaczej. Wiesz o tym. Kiedy przyszedł twój list, od razu spakowałem walizkę; ta druga sprawa wtedy nie była taka ważna. Teraz jest. Daj mi dwa dni, Genevieve. Jedź jutro do Crotone. Dołączę do ciebie. Nie chcę, żebyś tu była. Coś tu się dzieje, niewykluczone, że więcej ludzi straci życie, zanim uda mi się dotrzeć do sedna tej zagadki.

Genevieve długo na niego patrzyła. Jej oczy były pełne łez. Była blada.

* Boję się * wyszeptała. * Boję się, że ty też możesz umrzeć. Pamiętam, co się wydarzyło w St. Emilion trzy lata temu. Wtedy też musiałeś rozwiązać zagadkę. Podobnie jak teraz. I też mogłeś zginąć, a teraz sytuacja pewnie jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Nie chcę znów cię stracić.

* Nigdy mnie nie stracisz. * Głos Fredrica brzmiał szalenie przekonująco. * Sama zobaczysz. Dwa dni. I będzie po wszystkim.

Genevieve długo się nie odzywała. Patrzyła na morze. W końcu wzięła jego dłoń, ścisnęła lekko i powiedziała:

* Dwa dni. Dzisiaj jest czwartek. Wyjadę jutro przed południem. Znam dobry hotel w Crotone. Przyjedziesz do mnie w sobotę, w sobotę po południu. Jeśli nie zjawisz się do ósmej, cały i zdrowy, to nie chcę cię więcej znać. Nie żartuję, rozumiesz?

Fredric przytaknął. Wiedział, że mówi serio. Genevieve Brisson znów była sobą, co właściwie go cieszyło. Nie była już słabą, bezwolną istotą; potrafiła tupnąć nogą, odrzucić dumnie głowę do tyłu i dać upust swojej francuskiej dumie.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, a oni znów siedzieli w trattorii Rattiego. Fredric opowiedział jej wszystko o kodeksie, a ona słuchała go z uwagą. Zaczął też ostrożnie ją wypytywać, czy podczas pobytu w Ofanes słyszała bądź widziała coś, co mogło mieć znaczenie dla jego zadania. Pokręciła głową.

* Nic nie słyszałam ani niczego nie widziałam, ale czułam, że coś wisi w powietrzu. Po tym jak znaleziono ciała chłopców, coś w Ofanes się zmieniło. Powinieneś porozmawiać z doktorem Vitollo. Może będzie w stanie ci pomóc. Gdybyś mu o wszystkim opowiedział, poczułabym się bezpieczniej. Poza tym jeszcze ktoś by o tym wiedział. Dla niego najważniejsza jest spokojna praca i jestem pewna, że... * Zawahała się.

Fredric nie ponaglał jej.

* Jestem pewna * mówiła dalej cichym głosem * że on jest w stanie cię chronić, tak żeby nic ci się nie stało.

* Jest w stanie mnie chronić? * powtórzył Fredric, nie bardzo wiedząc, co Genevieve miała na myśli. * Posiada jakąś szczególną moc?

* Nie, chodziło mi o to, że on wiele może; nikt nie będzie chciał się zwrócić przeciwko niemu bądź tym, którzy są blisko niego.

* A signore Lope? * przerwał jej Fredric ostro.

* Tak, to prawda. Nie rozumiem tego. Może jednak to było serce? * spytała niepewnie, zerkając na obrus.

* Może * odpowiedział Fredric. * To możliwe, ale raczej mało prawdopodobne. Poza tym słyszałem, że doktor Vitollo Umbro też nie był zachwycony wykopaliskami. Wiesz może, czy kontaktował się z profesorem d'Angelo?

* Nie mam pojęcia. Pamiętaj, że na początku byłam bardzo chora. Widziałam jedynie słońce, niebo i ciemność. Odprowadzisz mnie? * spytała, wstając.

* On mnie nie lubi * wymamrotał Fredric właściwie sam do siebie.

* Kto cię nie lubi? * spytała Genevieve i chwyciła jego dłoń.

* Właściciel trattorii, signore Ratti. Zawsze dziwnie mi się przygląda. Jakbym był jakimś dziwakiem.

* A nie jesteś? * Uśmiechnęła się do niego.

* Jasne * odpowiedział. Genevieve chciała, żeby Fredric wszedł z nią do środka. Mogliby wypić filiżankę herbaty z doktorem Vitollo, o ile nie będzie zajęty.

Nie był zajęty. Siedział przy dużym kominku w holu i czytał książkę. Obok stała karafka i kieliszek. Na widok Genevieve i Fredrica uśmiechnął się szeroko i gestem ręki zaprosił ich do siebie.

* Gołąbeczki gruchają, a żar miłości sprawia, że błędy przeszłości idą w niepamięć. Mam rację? Wypijecie szklaneczkę campari ze starym kawalerem, który wrzucił swoje najgłębsze

marzenia do ognia, by jak najszybciej zamieniły się w popiół? * spytał. Wstał i mrugnął szelmowsko.

Genevieve przytaknęła, uśmiechając się, a Fredric poczerwieniał, usiłując powstrzymać kichnięcie. Doktor znalazł dwa krzesła i postawił je przy kominku.

* Wypisałem moją najpiękniejszą pacjentkę * powiedział i napełnił szklanki. * Genevieve może już jutro jechać. Proszę zabrać ją w jakieś przyjemne miejsce nad wodą, signore Drum. Nad Ofanes nadciągają ciemne chmury smutku.

Fredric chrząknął.

* Chmury nad Umbilicus Tellurisi * spytał. * Zna pan to określenie, doktorze Umbro?

* Pępek świata * roześmiał się doktor. * Owszem, znam je. I nie tylko samo określenie, ale i jego historię. A pan?

Fredric pokręcił głową.

* Zakon Empedesiusa. Mnisi, którzy byli tu od średniowiecza, a których teraz szalona siostra Clara swoim objawieniem znów przywołała do życia. Siostry zamieniły stary budynek szkoły po drugiej stronie wzgórza na klasztor. Najgorsze, że zwabiają do siebie naiwne kobiety, które opuszczają domy, mężów i dzieci. Ich przesłanie jest proste: Matka Święta, Najświętsza Panienka, przybyła ponoć kiedyś do Ofanes z faską krwi, która rzekomo miała pochodzić z ciała jej ukrzyżowanego syna. Miała ją rozlać po okolicznych polach, zdaje się właśnie w tym miejscu, gdzie teraz kopią archeologowie, i krew ta miała się stać pokarmem dla roślin, ale także i ludzkich istot, które * gdy nadejdzie odpowiednia pora * miały swym śpiewem sławić Królestwo Boże. Ich pieśń miała dotrzeć do wszystkich zakątków świata; na jej dźwięk ludzie mieli padać na kolana i doświadczać cudu Bożego. Dlatego miejsce to zostało nazwane „Umbilicus Telluris”, pępek świata. To straszna historia, wręcz bluźniercza. Autor musiał mieć chorą wyobraźnię. Ciekawe, jak Matka Boża miałaby dotrzeć z Palestyny do Włoch z faską krwi? * zakończył doktor Umbro i dołożył dREW do ognia.

Fredric wahał się chwilę, ale w końcu powiedział:

* Mam wrażenie, że przepowiednia częściowo się spełniła. Czyż, wykorzystując muzykę, nie dokonuje pan istnych cudów, właśnie tutaj, w swojej klinice w Ofanes?

* Przepraszam bardzo, signore Drum. * Doktor przyjrzał się bacznie Fredricowi. * Proszę nie przypisywać mi żadnych nadprzyrodzonych talentów. Stosuję wyłącznie profesjonalne metody, żadnej metafizyki Kirona.

* Fredric nie miał niczego złego na myśli * zaczęła tłumaczyć Genevieve, próbując się uśmiechnąć.

* Oczywiście * pokiwał głową doktor Umbro. * Wszyscy pewnie zastanawiają się, co tu się naprawdę dzieje. Czytał pan zapewne o tragicznym w skutkach zamachu na profesora d'Angelo? To raczej nie ma żadnego związku z Ofanes. Od dawna było wiadomo, że profesor, który ostro atakował prywatnych właścicieli ziemskich i bogate rody, oskarżając je o ukrywanie ważnych historycznych dokumentów, ściągnął na siebie gniew różnych faszystowskich ugrupowań. Był uwikłany w szereg wątpliwych procesów sądowych dotyczących prawa własności do historycznych materiałów źródłowych.

* Wygrywał je? * spytał Fredric.

* W zasadzie tak * pokiwał głową doktor. * Ale przysporzyło mu to potężnych wrogów. Co zresztą mnie nie dziwi.

* Pan też nie przepadał za profesorem d'Angelo? * zaczął Fredric ostrożnie.

* Nie przepadałem? * roześmiał się głośno Vitollo Umb*ro. * Nie miałem nic przeciwko profesorowi. Przeciwnie. Tyle że obawiałem się, że wykopaliska spowodują sporo zamieszania. Wymagały użycia maszyn, zjeżdżało tu dużo ludzi. A nam potrzebny jest całkowity spokój, jak pan zapewne rozumie.

* Rozumiem * potwierdził Fredric.

Rozmowa została przerwana, gdy do holu weszły dwie osoby zmierzające do jednego z salonów. Był to asystent doktora, doktor Pinelli, i angielska hrabina. Hrabina pomachała im ręką, roześmiała się głośno i wykrzyczała:

* Shit*eating mouth. This is my damned, shit*eating mouth! Przyłożyła do ust swój obciążony złotem i drogimi kamieniami palec wskazujący. Jej oksfordzki akcent był bez zarzutu.

Doktor Vitollo uśmiechnął się i szepnął do Genevieve i Fre*drica:

* Pinelli świetnie się spisał, jeśli chodzi o angielską lady, jak sami zresztą słyszycie. Zapewne od dzieciństwa cierpiała na jakiegoś rodzaju językowe zahamowania, mające swoje źródło w sytuacjach tabu, które powodowały także innego rodzaju blokady.

Zniecierpliwiona Genevieve dała znak Fredricowi, by opowiedział doktorowi o sobie i swoim zadaniu. Nie bardzo jednak wiedział, co ma powiedzieć i czy w ogóle powinien cokolwiek mówić. Natomiast chętnie dowiedziałby się różnych rzeczy od doktora. Nie zadając bezpośredniego pytania, powiedział:

* Pan i pański wuj posiadacie piękny majątek. Winnice, oliwki, eliksiry wiecznej młodości. Doktor przytaknął, ale nic nie odpowiedział. Zwrócił się natomiast do Genevieve:

* Czy piękna mademoiselle już się spakowała? Dokąd zamierzacie jechać? Jeśli wolno mi coś polecić, to kilka mil na wschód od Genui, na wybrzeżu liguryjskim, z dala od tras turystycznych, leży bardzo ładne miasteczko. Jest tam hotel, w którym jada się najlepiej w całych Włoszech. Mogę polecić was właścicielowi, który jest moim przyjacielem jeszcze z lat młodości. Dorastałem w tamtym regionie.

Genevieve uśmiechnęła się nieśmiało, a Fredric grzecznie podziękował. Doktor napisał coś na kartce i podał mu ją.

* Pojedziemy tam za kilka dni * powiedział Fredric. * Ge*nevieve spędzi najpierw kilka dni w Crotone; ja jeszcze tu chwilę zostanę * dodał, patrząc na doktora Umbro.

* Ach tak. * Doktor uniósł brwi. * A co takiego zatrzymuje pana w Ofanes?

* Trzy rzeczy. Nieodczytany dokument, cztery trupy i znakomita piwniczka signore Rattiego.

* Fredric podniósł się gwałtownie, wyciągnął rękę, podziękował doktorowi za trunk i rozmowę i zdecydowanym ruchem pociągnął Genevieve za sobą.

Na zewnątrz, w mroku, Genevieve dała upust swojej wściekłości. Zaczęła okładać Fredrica swoimi małymi piąstkami.

* Mais pourquouil zachowałeś się niegrzecznie, arogancko i niemądrze! Wydaje ci się, że kim ty jesteś? Inspektorem Maigret'em? Herkulesem Poirot? Monsieur Rambo z Norwegii? Dlaczego nie mogłeś zachować się normalnie, dlaczego nie próbowałeś zdobyć jego zaufania? Nic mu nie powiedziałaś, tylko go zdenerwowałaś. To było widać.

Fredric milczał, podczas gdy jej złość osiągnęła punkt krytyczny.

* Jakim ty właściwie jesteś człowiekiem? Co ja sobie myślałam? Fredric Drum, wielki norweski ekspert, przyjeżdża do Włoch odczytać jakiś bezsensowny kod i w swojej wyobraźni wszędzie widzi morderców. Zejdz na ziemię, Fredricu.

Fredric miał wrażenie, że zdecydowanie pozostaje w kontakcie z ziemią, a właściwie z podziemiami.

* Nie uronię nawet jednej łzy, jeśli mieszkańcy Ofanes wrzucą cię do morza i przywiążą ołowiane odważniki do nóg, bo we wszystko się mieszasz. Dobrze ci tak! * krzyknęła i nagle zaczęła płakać.

Fredric był niezdolny do jakiegokolwiek działania. Czuł się bezdennie głupi. Nie był w stanie ocenić sytuacji, w jakiej się znalazł. Różne uczucia * całkowicie irracjonalne, niesamowite, dotąd mu nieznanne * kłębiły się w jego głowie. Nie znajdował słów. Tutaj nie przyda mu się Tarcza Trithemiusa i Cham*pollina. Dziewczyna, którą kochał, czyniła mu wyrzuty, a on po prostu je przyjmował; spływały po nim, pozostawiając... pragnienie. Zaszło mu w ustach, czuł suchość w oczach, miał suche czoło. W końcu wydusił z siebie:

* Ołowiane odważniki.

Tylko tyle. Z całego potoku słów wyłowił właśnie te. Jedyne, co zdawało mu się konkretne.

* Co? * wyszeptała Genevieve, odwracając do niego swoją bladą, śliczną twarz. Otarła łzy.

* Jestem ołowianym ciężarkiem * wymamrotał.

Genevieve chwyciła go pod rękę. Miał wrażenie, że z całej tej sytuacji ona rozumie o wiele więcej, niż on kiedykolwiek będzie w stanie pojąć. Gdzieś w jego podświadomości pojawił się obrazek: mężczyzna * eteryczny, bezradny i kon*fabulujący, kobieta * silna, stąpająca twardo po ziemi, konkretna. Jak burgund i bordeaux. Właściwie powinno być odwrotnie. Ale przecież także w odniesieniu do win używa się języka mężczyzn.

Pozwolił jej, aby go prowadziła. Żadne z nich się nie odzywało. Trzymała go mocno. Weszli po schodach do skrzydła, gdzie mieszkała. W jej pokoju pachniało przyjemnie lawendą.

Jego myśli były jasne i równie wybuchowe jak gliceryna, kiedy znów usiadł na zniszczonej kolumnie i zaczął się wpatrywać w ciemność. Minęła północ, rynek w dole leżał pusty i cichy, skąpany w żółtej poświacie nielicznych latarni otaczających niewielki kościół.

Ostatnie godziny spędzone z Genevieve były takie, jak powinny być. W końcu odnaleźli słowa, które pozwoliły im się porozumieć. Obiecał odwiedzić ją jutro wcześniej rano autobusem do Crotone. Potem Fredric miał wrócić do Ofanes. Nie jako Maigret czy Herkules Poirot, ale jako Fredric Drum. Fredric Drum, który ma swój zawód i wobec tego musi wykonać powierzone mu zadanie. Po prostu. Jeśli przeszłość kryje nieprzyjemne tajemnice, to chociażby ze względu na prawdę historyczną należałoby je wydostać na światło dzienne, tak jak wiele innych rzeczy.

Pomyślał: jeśli ta mała cząstka wiedzy i doświadczeń z przeszłości, którą jemu, Fredricowi Drum, przyszło się zajmować, posiada taką moc oddziaływania, zawiera tyle negatywnej, ale i pozytywnej energii, to ileż niezrozumiałych, niepojętych dla naszego współczesnego rozumu rzeczy zawierała starożytna kultura? Nie wspominając o tych wszystkich ideach i kulturach, które jeszcze nie powstały. Kto nauczył Egipcjan budować tak potężne i wspaniałe piramidy, i to pięć, sześć tysięcy lat temu? Skąd się wzięła minojska kultura na Krecie? A kultury poprzedzające kulturę Inków w Południowej Ameryce? Ta wspaniała architektura? Skąd czerpano tę wiedzę? I jaka jej część zaginęła w ciągu wieków?

Alchemia, filozofia i teologia: trzy dziedziny wiedzy, które rozwinęły się w naszych czasach. A jakie pozostały ukryte, zapomniane?

Rozmyślenia dobrze Fredricowi zrobiły. Znów patrzył na wszystko z właściwej perspektywy. Ostatnie godziny spędzone z Genevieve przywróciły mu wewnętrzny spokój. Miał wrażenie, że czegoś się nauczył. Czegoś prostego, wręcz banalnego, a mianowicie tego, że wszystkie wizje, które snujemy wokół naszej przeszłości i przyszłości, nasze wyobrażenia o tym, co już minęło, i o tym, co dopiero ma nastąpić, są nierozzerwalnie związane z terażniejszością, z tym, co jest wokół nas, z chwilą obecną. Poza nią nic nie istnieje. A jednak terażniejszość nieskończenie wiele korzysta z tych niewyczerpanych zasobów, gdzie jedynie wyobrażenia wyznaczają granice, a które nazywają się Przeszłość i Przyszłość.

Codex Ofanes.

Genevieve.

Przeszłość i Terażniejszość. A jednak synteza jest możliwa. A jej suma będzie większa, niż gdybyśmy dodali te pojęcia w normalny sposób.

Jego rozmyślenia zostały przerwane. Usłyszał kroki, ostrożne kroki w ciemności. Próbował ustalić, skąd dochodziły, kiedy nagle na tle zrujnowanego budynku, w którym poprzedniego wieczora został zamknięty, zobaczył cień. Co to było?

Schował się za kolumnę. Nie chciał, żeby ktoś go tu zobaczył. Postać zmierzała prosto w jego stronę. Szła szybkim, zdecydowanym krokiem. Była szczupła i niska; to była kobieta.

Minęła Fredrica zaledwie o metr. Nie rozpoznał jej. Droga, którą szła, prowadziła w dwóch kierunkach: do szpitala albo do zamku Romea Umbro. Fredric wstał i ostrożnie podążył za

nią. Chciał się dowiedzieć, dokąd idzie. Musiał przyspieszyć kroku, żeby nie stracić jej z oczu. Kiedy dotarł do bramy szpitala, zobaczył, że kobieta poszła wijącą się ścieżką prowadzącą do zamku. Nie było sensu iść za nią. Zawrócił.

Straszny ruch panuje nocami wokół tej ponurej ruiny, pomyślał. Nie miał najmniejszej ochoty po raz kolejny zapuszczać się w nieznane mu ciemności. I trafić na drzwi, które znów się za nim zamkną. Postanowił, że powróci i zbada to miejsce za dnia. Klasztor Empedesiusa. Zaczął się zastanawiać, kim był ów Empedesius. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek coś o nim słyszał.

Był zmęczony. Ruszył szybkim krokiem w stronę hotelu, który o tej porze pogrążony był w ciemnościach. Właściciel nie zostawił zapalanej żarówki nad wejściem. W końcu znalazł zamek, otworzył i wszedł. Dotykał po omacku ścian, znalazł wiszący na haczyku klucz do swojego pokoju. Idąc, potknął się o jakiś antyk, ale wreszcie dotarł na drugie piętro. Latarka. Musi pamiętać, żeby brać ze sobą latarkę, kiedy będzie wracał późno do domu.

Otworzył drzwi do pokoju i zadowolony poczuł przyjemne ciepło. Ktoś tu był i o wszystko zadbał. Podziękował w duchu Andrei, czy też temu, kto się o niego zatroszczył. Ciepło sprawiło, że poczuł się niemal jak w domu. Ciekawe, jakiej podpałki używają. Nie czuł ani dymu, ani żadnego zapachu. Zapach. Czyżby jednak wyczuwał jakiś zapach? Lekko słodkawy, nieco ciężki, którego wcześniej nie poczuł? Zapalił lampę naftową i rozejrzał się po pokoju, ale wszystko było tak, jak kiedy z niego wychodził. Na nocnym stoliku stały dwie butelki wina, które polecił mu kupiec na rynku, kiedy kupował rzeczy na śniadanie z Genevieve. Kalabryjskie wino Savuto Rivalsi 1982. Z jednego z najlepszych zamków w okolicy, jak zapewniał go kupiec.

Na komodzie leżały jego notatki i papiery. Zerknął na nie i doszedł do wniosku, że nikt ich nie dotykał. Miał swój sposób, który pozwalał mu to stwierdzić. Wszystko było w porządku. Zapach. Słaby, ale jednak wyczuwalny. Nie był nieprzyjemny. Pewnie wydzielał go „ruszt”, który teraz świecił niemal na biało. Właściwie nie zdziwiłby się, gdyby urządzenie wydzielało jakiś zapach.

Położył się na łóżku w ubraniu. Chciał odpocząć chwilę, zanim pójdzie do łazienki i przyniesie sobie szklanek wody na noc. Jego ciało było ciężkie, a ciepło dochodzące spod łóżka było przyjemne. Wkrótce w pokoju zrobiło się niemal za gorąco. Czuł wyraźne ciepło przenikające przez materac i prześcieradło.

Dziwne. Że też jest tak bardzo zmęczony. Fizyczna aktywność, której on i Genevieve się oddawali, nie była aż tak wyczerpująca; czyżby był w tak złej formie? Leżał na plecach i patrzył na belki nad nim. Duże, ciężkie, stare belki.

* Podpowiedźcie mi coś, belki * mruknął sam do siebie.

Nie może tak leżeć. Musi się rozebrać i przynieść sobie wody. Zawsze w nocy chce mu się pić. Przynajmniej wtedy, kiedy szklanka z wodą nie stoi na jego stoliku. Uniósł się na łokciach; nie był w stanie zrobić nic innego. Głowa opadła mu na poduszkę. Próbował usiąść, ale nie udało mu się. Nogi go nie słuchały! Były ciężkie jak ołów, bez czucia.

Ołowiany odważnik.

Nagle zaczął się bać. Co się dzieje?

Nie był w stanie wstać z łóżka, nie był w stanie poruszać nogami. Był ciężki i sztywny, jakby sparaliżowany od pasa w dół!

Fredric czuł, jak pot występuje mu na czoło. Nagle w pokoju zrobiło się nie do wytrzymania gorąco. Z dużym wysiłkiem uniósł rękę i dotknął głowy, popukał się w czoło. Ręka sama opadła na łóżko.

Nie panikuj, pomyślał zdesperowany. Spokojnie, spokojnie. Myśl. Zaczął myśleć. Nagle mógł znów jasno myśleć, był rozbudzony, z jego głową było wszystko w porządku. Jeszcze. Ale nie wiedział, jak długo.

To musi być ruszt! Był przekonany, że zapach, ta słodka woń, którą czuł i która stawała się coraz silniejsza, dobywała się spod łóżka. Coś się paliło, wydzielając gaz, który powoli go paraliżował.

Musi wstać z łóżka, i to jak najszybciej! Zmobilizował całą siłę woli, żeby przewrócić się na bok, ale od bioder w dół był bezwładny. Był w stanie przekręcić głowę i tułów; z dużym trudem mógł unieść ręce, ale nie był w stanie niczego chwycić na tyle mocno, żeby podźwignąć swoje ciało.

Czuł, jak gorąco piecze go w plecy. Niedługo pewnie zajmie się pościel. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Nie było żadnego dymu, czuł jedynie ten słodkawy, obrzydliwy zapach. Pot strumieniami spływał mu po twarzy. Odwrócił nieco głowę, uniósł ją trochę *z głową było wszystko w porządku.

Myśl, Fredricu, myśl, zanim będzie za późno!

Światło spod łóżka dawało niemal niebieską poświatę. Wodził wzrokiem po pokoju, szukając czegoś, co mogłoby mu być pomocne, ale niczego nie znalazł. Na chwilę jego wzrok zatrzymał się na ramce z łacińską sentencją; uderzyły go duże, wyraźne litery, i nagle dotarło do niego ich przesłanie:

Morituri te salutant! Pozdrawiają cię, idący na śmierć!

Plaudite, cives. Klaszczcie, obywatele!

Był w Cirucus Maximus, na krwawej rzymskiej arenie. Nie miał umrzeć. Na pewno nie w walce z wygłodniałymi lwami. Miał zasnąć, zniknąć na zawsze. Finito, Fredricu Drum.

Śmierć miała dopaść go w Ofanes, w południowych Włoszech, w trakcie rozwiązywania makabrycznej zagadki, na którą składały się średniowieczne tajemnice i magia antyku.

Nie umrze. Obiecał to Genevieve. Jutro pojedzie do niej do Crotone. Z samego rana.

Dlaczego ręce nie opadły mu z sił, tak jak reszta jego ciała? Nadal był w stanie unieść lekko prawą dłoń. Jednak z każdą sekundą paraliż podchodził coraz wyżej. Gdy dojdzie do głowy, nastąpi koniec.

Spojrzał w prawą stronę. Zobaczył nocny stolik. Butelki wina. Na nocnym stoliku stały dwie butelki wina. Mógłby je wykorzystać? Uniósł prawą rękę. Powoli, niezwykle powoli, wyciągnął ją w stronę stolika, położył na blacie, poczuł zimny marmur. Zgiął palce niczym szpony i chwycił nimi jedną butelkę.

Ostrożnie zaczął przyciągać ją do siebie. Udało mu się utrzymać ją w palcach. Przesunął dłoń nad blatem, potem nad łóżkiem. Trzymał butelkę i nagle już wiedział, co ma zrobić.

Krzycz, Fredricu, krzycz!

Trzymając nadal butelkę w ręku, próbował wołać. Ale jego klatka piersiowa niemal się nie poruszała, a wołanie zamieniło się w żalony jęk. Jakby miał watę w ustach.

Musi ugasić ogień. Ma wino, dwie pełne butelki. Jak je chwycić, jak to zrobić?

Butelka leżała w zgięciu ręki; gdyby ktoś' go teraz zobaczył, pewnie by się uśmieł. Oto on, Fredric Drum, wielki znawca win, leży w łóżku jak małe dziecko z butelką wina w zgięciu ręki, jak dziecko! Ironia losu, chociaż z drugiej strony czy mógłby wymarzyć sobie lepszy koniec? Freddie Nielsen z „d'Artagnan”, drugiej restauracji w Oslo, która też została uhonorowana gwiazdką w przewodniku Michelina, jego zawzięty rywal, na pewno by mu tego zazdrościł.

Ścisnął butelkę, sekundy mijały, a on z każdą chwilą był w stanie coraz mniej zrobić. Zdobył się jednak na uśmiech, nieco dziwny w tej niebieskiej poświacie dochodzącej spod łóżka, od przekłętego „rusztu”. Credo quia absurdum. Wierzę, bo to niedorzeczność.

Przycisnął butelkę do brzegu stolika. Chciał się przekonać, ile ma siły. Niewiele. Da radę?

Ułożył sobie pewien plan, bardzo sprytny. Musi unieszkodliwić „ruszt”.

Wykonał gwałtowny ruch prawą ręką. Szyjka butelki uderzyła o marmurowy blat. Nic się nie wydarzyło, butelka nadal była cała. Zacerpnął powietrza i ponownie uderzył. Szkło pękło i szyjka spadła na podłogę. Czerwone wino rozlało się na poduszkę.

Poczuł łzy w oczach, a może był to pot? Stracił szyjkę flaszki, a to właśnie ona była mu najbardziej potrzebna. Ostre szkło. Czerwone wino sączyło się na poduszkę z przechylonej butelki. Wreszcie udało mu się odstawić ją na stolik.

Podjął kolejną próbę. Chwycił drugą butelkę i wciągnął ją na łóżko. Palce były już niemal całkowicie bez czucia, ledwie władał dłonią. Jednak udało mu się dokonać rzeczy niemal niemożliwej: podsunął poduszkę do blatu stolika, tak żeby butelka nie upadła na podłogę. Myśl, Fredricu! Ale jego myśli były niejasne. Najchętniej zamknąłby oczy i odpoczął, pograżył się w głębokim, dobrym śnie. „Kiedy Biel ogarnia Materię Wielkiego Dzieła, oznacza to, że Śmierć ostatecznie pokonała Życie. Niczego nie da się przywołać do życia. Króla nie ma. Ziemia i Woda stały się powietrzem, *conditio sine qua non*, Księżyc rządzi, a Materia osiągnęła taką prędkość, że Ogień nie jest już w stanie jej zniszczyć; gdy Artysta widzi Biel Doskonałą, wtedy * według filozofów * nadeszła pora podrzeć książki, bo na nic się one już nie zdadzą. *Visita interiora, rectificando inuenies occul*tum lapidem*”. Fredricowi kręciło się w głowie, szumiało mu w uszach.

Musiał trzykrotnie uderzyć butelką o blat, zanim udało mu się odłamać szyjkę; tym razem sturlała się na łóżko, nie na podłogę. Manewrował butelką tak, żeby * nie rozlewając wina * odstawić ją na stolik. Chwycił odłamaną szyjkę. Wyczuł jej ostry, szpiczasty brzeg. Jestem częściowo uratowany, pomyślał gdzieś w kłębowisku niejasnych myśli. Wszystko zostało wymieszane, mieszanka Druma, galaretki, auszpick, bulion, sos sherry, marynata z koniakiem, sorbet, suflet, pudding, pasztet, klops...

Serce sarny!

Nie śmiejąc się, śmiał się, nie poruszając wargami, nie wydając żadnego dźwięku. Potrząsnął silnie głową i po chwili znów myślał przytomnie.

Udało mu się wcisnąć rękę z szyjką butelki pod plecy, tam, gdzie czuł największe gorąco. Skaleczył się, ale nawet tego nie poczuł. Zaczął dłubać, aż zrobił dziurę w prześcieradle, potem w materacu. Nagle napotkał opór i poczuł między palcami wełnę. Usiłował pomóc sobie lewą ręką, ale okazało się, że jest w ogóle bez czucia; leżała nieruchoma, dziwnie zgięta pod jego plecami.

Czuł, że pieką go palce; czuł to wyraźnie. Czyżby naprawdę udało mu się wywiercić dziurę? Czyżby czuł ciepło dochodzące z „rusztu”? Wyciągnął prawą rękę, zbliżył ją do oczu. Była czerwona. Jak wino. Jak krew. Nagle ręka opadła mu na czoło i już nie miał siły jej podnieść. * Podnieś rękę, Fredricu, podnieś ją! * słyszał w sobie jakiś głos. A potem usłyszał śmiech, histeryczny śmiech, który dudnił mu w uszach, aż otworzył oczy. Cisza, nagle zapadła cisza. To Fredric Drum się śmiał. Jego zniekształcony obraz. Jego idola unosił się w powietrzu i sobie z niego drwił.

Fredric Drum był wolny. Fredric Drum był uwięziony.

W końcu udało mu się unieść rękę. Zatoczył nią łuk i ręka * niemal sama z siebie * powędrowała niczym wahadło w kierunku stolika. Uderzyła w butelkę, a ta spadła na podłogę i rozbiła się. Graj, graj do tańca, śpiewaj i tańcz dla Dio*nizosa!

Czuł, że udało mu się chwycić drugą butelkę. Przesunął rękę wyżej, zatkał otwór * szkło kaleczyło mu skórę, cudownie łaskotało * i przyciągnął butelkę do siebie. Leżała teraz obok niego na łóżku. Potem milimetr po milimetrze wsuwał ją pod plecy, aż poczuł ciepło dochodzące przez dziurę w materacu. Wtedy pozwolił, by reszta wina wyciekła z butelki. Usłyszał syk. Poczuł dziwny zapach i nad łóżkiem pojawiła się lekka mgiełka. Potem białoniebieskie światło zrobiło się żółte, następnie czerwone, a w końcu szare. Ledwie widział przeciwległą ścianę, belki nad łóżkiem stały się niewidoczne. Fredric Drum zamknął oczy. Serce sarny, pomyślał i dookoła niego zapanowała ciemność.

Fredric otrzymuje list,

przychodzą mu na myśl ślady ptasich pazurów na piasku i nagle odkrywa kołyskę sangwiników

* Signore Drum. Signore Drum! Niech pan się obudzi, signore Drum!

Gdzieś daleko w szarej mgle widział drżący zarys twarzy, oka, nosa, ust. Niewyraźny, co i rusz znikający, by za chwilę znów się pokazać, przerażający jak u cyklopa. Oko trzymało go w hipnotycznym uchwycie, było niczym tortura.

Usta, widział ogromne usta; czerwone wargi to się zamykały, to znów się otwierały, przypominając otwartą ranę; gęste czarne włosy okalały ogromny otwór, który szczyrzył się do niego, przeżuwał, miażdżył, tak że niemal czuł, jak czaszka pęka mu niczym pancierz kraba. I ból, ból, ból.

Głos był jak echo odbijające się od ścian szklanego tunelu; ciął go na kawałki, które teraz wirowały w tunelu razem ze złym okiem cyklopa, z ustami, które otwierały się i zamykały, z ręką ze szponami, które wyciągały się w jego stronę i chwyciły tak mocno, że dech mu w piersiach zapierało. Coś go łaskotało w piersiach, w gardle, w nosie; miał ochotę eksplodować, rozgonić mgłę, wysadzić w powietrze szklany tunel, w którym był uwięziony. Fredric Drum kichnął; siedem potężnych parsknięć sprawiło, że signore Garrofoli przestraszony odskoczył od łóżka.

Otworzył oczy. Patrzył przed siebie, na osobę, która stała przed nim. W końcu rozpoznał czarne włosy i brodę. Czyżby to był mnich, przeor, właściciel hotelu, w którym kiedyś mieszkał?

Kiedyś mieszkał?

Fredric potrząsnął głową, żeby pozbyć się pulsującego bólu. W uszach słyszał szum górskiego potoku.

* Signore Drum, co to znaczy? Nie może pan tak leżeć. Proszę spojrzeć, co pan zrobił.

Zamienił pan pokój w chlew. Ile butelek pan w siebie wlał? Boję się powiedzieć Andrei, jak tu wygląda. A francuska mademoiselle była okropnie zawiedziona, kiedy wyjeżdżała * mówił dalej signore Garrofoli, podchodząc bliżej do jego łóżka.

Do Fredrica docierały jedynie strzępy jego przemowy. O coś go oskarżano. Uniósł ostrożnie głowę i zerknął na swoje ciało. Miał na sobie ubranie.

Leżał na plecach w dużym łóżku, na suficie były belki, a pokój... Nagle uświadomił sobie, gdzie jest, i że wydarzyło się coś strasznego. Paraliż. „Ruszt”, gorąco, słodki zapach. Walka z butelkami!

Uniósł prawą rękę. Zrobił to bez problemu. Na dłoni były ślady zastygłej krwi, czuł pulsujący ból. Poruszył nogami. Były w porządku. Nie był sparaliżowany! Poradził sobie, po raz kolejny Fredric Drum wyszedł cało z opresji!

Uśmiechnął się do signore Garrofoliego.

* Byłby pan może tak uprzejmy i przyniósł mi szklankę wody? Podejrzewam, że nie jestem jeszcze w stanie wstać * powiedział łamiącym się, zachrypniętym głosem.

Signore Garrofoli pokręcił głową i wyszedł z pokoju. Fredric próbował zebrać myśli. Powoli przypominał sobie zdarzenia ostatnich dni. Codex Ofanes. Profesor Donato d'Angelo.

Genevieve. Genevieve! Miała wyjechać, a on miał ją odprowadzić do autobusu jadącego do Crotone!

Spróbował unieść się na łóżku, ale opadł z jękiem na poduszkę. Miał wrażenie, że pokój zaraz znów rozplynie się w szarej mgle, czuł, że wymiotuje. Trucizna nadal była w jego ciele. Miał szczęście, że nie leży tu teraz sztywny i zimny. Czuł, że może poruszać wszystkimi członkami. Musi tylko odpocząć, odpocząć i pozbyć się trucizny z organizmu.

Spojrzał na zegar. Zamrugał i jeszcze raz spojrzął. Zaczął nasłuchiwać. Zegar chodził.

Wskazówki pokazywały za kwadrans czwartą. Światło wpadające do pokoju przez okienko na górze nie pozostawiało wątpliwości, że jest dzień.

Zaczął się pocić. Gdzie jest teraz Genevieve? Co myśli? Miał jej pomóc z walizkami.

* Matko Święta * westchnął.

Jego niezbyt radosne rozmyślania przerwał powrót właściciela hotelu. Przyniósł mu szklanę wody i postawił na stoliku.

* Jak w chlewie, signore Drum; tego się po panu nie spodziewałem. Widzi pan, co pan narobił? * odezwał się, a jego głos nie brzmiał łagodnie.

Teraz dopiero Fredric zdał sobie sprawę z bałaganu panującego w pokoju. On sam był mokry, prześcieradła były zalane winem i zakrwawione. Na podłodze leżała rozbita butelka. Obok niego, na łóżku, na wpół ukryta pod prześcieradłem była druga butelka. W całym pokoju unosił się kwaśny odór.

* Signore Garrofoli * zaczął. Głos miał słaby i jakby przestraszony. * Proszę mnie wysłuchać. To nie jest tak, jak pan myśli. Nie jestem pijany, jestem chory, w nocy coś tu się wydarzyło. Proszę spojrzeć, tu jest krew, na moich dłoniach jest krew. Widzi pan? * zawołał, wyciągając dłonie w stronę właściciela hotelu.

Signore Garrofoli podrapał się w brodę.

* Mógł pan poprosić o korkociąg. Leży w recepcji, w tej małej skrzyneczce. Teraz muszę już iść. Przyślę Andreę, żeby posprzątała. A to list, który śliczna signorita w pośpiechu napisała po tym, jak usiłowaliśmy dobudzić pana rano z pijackiego rauszu * powiedział i rzucił list na łóżko. Wyszedł z pokoju, zostawiając na wpół otwarte drzwi.

* Ale "ruszt", proszę spojrzeć na „ruszt”, użyłem wina do... * zawołał za gospodarzem, który już opuścił pokój.

Drżącą ręką uniósł list. Z góry wiedział, że nie będzie w nim nic przyjemnego. Otworzył kopertę.

„Fredricu Drum,

Bardzo mnie zawiodłeś. Zrozumiałam, że jesteś inny, niż sądziłam. Postaram się o tobie zapomnieć. Z pewnością nie będzie to trudne. W domu, w St. Emilion, jest wielu mężczyzn, którzy na mnie czekają i którzy potrafią przywoicie się zachować wobec kobiety. Sądziłam, że jesteś znawcą win, smakoszem, a nie pijakiem. Nie próbuj się ze mną kontaktować Mam ciebie dosyć.

Genevieve Brisson"

Fredric opadł na poduszki. Najchętniej zwinąłby się w kulę. Zamienił w maleńki punkcik, w nic. Zaczął drzeć; jego ciałem wstrząsały drgawki, skóra na nogach, rękach, ustach była sucha niczym skóra ryby suszonej na słońcu. Marzył i pocił się, miał gęsią skórę; czuł, że belki wciskają go w łóżko, zamieniając w bezkształtną plamę. Nigdy tak mocno nie odczuwał strachu, przerażenia, rozpacz.

Równie dobrze mógłby w nocy umrzeć.

Stracił swoją ukochaną. Stracił Genevieve.

Czekał na nią trzy lata. A potem w ciągu trzech krótkich dni wszystko zniszczył. Był gadem, obrzydliwym, wstrętnym, obślizgłym robakiem, karaluchem, gzą, wszą, zdeformowanym płodem, stworem, który nie ma prawa stąpać po tej ziemi. Dawno powinien zostać unicestwiony.

Próbował stać się punktem, niczym.

Nie chciał myśleć.

Poruszył dużym palcem u nogi. Leżał i pustym wzrokiem patrzył na poruszający się palec.

Między jego dużym palcem u nogi a oczami była pustka.

Dziwny palec, nie przestawał się ruszać! Kiwał się, kiwał i kiwał. Paznokiec był twarzą, twarz miała oczy, nos i usta. To była pogodna twarz. Uśmiechała się i kiwała na boki.

Uśmiechała się do Fredrica Drum.

* Ty kretynie, ty skretyniały durniu! * odezwał się. Mówił sam do siebie. Uniósł się na łokciach. Dobrze było słyszeć własny głos.

* Ściągnijcie dźwig i zabierzcie mnie stąd. Weźcie ze sobą sznur i liny! Wypłynicie na głęboką wodę i zostawcie mnie tam. Przywiążcie ołowiane ciężarki do nóg. Spalcie książki, notatki, indeksy i kodeksy! Beydelus, Demeymes, Adulex, Metucgayn, Taine, Ffex, Uquiziuz, Gadix, Soi, Veni cito cum tuis spiriti*bus. Spuśćcie mnie z najwyższego szczytu Himalajów w przepaść, gdzie mieszkają Afix i Befix! Czyściec: Sappia qualunque ii mio nome dimanda chi mi son Lia, e vo movendo intorno la beile mani afarmi una ghirlanda. Rozrzućcie cytryny, gorzkie migdały i spleśniały chleb, napełnijcie kadzie kwaśnym kozim mlekiem. Tak, właśnie tak ma to wyglądać!

Duży palec u nogi przytaknął mu i uśmiechnął się.

Nic więcej nie powiedział. Na korytarzu dały się słyszeć ostrożne kroki i weszła Andrea.

Miała ze sobą wiadro, szczotkę i kilka czystych prześcieradeł.

Ukloniła się i powiedziała:

* Dzień dobry.

* Proszę nie myśleć, że zrobiłem to specjalnie. Nie wypilem nawet kropli wina. Zostałem otumaniony czymś, co było w rynience na ruszcie; użyłem wina do zgaszenia ognia, a potem leżałem i nie byłem w stanie się ruszyć, ledwie mogłem unieść rękę. W końcu chyba udało mi się zgasić to paskudztwo, ale straciłem przytomność i dopiero teraz się obudziłem *tłumaczył. Słowa płynęły jakby same; czuł silną wewnętrzną potrzebę, żeby się usprawiedliwić.

Andrea nie patrzyła na niego. Stała wyprostowana, w końcu się odezwała:

* Nie powinien pan być tu przyjeżdżać. Niech pan wraca do domu * powiedziała i zabrała się za sprzątanie.

* Przepraszam * powiedział Fredric * ale co pani ma na myśli? Dlaczego nie powinienem być tu przyjeżdżać? To pani napełniła wieczorem rynienkę i wsypała do niej trujący proszek?

Andrea nie odpowiedziała. Pozbierała kawałki szkła, wytarła podłogę i blat stolika, wyciągnęła ruszt i powąchała. Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Jej oczy były bez blasku, przerażone. Zabrała pojemnik i wyszła.

Szybko jednak wróciła.

* Słyszała pani moje pytanie? * spytał Fredric, który nie zamierzał się poddać. Oczekiwał odpowiedzi. * To pani chciała mnie otruć? Dlaczego mnie tu nie chcecie? Usiłujecie wystraszyć mnie łacińskimi sentencjami? * spytał, wskazując na ścianę, na ramkę z sympatycznym pozdrowieniem.

* Ja... Ja chciałam tylko...

* Co?

Kobieta zacisnęła usta. Rysy jej twarzy zaostrzyły się. Pomyślał, że jej twarz wygląda jak kości obciążone skórą.

* Droga signora Andrea, o co chodzi? Nie rozumie pani, że dzisiaj w nocy mogłem umrzeć?

* spytał błagalnym tonem.

Andrea podeszła do jego łóżka. Spojrzała na prześcieradło, na wygrzebane z materaca włosie.

* Wiem * powiedziała tylko.

Potem dała Fredricowi do zrozumienia, że powinien wstać. Musi posłać łóżko.

Zrezygnowany, podniósł się i zaczął się rozglądać. Opuścił nogi na podłogę. Dobrze. Wstał, przytrzymując się blatu stolika. Musiał zamknąć oczy. W głowie czuł pulsujący ból; miał wrażenie, że w każdej chwili może zemdleć. Udało się. Wytrzymał, aż skończyła; wtedy znów się położył.

* Odpowiedz mi, Andreo * wyszeptał. Ale ona zebrała brudną pościel, wzięła szczotkę i wiadro i zniknęła. Zamknęła za sobą drzwi.

Udręka i ból, pomyślał. Chcą, żebym cierpiał, dręczą mnie. Przeklinał Ofanes, że też na ziemi istnieje takie miejsce. A on był tak głupi, że dał się skusić. Genevieve, płakało coś w nim. Genevieve, Genevieve! Czuł ból, udrękę.

Zamknął oczy.

Kiedy obudził się ze snu bez sennych marzeń, było już ciemno. Znalazł w kieszeni zapalniczkę i zapalił lampę naftową. Było w pół do dziewiątej.

Czuł się lepiej.

Zdobył się na odwagę i wstał z łóżka. Był w stanie ustać. Głowa nadal go bolała, a poza tym miał dreszcze. Ciepło, które było na zewnątrz, nie docierało tu przez grube mury. Sprawdził swoją koszulę na plecach. Była rozdarta, wymacał długie cięcie idące od boku w stronę kręgosłupa. Szyjka butelki. Bolała go prawa ręka, pulsowała, paliła.

Wyszedł na korytarz. Opierając się o ścianę, dotarł do łazienki. W lustrze zobaczył trupioblada twarz Fredrica Drum

o dużych, zmęczonych oczach. Ochlapał wodą głowę i tułów. Namydlił się. Poczł się lepiej. Następnie najlepiej jak mógł opatrzył rany. Na pewno zostaną mu brzydkie blizny. Lecz te najgorsze nie są widoczne, pomyślał z goryczą.

Wrócił do pokoju. Czuł, że żołądek skręca mu się z głodu. Włożył czyste ubranie, odpoczął chwilę i ruszył w długą drogę do recepcji.

Signore Garrofoli był w trakcie rozmowy telefonicznej i zerkał złowrogo na Fredrica opartego o blat recepcji.

* To wielkie nieporozumienie, signore * powiedział Fre*dric, kiedy właściciel hotelu wreszcie zakończył rozmowę. * Gdyby mógł pan przynieść mi do pokoju nieco jedzenia, to znaczy dużo jedzenia, i poświęcić chwilę na wysłuchanie tego, co mam panu do powiedzenia, byłbym szalenie wdzięczny. Wyświadczy mi pan tę przysługę?

* Życzenie gościa jest dla mnie rozkazem * wymamrotał właściciel. * Jeśli tylko Andrea...
Buono. "Życzy pan sobie coś ciepłego?"

Fredric pokręcił głową i podziękował. Ruszył w stronę schodów; szedł powoli, żeby nie upaść. W pokoju położył się na łóżku.

Nie minęło wiele minut, kiedy rozległo się pukanie do

drzwi. Wszedł gospodarz, niosąc deskę, którą postawił na nocnym stoliku. Podał Fredricowi jajko sadzone, szynkę, kielbasę i ser. Chleb. Owoce i oliwki i napełnioną po brzegi karafkę soku pomarańczowego.

* Słucham * powiedział Garrofoli, nachylając się nad łóżkiem. Olbrzym. Średniowieczny inkwizytor. Jego włosy i broda sterczały w wszystkie strony.

Fredric wskazał na krzesło. Gospodarz usiadł, a Fredric nalał sobie szklankę soku i wypił go duszkiem. Potem odgryzł kawałek sera.

Następnie zaczął opowiadać * mówił cicho i wyraźnie *o wizycie w szpitalu u swojej ukochanej. Wrócił późno do hotelu; z rynienki pod łóżkiem dochodziło białe światło, poczuł dziwny zapach. Położył się na łóżku, a potem nie miał już siły wstać. Był sparaliżowany.

Spod łóżka ulatniał się trujący gaz. Opowiedział o męczącej walce, by ugasić ogień. O tym, jak stracił przytomność. I obudził się dopiero wtedy, kiedy po południu przyszedł do niego signor Garrofoli. Tak to wyglądało.

Gospodarz długo patrzył na niego dziwnym wzrokiem, targając brodę.

* To brzmi jak jakieś szaleństwo, jeśli to, co mi opowiedziałeś, jest prawdą, a muszę ci wierzyć, skoro widzę ślady krwi na twoich rękach. Krew nie kłamie, tego uczy nas historia. Dzieje się tu dużo dziwnych rzeczy, ale nie powinny one dotyczyć gości, moich gości. Jak powiedział markiz de Luchet: „W najgłębszym mroku nawiązują się kontakty między osobami, które rozpoznają się, chociaż nigdy wcześniej się nie widziały, współpracują, nie kontaktując się ze sobą, służą sobie nawzajem, nie przyjażniąc się”. Ja nic nie wiem. Jestem tylko biednym właścicielem hotelu bez gości. Ale co pan powiedział, signore Drum? Ruszt był gorący późno w nocy? * spytał i zaczął bębnić palcami.

* Wróciłem około pierwszej w nocy i odniosłem wrażenie, że właśnie został rozpalony; w pokoju unosiła się białoniebieska poświata * odparł i zabrał się do przygotowanego dla niego sadzonego jajka z szynką.

* Strano. Andrea nigdy nie rozpala go po dziesiątej wieczorem. Wiem też, że po jedenastej na pewno nie wchodziła już do pana pokoju.

* Jest pan tego pewien? * spytał Fredric z ustami pełnymi jedzenia.

* Przysięgam na krew Najświętszej Panienki * powiedział stanowczo Garrofoli i zamknął oczy.

* Signore Garrofoli. * Fredric odłożył widelec. * Wiem, że nie powinno mnie to interesować, ale proszę mi powiedzieć, kim jest Andrea?

Właściciel znów zaczął bębnić palcami. Był wyraźnie zdenerwowany. Z lekkim wahaniem odpowiedział:

* Andrea jest moją żoną. Andrea Garrofoli. Z domu Umb*ro. Jest starszą siostrą Gianni, tej z zamku. Jej ojciec to Il Fal*co, signore Romeo. Wielki obrońca Ofanes. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem już dwadzieścia lat. Ale... * urwał.

* Ale? * Fredricpatrzył na niego surowo.

* To nie dotyczy pana, signore Drum. Sprawa jest poważna, ale niech pan w to nie wchodzi. Proszę mnie zrozumieć *dodał szeptem, rozglądając się na boki.

Umbro. To nazwisko ciągle wracało. Członkowie rodu Umbro są chyba wszędzie.

* W tym budynku był kiedyś zakon Empedesiusa, tak? *próbował podejść gospodarza od innej strony.

Signore Garrofoli nagle się podniósł. Sprawiał wrażenie wzburzonego, oczy wychodziły mu z orbit, usta wykręcił grymas.

* Zabraniam panu, signore. Muszę już iść. Na świecie jest wiele niewyjaśnionych tajemnic, które powinny pozostać ukryte w ciemnościach. Nie wzywam na pomoc Świętej Trójcy, nie krzyczę Eheieh, Agla * powiedział i ruszył w stronę drzwi.

* Chwileczkę! * zawołał Fredric stanowczym głosem. *

Wie pan, że próbowano mnie zamordować? To poważne przestępstwo. I stało się to w pańskim hotelu. Mam dobre kontakty z policją, z rzymską policją * blefował.

Garrofoli zatrzymał się. Popatrzył na Fredrica zmartwionym wzrokiem.

* Nie jestem w stanie panu czegokolwiek zabronić. Ja nic nie wiem. Świat obrócił się przeciwko mnie. Wiem jednak, że dzisiaj rano, kiedy przyszła tu piękna signorita, i próbowałem pana obudzić, leżał pan na plecach, chrapiąc tak, że mury się trzęsły. Nie byliśmy w stanie pana obudzić, ale na pewno pan żył. Signorita płakała, kiedy zobaczyła pana w takim stanie. W całym pokoju unosiła się kwaśna woń wina * powiedział i otworzył drzwi.

Fredrica przeszedł dreszcz.

* Ona... widziała, jak leżę i chrapię? I pomyślała, że... * Położył się i zamknął oczy.

Gospodarz wyszedł, zostawiając Fredrica w stanie całkowitej obojętności. Adiafora. Niczego nie jest w stanie naprawić. Ge*nevieve widziała go. Nie ma sensu jej przekonywać. To koniec.

Ludzie, którzy go otaczają, poszaleli. Zamykają się w sobie i milczą albo go odtrącają. Są tu tajemnice, do których on, Fredric Drum, nigdy nie zostanie dopuszczony. A może rzeczywiście to nie jego sprawa?

A jednak był pewien, że w Ofanes jest morderca. Przebiegły, chytry, który pozbywa się każdego, kto za bardzo się do niego zbliży. Który posiada władzę i duże wpływy. Dla którego on, Fredric Drum, stanowi zagrożenie. Właściwie sprawa jest prosta: tajemnica wszystkiego tkwi w tym przeklętym kodeksie.

Gdyby Fredric teraz, w tej chwili, albo jutro rano mógł przekazać Fragment 233 XIIIInnej osobie, która zajęłaby się odczytaniem kodu, zrobiłby to bez wahania. Z radością wsiadłby do autobusu i jak najszybciej opuścił to okropne miejsce. Ale nie mógł. Był specjalistą od szyfrów, w tej dziedzinie być może miał największą wiedzę na świecie, jeśli to w ogóle

możliwe, tylko on, Fredric Drum, mógłby rozszyfrować ten fragment kodeksu. Dlatego właśnie szacowny uniwersytet w Rzymie zwrócił się z tym bezpośrednio do niego. W normalnych warunkach rzuciłby wszystko i wyjechał. Najwyraźniej jednak tekst zawierał jakieś ukryte przesłanie, w imię którego mordowano ludzi. Gdyby nie to, już kilka dni temu dałby sobie z nim spokój i zajął się tym, co było dla niego znacznie ważniejsze: ułożeniem sobie przyszłości z dziewczyną, którą kochał. Teraz pozostało mu tylko jedno: prosty imperatyw etyczny. Musi odczytać tekst, uratować ludzkie życie, łapiąc mordercę, zanim znów uderzy!

Tego wymaga od niego etyka. Temu musi podporządkować własne szczęście u boku Genevieve. Rozumiesz to, Genevieve? Tu chodzi o ludzkie życie! Wpatrywał się pustym wzrokiem w belki na suficie. Po chwili wstał, podszedł do komody, odnalazł swoje notatki. Wziął je i znów się położył. Wcześniej jednak podszedł do drzwi, zamknął je na klucz i dodatkowo zastawił ciężką komodą. Teraz nikt tu nie wejdzie bez jego wiedzy. Od tej pory zamierzał stosować wszelkie środki ostrożności.

Zanotował w zeszycie:

Vittorio Nuragus, szef policji

Vitollo Umbro, lekarz

Signore Tigatelli, lekarz

Romeo Umbro, pan na zamku

Andrea Umbro, córka

Gianna Umbro, córka

Signore Garrofoli, właściciel hotelu

Signora Clara, zakon Empedesiusa

Signore Ratti, właściciel trattorii

Przyglądał się spisanim nazwiskom. Był przekonany, że wśród nich znajduje się morderca bądź mordercy. W sprawę mogło być zamieszanych więcej osób. Jednak nawet mimo bogatej wyobraźni nie był w stanie pojąć, co mogło kierować kimś, kto z zimną krwią zamordował dwóch chłopców, strażnika i profesora uniwersytetu. Motyw wciąż pozostawał dla niego ukryty.

Zawierał go Codex Ofanes. Kodeks śmierci. Fredric znów myślał trzeźwo. Głowę miał lżejszą. Zauważył, że kiedy pozwalał myślom krążyć wokół spraw związanych z tajemniczym fragmentem, zapominał o całym złu. Ciągłe jeszcze miał w sobie coś z chłopca.

Rozłożył na łóżku kartki papieru i książki. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął nucić.

Zmieniał nakładki na Tarczy Trit*hemiusa i Champolliona, używał różnorodnych kombinacji i sięgał do katalogów, którymi nigdy dotąd się nie posługiwał. Był zmuszony użyć wszelkich możliwych środków.

Wszystko na nic. Przesłanie pozostało tajemnicą. Nie był w stanie nic zrozumieć, nie znajdował w nim żadnej logiki. Równie dobrze mógłby próbować odczytać ślady ptasich pazurów na piasku. Ale przecież te znaki musiały zawierać jakąś treść, nie zostały napisane po prostu dla zabawy.

Największy zamęt wprowadzały tak zwane znaki niepełne. Wynotował najważniejsze symbole na odrębnej kartce w kolejności, w jakiej najczęściej się pojawiały. Wyglądało to tak:

Wpatrywał się w nie, aż zaczęły go boleć oczy. Znaki wydawały mu się dziwnie znajome. Był pewien, że kiedyś, gdzieś już takie widział.

A jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Miał zakodowane w pamięci wszystkie szyfry, klucze, wszystkie istniejące rodzaje pism, znaki pisane, pismo obrazkowe, piktogramy, całą ornamentykę, symbole występujące w różnych znanych nam kulturach. Nic się nie zgadzało. Oczywiście nie chodziło tu o powszechnie znane litery S, N, U i J, mimo że znaki

przypominały je wyglądem. To było coś innego. Cały czas miał wrażenie, że kiedyś już je widział.

Odłożył na bok notatki. Oddał się rozmyśleniom. Pozwolił myślom swobodnie krążyć. Gra skojarzeń. Wędrował przez góry i doliny; oglądał piramidy i świątynie, miejsca, gdzie składano ofiary, cmentarze. Odwiedził Majów, Inków, Soszo*nów, Indian Hopi i Nawaho, Azteków, Sumerów, Asyryjczy*ków, Minojczyków, Celtów i Inuitów. I nadal nic nie przychodziło mu do głowy.

Nie czuł zmęczenia. Zbliżała się północ, a on nie czuł potrzeby snu. Kartkował książki, czytał o filozoficznych szkołach antyku.

* Hermetyk Chiron * mamrotał, ślęcząc nad tekstem. Chiron, Kiron.

Kiron! Jakiego to niezrozumiałego dla niego określenia użył doktor Vitollo Umbro?

„Metafizyka Kirona”. Tak powiedział. Cóż to takiego było? I co doktor o tym wiedział?

Najwyraźniej miał szerokie zainteresowania. W swoich wywodach dwukrotnie użył sformułowań występujących w zakodowanym Fragmentie 233 XII. Kiron i Umbilicus Telluris. Nie, trzy razy. Fredric przypomniał sobie nagle pierwszą rozmowę z doktorem Umbro, podczas której powiedział: „nasze synedrium nie jest skromne...”. Fredric zwrócił na to uwagę, bo cały czas gdzieś z tyłu głowy miał zakodowany fragment tekstu.

Czyżby doktor go czytał? Czy też to zbieg okoliczności? Ile osób tak naprawdę zna dokument? Żałował, że nie dane mu było spotkać się z profesorem Donato d'Angelo. Jutro z rana zadzwoni na uniwersytet w Rzymie i spróbuje porozmawiać z którymś z jego najbliższych współpracowników. Profesor z pewnością nie zajmował się projektem sam.

Znów zaczął czytać o pitagorejczykach. W końcu zatrzymał

się na postaci, która go zaintrygowała: Empedokles. Sycylijski mistyk i lekarz.

„Krążę wśród was, nie jak zwykły śmiertelnik, ale bóg nieśmiertelny, czczony przez wszystkich, z opaską we włosach, roztańczony. Niezliczone tłumy przychodzą do mnie, pytając o drogę do zbawienia. A ja powiem im mogę jedynie, że istnieje przepowiednia wieszczki, boskie przesłanie z zamierzchłych czasów, mówiące, że gdy jeden z demonów zgrzeszy i krwią ręce swe zbru*ka, skazany zostanie na wygnanie i trzy razy po dziesięć tysięcy lat błądzić będzie z dala od komnat świątych. Ja jestem jednym z nich, zabłąkanym wygnańcem, który w moc krwi uwierzył”.

Fredric aż podskoczył na łóżku. Empedokles. Lekarz. Opowiadał o mocy krwi; mistyk, który sam siebie uważał za zbawcę! Zbyt nieprawdopodobne, by można to było uznać za zbieg okoliczności.

Empedokles * zakon Empedesiusa. I wzmianki o krwi.

Najświętsza Panienska z faską krwi. Królestwo Boże, które pewnego dnia miało tu powstać.

Ofanes. Pepek świata.

Nie, to niemożliwe. Żaden zakon nie ma swoich korzeni w pogańskiej filozofii. A zbieżność nazw?

Fredric zaczął się zastanawiać. Załóżmy, że kiedyś w przeszłości, jeszcze przed naszą erą, powstała jakaś tajemnicza szkoła działająca w duchu Pitagorasa i Empedoklesa, która wywarła duży wpływ na religię i etykę. Szkoła ta, czerpiąca z dokonań greckich filozofów, przetrwała aż do średniowiecza. Załóżmy także, że kakofonia języka kościoła, podziały w jego łonie, poczynania heretyków i spory, tak charakterystyczne dla ciemnych wieków, dały początek zakonowi bazującemu na tych zamierzchłych ideach, które potem zyskały chrześcijańską nadbudówkę. Jego członkowie mogli nazwać się zakonem Empedesiusa.

A może po prostu uczniowie Empedoklesa przetrwali w tych okolicach nawet kilka wieków po narodzeniu Chrystusa, a potem * zmuszeni opowiedzieć się za katolicyzmem * znaleźli swoje miejsce w myślowym pluralizmie kościoła katolickiego. W okresie przejściowym na pewno dochodziło do różnych nieprzyjemnych wydarzeń, ale zakonowi udało się utrzymać imię swojego mistrza.

Tak mogło być.

Fredric zaczął czytać o Empedoklesie. Sangius, krew, zajmowała centralne miejsce w jego naukach. Rozwinał teorię o czterech elementach, o czterech ludzkich typach. Sangwi*nik.

Empedokles zostawił swój ślad w historii. Także w psychologii.

W miarę upływu godzin Fredric był w stanie wymienić coraz więcej myślicieli i szkół, które powstały pod wpływem Pitagorasa i Empedoklesa. W pewnym momencie wyskoczył z łóżka, odsunął komodę od drzwi, otworzył je i poszedł do łazienki po duży dzbanek wody. Od razu wypił dwie szklanki. Oto jak wyglądała jego lista:

Pitagoras, Simmias, Croton, Empedokles, Cleanthes, Chrysypus, Kiron, Posidonius, Seneca, Epictetus, Marcus Aurelius.

Kiron! Nareszcie. „Hermyk Kiron"! Tajemniczy Kiron, baśniowa postać, centaur, twórca sztuki medycznej. Oczywiście, to był on. Ponownie odczytał Fragment 233 XII. Przekładając na bardziej zrozumiały język, brzmiał on:

„... Przesłanie Świętego, Najświętszego Cylotiana, tak jak zostało przedstawione w Rytuale Śmierci, brzmi... Tak więc Hermyk Chiron powiedział, że szept Śmierci jest.

Teraz brakowało tylko dwóch rzeczy, żeby zrozumieć tekst: musiał znaleźć odpowiedni kod i „Najświętszego Cylotiana". Był już blisko. Dwóch zmarłych chłopców wspominało coś o „cylotianie".

Fredric Drum spakował książki i notatki. Musi się przespać. Jutrzejszy dzień też będzie ciężki. Zgasił lampę i wszedł pod kołdrę.

Teraz był już sam. W Ofanes nie miał żadnych zobowiązań.

Mógł wyjechać, kiedy tylko zechce. Gdyby nagle umarł, niewielu by po nim płakało.

Nagle jakiś przebłysk sprawił, że ponure myśli przysły. Gdzieś z otchłani pamięci wyłoniło się słowo, którego od dawna poszukiwał:

Neumy.

Kiedy do niego dotarło i kiedy je zrozumiał, zasnął z uśmiechem na ustach.

8

Organista mamrocze po łacinie, Fredric Drum liczy nieżywe zwierzęta, otwiera puszkę sardynek i spotyka na drodze rubensowskiego anioła

Pod wieloma względami Fredric Drum był zerem. Jeśli chodzi o kobiety, jego doświadczenia były zadziwiająco skromne, co w głównej mierze wynikało z niewiarygodnej nieśmiałości i nieprawdopodobnie romantycznego podejścia do płci przeciwnej. Kiedy jednak zapalał uczuciem, to było ono trwałe. Stawało się organiczną częścią jego osoby.

Stojąc pod prysznicem, zastanawiał się, jak długo będzie tkwiło w nim uczucie będące skutkiem spotkania z Genevieve Brisson. Zawsze, doszedł do wniosku. Był zgubiony. Pewnie dopiero, gdy osiągnie wiek średni, uczucie to zdoła rozpuścić się na tyle, że może wtedy znów odważyć się poczuć coś do kobiet.

* Jesteś zerem * powiedział do swojego odbicia w lustrze. A odbicie przytaknęło.

Anachronizm. Był żywym anachronizmem. Gdyby tak mógł przybrać postać okultysty i żyć wśród krzyżowców i średniowiecznych mnichów. Mógłby wtedy swobodnie posługiwać się łaciną i greką i wykrzykiwać kabalistyczne szeregi liczb tak głośno, z taką siłą, że wszystkie planety w naszym systemie słonecznym wypadłyby ze swoich orbit i spłonęły niczym heretycy.

Co z tego, że potrafił odróżnić burgund od bordeaux? Czy Chateau Margaux od Cheval Blanc? Czy miał jakiś pożytek z tego, że skomponował bajeczny sos na bazie sera, sauce Jutul, który robił furorę wśród norweskich szefów kuchni? Żadnego.

Była dziewiąta.

Spał niespokojnie. Obudził się przed wschodem słońca, a potem długo leżał i przyglądał się cieniom w pokoju. W jego mnisiej celi. To mu odpowiadało. To było jego miejsce.

Fredric usiadł na łóżku. Na zewnątrz piał spóźniony jak zwykle kogut. Fredric zaczął się przyglądać swoim notatkom. Dużo wczoraj zrobił. Był na tropie. Tylko czego? Poczł, jak ciarki przeszły mu po krzyżu. Wewnątrz dawnych klasztornych murów było chłodno i wilgotno. Powinien wyjść. Ponad dobę nie opuszczał hotelu.

Ktoś na niego czekał. Ktoś, kto najchętniej widziałby go wynoszonego w trumnie z hotelu „Albergo Anziano Ofani”. Ponieważ tak się nie stało, nadal był na pierwszym miejscu jego listy śmierci.

Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, jednak wziął się w garść i wstał z łóżka. Nie pozwoli, przyrzekł sobie, żeby cokolwiek się stało z powodu jego ciekawości czy nieroztropnej odwagi. Kiedyś w takiej sytuacji mógłby się poradzić pięcioramiennej kryształowej gwiazdy. Niestety leżała teraz w jakimś laboratorium w Anglii, więc został mu jedynie własny rozsądek. Może to i dobrze.

Signore Garrofoli siedział w recepcji i jadł kawałek kielbasy. Na widok wchodzącego Fredrica wstał i wytarł brodę.

* Lepiej się pan dzisiaj czuje, signore Drum? Nie wiem, co tu się wczoraj wydarzyło, ale sprawdziłem ruszt, zanim Andrea go wyczyściła, i rzeczywiście: zapach był podejrzany. Ale kto mógłby być tak pełen złych chęci? Gdyby chociaż Andrea oddała mi wtedy wieczorem klucz * powiedział i nagle urwał. Patrzył pustym wzrokiem przed siebie. * Co mogę dzisiaj dla pana zrobić?

Fredric otworzył drzwi i uderzyły go promienie słońca. Jego wzrok przykuł brązowy grzbiet książki na półce w recepcji. Spaccio delia bestia trionfante, Giordano Bruno.

* Telefon * powiedział Fredric. * Mam kilka ważnych rozmów. Mogę skorzystać z telefonu?

* spytał, wskazując na czarny aparat telefoniczny stojący na blacie recepcji.

* Naturalmente. Proszę korzystać z niego do woli. Nie będę panu przeszkadzał * powiedział gospodarz i zniknął za drzwiami.

Fredric wziął krzesło i postawił obok blatu. Potem zaczął szukać jakichś kartek w kieszeni.

Na jednej z nich miał zapisany numer telefonu na uniwersytet w Rzymie. Do gabinetu profesora d'Angelo. Wybrał numer i czekał w napięciu. W końcu usłyszał kobiecy głos.

Fredric mówił powoli i wyraźnie. Został przełączony do innej osoby, potem do kolejnej. W końcu po drugiej stronie linii odezwał się jeden z najbliższych współpracowników profesora, młody stypendysta, Antoni Franciacorta, który także uczestniczył w pracach wykopaliskowych w Ofanes.

Powiedział, że zwój z częścią kodeksu, której kopia była w posiadaniu Fredrica, Fragment 233 XII, został odtworzony z wielkim trudem. Części tekstu poprzedzającego fragment, jak i te, które następowały bezpośrednio po nim, zostały zniszczone. Tak twierdził signore Laksdal. Zachowany fragment został potraktowany z największą ostrożnością, a oryginał znajduje się obecnie w ognioodpornym sejfie w Instytucie. Nie było żadnych innych kopii poza tą, która została mu wysłana, a dostęp do oryginału miał jedynie profesor d'Angelo. On sam nie widział omawianego fragmentu, który był niezwykle wrażliwy na światło. Do czasu wyznaczenia następcy profesora nikt nie ma dostępu do dokumentu.

* Skąd pewność, że nie istnieją inne kopie? * dopytywał się Fredric, niezbyt przekonany.

Franciacorta wytłumaczył mu, że wielokrotnie rozmawiał z profesorem o treści kodeksu.

Wspólnie doszli do wniosku, że część, której nie można było odczytać, czyli ta, która była teraz w rękach Fredrica, prawdopodobnie miała związek z jedną ze szkół antyku, bazującej na hermetyce. Znaczyło to, że jedynie dwie osoby znały omawiany fragment: Donato d'Angelo i Fredric Drum. Niestety profesor padł ofiarą tragicznego w skutkach zamachu, dokonanego przez politycznych ekstremistów.

Fredric podziękował za rozmowę; obiecał przyjechać do Rzymu po zakończeniu swojego zadania w Ofanes i odłożył słuchawkę.

Siedział i rozmyślał.

Po dłuższej chwili znów zadzwonił. Tym razem zamówił rozmowę do Norwegii. Chciał się połączyć z uniwersytetem w Bergen. Ani Johanessena, ani Laksdala nie było na miejscu.

Otrzymał jednak prywatny numer Johanessena.

Zastał go w domu. Johanessen wyjaśnił mu krótko, że to Laksdal zajmował się starym papierusem; nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek im przeszkadzał, kiedy ciężko pracowali w rzymskim laboratorium. Zresztą Laksdal był teraz we Włoszech. Brał udział w wykopaliskach niedaleko Livorno, na zachodnim wybrzeżu kraju.

Ostatnia rozmowa była zdecydowanie dłuższa i bardziej skomplikowana. Fredric Drum zadzwonił do organisty Davi*da Pearsona, który obecnie był zatrudniony w gminie Sorfold, w północnej Norwegii.

David Pearson był jednym z wielu angielskich organistów pracujących w Norwegii.

Wyróżniało go to, że studiował historię muzyki antyku i wiedział niemal wszystko, co można wiedzieć o muzycznych dysputach starożytności. Fredric poznał go ostatniej zimy na spotkaniu winiarzy w Oslo, podczas którego zaimponował mu swoją miłością do starego burgunda.

W rozmowie telefonicznej Fredric próbował wytłumaczyć mu i opisać kod, z którym miał do czynienia: tajemnicze cztery wiersze, których nie był w stanie rozczytać. Po drugiej stronie linii Pearson pilnie notował, mrużąc pod nosem słowa takie jak: virga, punctum, podatus, clivis, scandicus, climacus, torculus i porrectus. Od czasu do czasu milkł; uzupełniał wtedy główne symbole mniejszymi znaczkami. W końcu powtórzywszy wszystko kilka razy, Fredric zyskał pewność, że Pearson otrzymał dokładny opis kodu.

* Kilka dni * powiedział jego rozmówca na koniec. Potrzebował kilku dni, żeby się zorientować, czy to wszystko w ogóle ma jakikolwiek sens. Niczego nie obiecywał, sprawa wydawała się wyjątkowo skomplikowana. Postara się zrobić wszystko, co w jego mocy. Fredric otarł pot z czoła. Było gorąco. Odstawił krzesło na miejsce i stanął w drzwiach. Czuł, że wraca mu dobry nastrój. Był w ofensywie.

Mógł zaczekać z drugim śniadaniem. Nie spieszyło mu się.

Okrażył niewielkie wzgórze, gdzie pod drzewami oliwnymi pały się kozy. Nieco dalej była bardziej zapuszczona część klasztoru. Ciekawe, co tam się dzieje nocami? Ludzie chodzą ze świeczkami; widział, jak jakaś kobieta wychodziła stamtąd po północy; wiedział też, że są tam podziemne korytarze. Postanowił zbadać to miejsce dokładniej. Latarka i scyzoryk. Co jeszcze może mu się przydać?

Podszedł do budynku od tyłu. Od tej strony nie było żadnego wejścia. Przedzierał się przez chaszcze, badał każdy metr muru, ale nie było w nim żadnych szczelin. Okna umieszczone były wysoko, zbyt wysoko, żeby można było przez nie wejść. Ściany szczytowe budynku wyglądały podobnie; tutaj też nie było żadnego wejścia ani zejścia do piwnicy.

Nagle się zatrzymał. Na wzgórzu tuż przed nim leżał martwy pies.

Nad truchłem krążyły muchy, ale proces rozkładu jeszcze się nie zaczął. Tuż obok dojrzał kolejne martwe zwierzę. Nieco dalej martwego kota. Dwa koty. Był wśród martwych zwierząt. Złapał się za nos i szybko się oddalił. Miał wrażenie, że zwierzęta zostały uśmiercone mniej więcej w tym samym czasie. I to stosunkowo niedawno.

Przeszedł na front zrujnowanego budynku. Tu były drzwi, częściowo zabarykadowane kamieniami. Kiedy ostatnio tu wchodził, było ciemno. Teraz, w świetle dziennym, budynek nie wyglądał szczególnie groźnie.

Nagle usłyszał stukanie. Dochodziło z dołu. Ciężkie, rytmiczne uderzenia, jakby ktoś walił młotem w mur. Rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie było nikogo; przynajmniej on nikogo nie widział. Szybko przeskoczył kamienie i znalazł się wewnątrz budynku.

Stukanie ustało. Fredric nikogo nie dostrzegł.

Budynek nie miał dachu, wewnątrz świeciło słońce. Podłoga była zarośnięta chwastami, wszędzie rozrzucone były kamienie, ścianki działowe były w wielu miejscach zawalone. Dookoła leżały śmieci i złom.

Nagle znów usłyszał stukanie. Dochodziło z dołu, z podziemnych korytarzy. Z miejsca, do którego wtedy dotarł, podążając za światłem. Pamiętał, że zszedł wtedy po schodach i znalazł się w pomieszczeniu, w którym został zamknięty. Na górze nie było nic ciekawego, za to stukanie przybrało na sile. Kolejny raz rozejrzał się dookoła, ale nie było tu żywej duszy. Zapalił latarkę. Zobaczył prowadzące w dół schody. Zszedł w ciemność, ostrożnie i bezszelestnie. Znalazł się w korytarzu ze sklepionym sufitem. W kilku miejscach coś z niego kapło. Powąchał: uryna i ekskrementy.

Stukanie znów ustało. Gdzieś w dali zauważył migoczące światełko. W jego świetle dojrzał jakiś cień.

Zgasił latarkę. Stał w milczeniu.

Nagle jakiś człowiek zaczął iść w jego stronę. Fredric odwrócił się i pognął schodami na górę, do światła. Ukrył się za jednym z większych kamieni.

Zbliżający się mężczyzna gwizdał, a kiedy wyszedł na słońce, zaczął przecierać oczy. W rękach trzymał piłę i młotek, miał też dużą latarkę, która huśtała się na boki.

Okazało się, że to signore Puggi, ojciec jednego z chłopców, z którym kilka dni temu rozmawiał.

Fredric wstał. Signore Puggi zatrzymał się, zdziwiony.

* Święta Rebeko! * zawołał. * Przestraszył mnie pan, signore Drum. Co pan tu robi wśród tych śmieci i brudu?

Fredric uśmiechnął się.

* Przyszedłem tu z ciekawości * powiedział. * Usłyszałem stukanie i pomyślałem, że może mnisi wrócili i postanowili odbudować klasztor. * Usiadł na kamieniu. Signore Puggi odłożył narzędzia, otarł pot z czoła i usiadł obok niego.

* Straszna harówka * powiedział. * Ale już skończyłem. Niech pan sobie wyobrazi, że jakiś idiota podpalił te potężne drewniane drzwi, które prowadziły do podziemi. To bardzo niebezpieczne miejsce dla dzieci. Od czasu, kiedy drzwi zostały uszkodzone, nie miałem ani jednej spokojnej minuty. Nigdy nie wiadomo, co dzieciaki wymyślą. Straszyłem je czarownicami i duchami, żeby tylko nie zbliżały się do tego przeklętego miejsca. Teraz już wszystko naprawiłem Nawet kot się nie prześlizgnie.

* Dużo jest tych pomieszczeń tam pod ziemią? * spytał Fredric.

* To istne katakumby, tak mi opowiadano. Sam nigdy tam nie schodziłem; większość korytarzy na szczęście jest zamknięta, zamurowana. Podczas wojny Niemcy mieli tu magazyn amunicji; nie zdziwiłbym się, gdyby nadal można tam było znaleźć dynamit. Rozumie pan więc, że to niebezpieczne miejsce i dla dzieci, i dla dorosłych * zakończył Puggi i zapalił papierosa.

Fredric czuł się zawiedziony. Signore Puggi zablokował wejście do pomieszczenia, któremu chętnie przyjrzałby się z bliska. Nie chciał jednak usuwać zabezpieczeń, żeby nie sprawiać dodatkowych kłopotów. Niech więc zostanie tak, jak jest. Rozwiązanie zagadki musi być na górze.

* Signore Puggi, pamięta pan naszą rozmowę o tym, co syn i jego kolega mogli znaleźć i co tak bardzo chcieli pokazać profesorowi? Wspomniał pan wówczas o słowie „cygotian”.

Niczego więcej pan sobie nie przypomniał? * spytał Fredric, odgarniając ręką muchy.

* No, signore. * Puggi pokręcił głową. * Niewiele udało mi się wyciągnąć z biednego Aldo. Pamiętam tylko, że chłopcy wiązali to z jakąś kradzieżą, do której doszło tu około pół roku temu.

* Z kradzieżą? * Fredric zadrzał.

* Tak, dużo o tym wtedy mówiono. Nie mam pojęcia, co wówczas skradziono, ale archeolog był wściekły. Pamiętam, że padło wtedy nazwisko lekarza, Vitolla Umbro.

* To mogło być coś ważnego? * spytał Fredric. Słyszając, jak głupio to zabrzmiało, szybko dodał: * Chodzi mi o to, czy skradziono coś, co zostało znalezione w trakcie prac wykopaliskowych?

Signore Puggi pokręcił głową i zaczął wstawać.

* Przepraszam, signore Drum, ale ja nic nie wiem. A teraz muszę już iść. Już dawno powinienem być na polu. * Zebrał swoje narzędzia, uśmiechnął się i wyszedł.

Fredric został sam.

Kradzież. Vitollo Umbro. Miał wrażenie, że trzyma w ręku różne części układanki, które nareszcie zaczynają do siebie pasować. Niestety najważniejszych elementów nadal brakowało.

Ruszył w stronę wyjścia. Na drodze było pusto, w pobliżu także nikogo nie było. Fredric Drum nie chciał, żeby ktoś go zauważył. Nie chciał znów przeżywać nieprzyjemnych niespodzianek.

Martwe zwierzęta.

Przedarł się przez krzaki. Nadal tam leżały. Zaczął liczyć: trzy koty, dwie kozy, pies, dwie kury i jedno jagnię. Dlaczego je tutaj porzucono? Nie było to chyba miejsce, gdzie wyrzucano odpady z rzeźni? Czy jakiegokolwiek inne. To nie było wysypisko. Zresztą nie było tu śmieci, tylko martwe zwierzęta. Miejsce było ogrodzone. Truchła nie trafiły tu przez przypadek. Czubkiem buta odwrócił jedno ze zwierząt, psa. Żadnych ran, żadnych śladów okaleczenia. Trąd?

Szybko powrócił na drogę prowadzącą do rynku. Była jedenasta, musiał coś zjeść. Szedł w cieniu kościoła. Nie chciał zachodzić do trattorii. Jeszcze nie. Nie chciał się rzucać w oczy. Wślizgnął się do sklepiku. Spotkał jakiegoś staruszka i dwie kobiety, które kupowały kapustę i chleb. Sam też kupił chleb, puszkę sardynek, owoce i butelkę wody. Zapakowano mu wszystko do plastikowej torby. Wrócił tą samą drogą.

Chwilę się zawahał, ale w końcu przeszedł obok terenu wykopalisk. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Minał klinikę, nawet na nią nie spoglądając. Nie chciał oglądać drzwi wejściowych, schodków, po których wchodził razem z Genevieve, parku, kwiatów, drzew owocowych.

Cierpiał. Czuł wewnętrzny ból. Cierpienie.

Droga prowadziła do zamku. Gorące powietrze aż drżało, musiał otrzeć pot z czoła. Po jakimś czasie dotarł do małego parkingu. Dalej samochody nie miały wjazdu. Na parkingu stały dwa auta. Duża srebrnoszara lancia, nowy model, i ford Escort. Ford Escort? Fredric zatrzymał się i chwilę przyglądał się pojazdom. Na szybie Escorta była nalepka z napisem „Avis”.

Samochód był wynajęty. Czyżby pan na zamku, Sokół, signore Romeo Umbro, miał gości?

Tablice rejestracyjne wskazywały, że samochód pochodzi z Rzymu.

Droga pięła się pod górę. Kiedy dotarł mniej więcej do połowy wzgórza, zaczął się rozglądać za miejscem, w którym mógłby zboczyć z drogi. Wszędzie były wydeptane przez kozy ścieżki; wybrał jedną, która zdawała się prowadzić dokładnie nad ruinami klasztoru. W końcu znalazł odpowiednie miejsce i zadowolony usiadł pod drzewem. Wyjął rzeczy z torby i zaczął jeść.

Widok był wspaniały. Widział całe Ofanes niemal jak z lotu ptaka. Widział wszystko, co się ruszało, mógł nawet policzyć domy. Skoncentrował się na starej części miasteczka, na ruinach, na tym, co odkryli archeolodzy.

Cały teren został podzielony na kwadraty. Tworzyły geometryczny wzór, wyraźnie widać było, gdzie kiedyś stały kolumny. Świątynia, która kiedyś tu się wznosiła, musiała być wspaniała. Główny plac, dość spory otwarty teren, był tuż za rzędem kolumn, z których zostały już tylko same cokoły. Może

to był rynek, może jakaś scena? Kilkaset metrów dalej w linii prostej od świątyni leżały ruiny klasztoru. Hotel po drugiej stronie niewielkiego wzniesienia był dokładnie taki sam jak zrujnowany budynek.

Fredric jadł sardynki i wycierał ciekącą mu po brodzie oliwę.

Wnioski nasuwały się same: cały kompleks budynków, łącznie z hotelem, ruinami i wykopaliskami, stanowił kiedyś całość. W ten oto dość prosty sposób Fredric Drum połączył starożytność ze średniowieczem, co dla ludzi pochodzących stąd było oczywistością.

Empedokles * mnisi z zakonu Empedesiusa. O ile się nie mylił, to właśnie jego tajemniczy uczeń, Kiron, lekarz, był założycielem Ofanes. Umbilicus Telluris. Opowieść o Najświętszej Paniencie z faską krwi, miraculi virginiae, została oczywiście wymyślona przez przebiegłych twórców szkoły antyku, którzy pragnęli uczynić ją odporną na chrześcijańskie wpływy. Poza tym sanguis, czyli krew, zajmowała centralne miejsce w nauce Empedoklesa. Mogli więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Żaden papież, żadna inkwizycja, nikt nie śmiałyby kwestionować tradycji powołującej się na samą Najświętszą Panienkę. Oczywiście należało zbudować klasztor, by ukryć pogańską świątynię. Nous Hekate i Persefona, rozsądek miał nadal rządzić architekturą i myślami.

Tak więc Kiron budował, jego następcy także. Ale dlaczego budowali? Co miało być tym najważniejszym przesłaniem, tą nieśmiertelną mądrością, której nie chciano ujawnić?

Crotone na północy, z Pitagorasem i nowo*pitagorejczy*kami tworzącymi mistyczne szkoły. Sycylia na południu, z Empedoklesem, samozwańczym, nieśmiertelnym bogiem. Rozkład, walka o władzę, boje. Mija kilka wieków. Przeżywają najsilniejsi, ukrywają się. Miejscem ich spotkania jest Ofanes.

To naprawdę było takie proste? To mogło być takie proste.

Ktoś padł na ziemię, jakby rażony niewidzialnym gromem.

„Świat ciągle się zmienia, a życie jest jedynie przedstawieniem”. Stoik Marcus Aurelius.

Fredric pił wodę z butelki małymi łykami. Pozwolił wędrować myślom, ale wzrok cały czas miał skupiony. Między krzewami winorośli, w pobliżu terenu wykopalisk, ktoś siedział na skrzynce; a może to kamień? Wyglądało na to, że osoba ta nic nie robiła, tylko tam siedziała. Coś trzymała w rękę. Fredric zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć, ale nie był w stanie dostrzec szczegółów. Miał jednak wrażenie, że jest to kobieta. Może siedzi i wyplata koszyk na kiście winogron?

Peras i aperiön. Siła przeciwieństw. Pole przyciągania, niewidzialne promienie duszy.

Harmonia. Doskonała dusza w niedoskonałym ciele. Geometria. Nieznane właściwości światła. Pryzma, gwiazda, kryształowa gwiazda, laser. Co mówił słynny mistyk Valentin Andrae?

„Z korony buchnął ogień; zobaczyłem, jak otwiera się pokrywa i płomień ognia znika w rurze i wchodzi w pozbawione życia ciało. Potem otwór się zamknął, a rura znikła”.

Die Chymische Hochzeit.

Kobieta w dole siedziała niemal nieruchomo. To na pewno była kobieta, Fredric widział jej długie włosy. Była sama wśród winorośli. Genevieve, przyszło mu nagle do głowy, a jeśli to Genevieve tam siedzi?

Zaniepokoił się. Wstał, a nagły ruch przestraszył pomarań*czowózółtego motyla, który siedział na jego udzie. Oczywiście nie mogła to być Genevieve. Genevieve była w St. Emilion, adorowana przez mężczyzn, którzy potrafili ją docenić. Poczł gorycz żółci w gardle.

Trzy dni. Minęły trzy krótkie dni.

Znalazł sobie nowe miejsce w cieniu. Zdjął koszulę i położył się na plecach. Patrzył w górę. Biała smuga sprężonego powietrza, zostawiona przez samolot, przecinała jasny błękit nieba. Nasłuchiwał, ale nie dochodził go żaden dźwięk.

„... hermetyk Chiron powiedział, że tak brzmi Szept

Śmierci w naszych ziemskich dionizjach. Synedrium er Umbi*licus Telluris, strzeże Harmonii niczym Odeon po wsze czasy". Znał te słowa na pamięć. Miejscem spotkania jest pepek świata. Strażnikiem Odeon. Strzeże harmonii po wsze czasy. Odeon. Świątynia muzyki.

Harmonium.

Odeon.

Neumy.

Muzyka.

Doktor Kiron. Doktor Vitollo Umbro. Siostry z zakonu Empedesiusa i ich niebiański śpiew podczas kościelnych uroczystości na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Nagle wstał. Nie może tak tu leżeć. Musi zacząć działać. Czyżby się bał? Czyżby się ukrył w oliwnym gaju, gdzie nikt go nie dostrzeże, i odstąpił od rozwiązania zagadki? Nie Fre*dric Drum!

Zamek, Romeo Umbro? Czy Vitollo Umbro? Zdecydował się odwiedzić Vitolla Umbro. A potem, jeśli przeżyje, przyjdzie kolej na wuja.

Kobieta siedząca przed chwilą wśród winorośli zniknęła.

Zaczął schodzić ze wzgórza. Kiedy już prawie dotarł do parkingu, zobaczył, że w jego stronę ktoś idzie. Zatrzymał się. To była kobieta. Niosła jakieś zawiniątko nakryte chustą. Czy to ona siedziała wśród winorośli? Bardzo prawdopodobne.

Kobieta podniosła wzrok i zauważyła Fredrica. Zatrzymała się, cofnęła. Dzieliło ich jakieś dziesięć metrów. Wyraźnie widział jej twarz. Była ładna, młoda, chyba nie miała jeszcze trzydziestu lat. Gianna Umbro, pomyślał. Gianna, siostra An*drei, kobieta, przed którą ostrzegała go Genevieve, która tak ją przerażała.

Była jak objawienie. Jej twarz miała czyste, niewinne rysy rubensowskiego anioła. Duże brązowe oczy. Jest cudowna, pomyślał Fredric. Jak tak piękna istota może kogoś przerazić? Na rynku hałasowała vespa, hałas niósł się po zboczach

wzgórza. Fredric uśmiechnął się i uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Ruszył w jej stronę. Kobieta nie zareagowała na jego pozdrowienie. Nawet kiedy stanął obok niej, mówiąc coś o pięknym dniu, nie otworzyła ust ani się nie poruszyła. Po prostu patrzyła na niego oczami głębokimi jak dwa jeziora, a jej twarz była tak piękna, że sam Boccaccio padłby przed nią na kolana.

Fredric nie padł jednak na kolana. Przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, spytał:

* Gianna Umbro?

Nagle dziewczyna zrobiła ręką znak krzyża i zaczęła biec pod górę. Zniknęła za zakretem, a Fredric stał i kręcił głową. Biedaczka. Najwyraźniej ją przestraszył. Potężny, okropny Fredric Drum z Norwegii przeraża wszystkie kobiety, które pojawiają się na jego drodze. Tak po prostu jest i tak zapewne już zawsze będzie.

Ale znaku krzyża nie musiała robić. Fredric nie był duchem. Jeszcze nie.

Kiedy dotarł do parkingu, znów się zatrzymał. Długo studiował żwirową nawierzchnię, wypatrując śladów kół. W ostatnim czasie lancia wielokrotnie stąd odjeżdżała, a potem powracała. Natomiast wynajęty samochód najwyraźniej stał tutaj dłuższy czas. Trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby na tak długo zostawić na parkingu wynajęty samochód.

Przy bramie szpitala Fredric stanął i dłuższą chwilę się wahał. Nie miał ochoty wchodzić. W końcu przewyciężyły sentymenty i ruszył do środka.

W parku była tylko jedna osoba, mężczyzna w średnim wieku; siedział na ławce obok fontanny i patrzył przed siebie. Z pewnością jakiś pacjent.

Fredric przeszedł przez park, kierując się do głównego wejścia. Pokonał kilka schodków i wszedł do środka.

Hol też był pusty. Z głośników umieszczonych dyskretnie w całym pomieszczeniu płynęły łagodne dźwięki. Mozart,

koncert fortepianowy nr 21; dźwięki były jak krople wodospadu mieniające się w promieniach słońca. Rozejrzał się i zobaczył całe mnóstwo drzwi. Na jednych z nich dostrzegł tabliczkę. Podeszedł bliżej. „UFFICIO”, biuro, napisane było dużymi literami. Zapukał i w odpowiedzi usłyszał kobiecy głos.

Kobieta w średnim wieku, ubrana w szarozieloną garsonkę, siedziała przy biurku. Na półkach stały teczki z dokumentami i książki. Kobieta spojrzała pytająco na Fredrica.

* W czym mogę panu pomóc? * spytała. Jej głos brzmiał chłodno i formalnie.

* Eee... * odchrząknął Fredric. * Chciałbym rozmawiać z doktorem Vitollo Umbro.

Nazywam się Fredric Drum, doktor mnie zna, już się spotkaliśmy.

* Chce pan rozmawiać z nim teraz?

* Tak, jeśli to możliwe, signora.

* To niemożliwe, signore. Nie był pan umówiony. Doktor jest w trakcie zajęć, ma u siebie trzech pacjentów. Przez najbliższe kilka godzin nie można mu przeszkadzać * powiedziała, uśmiechając się przeproszająco.

* Ach tak * powiedział niepewnie. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. * A doktor Tigatelli też jest zajęty? * spytał.

Urzędniczka pokręciła głową.

* Doktor Tigatelli jest wolny do godziny drugiej. Chce pan z nim rozmawiać?

Fredric przytaknął.

Dwie minuty później siedział w jasnym pokoju na drugim piętrze z parującą filiżanką espresso i wpatrywał się w chudą postać signore Tigatelli; mężczyzna siedział zgarbiony na kanapie przy oknie, ciekaw, co niespodziewany gość ma do powiedzenia. Wzrok miał uważny, czoło lekko zmarszczone.

Fredric przedstawił się krótko. Powiedział, że przebywa w Ofanes na zlecenie uniwersytetu w Rzymie. Chodzi o odczytanie jakichś starych dokumentów. Chciałby się dowiedzieć kilku rzeczy, zanim przystąpi do pracy. Potrzebuje pomocy osób związanych z kliniką. Doktor Tigatelli kiwnął głową.

* Proszę mówić. Ja co prawda nie pochodzę stąd, ale mieszkam tu już od jakiegoś czasu.

Właściwie doktor Umbro i ja przybyliśmy tu jednocześnie.

* Kiedy? * spytał Fredric.

* Dwanaście lat temu. Kiedy Vitollo w końcu odzyskał posiadłość, a właściwie wydarł ją ze szponów Sokoła! * roześmiał się Tigatelli. * Ale to nie ma nic wspólnego z pańskim zadaniem.

* Nie wiadomo. Może mi pan coś opowiedzieć o dzieciństwie doktora Vitollo, o źródle jego konfliktu z wujem, z z Falcco.

* Sądziłem, że zajmuje się pan archeologią * powiedział Tigatelli, marszcząc czoło. * Ale oczywiście to żadna tajemnica.

Doktor dołał kawy Fredricowi i sobie.

* Ojciec Vitolla, Pietro Umbro, był geniuszem muzycznym. Niestety zmarł, ledwie skończył dwadzieścia lat; świeżo po ślubie, wyklęty przez rodzinę, wydziedziczony. Młodszy brat, Romeo, przejął zamek i pozostały majątek. Z nieznanego mi powodu muzyka zawsze działała na ród Umbro jak czerwona płachta na byka. Kiedy więc młody Pietro postanowił poświęcić się muzyce, napotkał na mur. Wybór był prosty: muzyka albo spadek. Pietro wybrał muzykę, i zanim umarł, zdążył jeszcze napisać dwie całkiem niezłe symfonie. Osiedlił się pod Genuą, skąd pochodziła jego żona. Vitollo nigdy nie poznał ojca. Dorastał w Genui, otrzymał dobre wykształcenie, wyjechał do Stanów, a potem do Francji. Chociaż muzyka była jego pasją, wybrał jednak studia medyczne. Ale cały czas marzył o tym * powiedział Tigatelli, zakreślając koło ręką.

* Po wielu długich procesach Vitollo w końcu wygrał. Otrzymał należną mu część spadku.

Ale była to walka na

śmierć i życie. Wuj naprawdę groził mu śmiercią, ale Vitolo się nie poddał. Ostatnio doszło między nimi do incydentu; wuj zamontował jakąś straszną pompę na wzgórzu na tyłach szpitala, monstrum, które tak hałasowało, że jakakolwiek terapia muzyczna była niemożliwa. Vitollo wysadził monstrum w powietrze i posłał wujowi czek z prośbą o zainstalowanie pompy elektrycznej. Od tamtej pory panuje spokój.

Fredric pokiwał głową. Rozmyślał nad tym, czego się dowiedział, trzymając przy ustach filiżankę z kawą.

* Romeo Umbro ma córkę. Giannę, tak? A co z jej matką?

* Na pewno nie zajmuje się pan genealogią? * spytał lekarz, uśmiechając się ironicznie. * Rozumiem, że ma pan swoje powody, żeby pytać * dodał.

* Gianna Umbro, biedna dziewczyna. Piękna jak obrazek, eteryczna niczym duch, niestety głuchoniema. Matka umarła przy porodzie. Dziewczyna wychowała się tu, na zamku, pod opiekuńczymi skrzydłami Il Falco. Vitollo uważa, że jest szansa na jej wyleczenie, ale musiałyby się poddać operacji. Jednak Romeo Umbro nie chce o tym słyszeć.

* Głuchoniema * wymamrotał Fredric. * Nie słyszy nawet muzyki?

Doktor Tigatelli ponownie zmarszczył czoło.

* Oczywiście, muzyki także nie słyszy. Tej muzyki, którą pan zna. Bo przecież istnieją różne rodzaje muzyki. Poza tym jesteśmy przekonani, że można ją wyleczyć * powiedział i z niecierpliwością spojrzął na zegarek. * Niedługo będę musiał pana opuścić. Proszę wrócić wieczorem, na pewno zastanie pan tu wtedy doktora Vitolla.

Fredric wstał. Przeklinał w duszy zegarki i terminy. Najważniejszych pytań nie zdążył zadać.

* Jeszcze tylko jedna rzecz * powiedział. * Słyszał pan coś o kradzieży w Ofanes, już jakiś czas temu, w związku z wykopaliskami?

* O kradzieży? * Tigatelli popatrzył na niego przenikliwym wzrokiem. * Słyszałem tylko o jednej. To była czysta złośliwość. Pół roku temu skradziono ukochany instrument doktora, cilot, prawdziwe чудо z brązu i rogu. Skradziono go z zamkniętej szafki. Właściwie stał nie używany, był jedynie cennym antycznym klejnotem, podziwianym przez wszystkich archeologów. Teraz została nam tylko nędzna kopia, wydająca jedynie niskie tony.

Fredric pamiętał, że Genevieve pokazywała mu dziwne instrumenty, między innymi coś, co nazwała cilot.

* Ciloń * spytał Fredric.

* Tak, prawdziwy cilot * odpowiedział Tigatelli, otwierając mu drzwi. * Lub cylotian, jak niektórzy go nazywają.

9

Fredric Drum delektuje się butelką Calabria Umbro 1983,

poznaje Wergiliusza i Owidiusza i odnotowuje siedem stopni w skali Richtera

Pora obiadu w trattorii signore Rattiego niemal już minęła. Lokal powoli pustoszał. Fredric Drum stał ukryty w cieniu kościoła. Był głodny. I właściwie miał też ochotę na butelkę dobrego wina.

Kiedy w trattorii zostało już tylko paru gości, ruszył żwawo przez rynek i znalazł sobie miejsce pod parasolem, tuż pod ścianą. Tutaj mógł siedzieć z dala od ciekawskich spojrzeń gości. Signore Ratti zmarszczył czoło, wytarł ręce w przewieszoną przez ramię ścierkę i zaczął powoli iść w stronę stolika.

* Giorno, Bachus Ratti * pozdrowił go Fredric wesóło, śląc mu swój najszerszy uśmiech. * Mój żołądek domaga się pańskiej bajecznej lasagne i butelki dobrego, bardzo dobrego wina z pańskiej wyśmienitej piwniczki.

* Butelki dobrego wina? * powtórzył gospodarz i w jego oczach pojawiło się zdziwienie.

* Tak, poproszę butelkę dobrego wina. Pozwoli pan, że będę mu towarzyszył do podziemi? * spytał Fredric, wstając.

Signore Ratti szedł przodem, Fredric za nim. Na dole w piwnicy gospodarz rozłożył ręce i powiedział:

* Cóż, dobrze pan wie, że Włochy to nie Francja, nie mam burgunda... * Rozejrzał się niepewnie dookoła. Po chwili nachylił się do Fredrica i niemal wyszeptał: *To prawda, że jest pan jednym z najlepszych norweskich znawców win? Że otrzymał pan tytuł Grand Connaisseur du Vin? Domyśla się pan zapewne, że zdradziła mi to francuska signorita... * Urwał, jakby się spodziewał, że Fredric nie będzie zadowolony, słysząc te słowa.

* Drogi signore Ratti. * Fredric poklepał mężczyznę po ramieniu. * Wiele win, które pan tu posiada, może spokojnie zmierzyć się z francuskimi trunkami. To, które pan ostatnio mi podał, było przedniego gatunku. Dostarczyło mi wrażeń, których nigdy nie zapomnę.

* Mówi pan prawdę? * upewnił się signore Ratti i po raz pierwszy zagościł na jego twarzy niepewny uśmiech, by po chwili zmienić się w radosny uśmiech. * Naprawdę pan tak uważa, signore Drum?

Gospodarz stał się nagle innym człowiekiem. Zaczął opowiadać, że on, skromny właściciel trattorii w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, ma jedną wielką pasję: dobre wina. Że kiedyś, trzy lata temu, otrzymał tytuł Mistrza Win Kalabrii. Teraz w miarę swoich możliwości skupuje włoskie wina, żeby jego dzieci mogły poznać smak naprawdę dobrego wina, kiedy one i wino do tego dojrzeją.

* Signore Drum * zaczął i spuścił głowę. * Przepraszam, ale zaszło nieporozumienie. Sądziłem, że jest pan jednym z tych zadzierających nosa snobów, co to zawsze wychwalają francuskie wina, przeciwstawiając je lokalnym trunkom. Którzy drwią sobie z naszych małych perełek. Teraz jednak wiem, że jest pan prawdziwym connaisseur * zakończył i wyciągnął dłoń. Fredric mocno ją uściśnął. Przyjaźń została przypieczętowana.

Rozpoczęło się zwiedzanie piwniczki. Fredric musiał wysłuchać opowieści o winach całego rejonu, o różnych gatunkach winorośli, o długim procesie leżakowania i tak dalej. Nagle gospodarz podał mu butelkę.

* Tego powinien pan spróbować. Falco potrafi robić dobre wina, kiedy się nie spieszy. Fredric przestudiował etykietkę. Calabria Castello Umbro 1983. Pokiwał głową i uśmiechnął się.

* Wezmę ją * powiedział.

Lasagne wjechała na stół razem z parmezanem, oliwkami i pieczywem. Signore Ratti skłonił się głęboko, zamrugał i zaczął nalewać wino. Miało ceglany kolor, pachniało przejrzałymi figami, mocno, intrygująco. Fredric długo trzymał łyk wina w ustach. Miało pełny smak, który zostawał na długo, a przyjemna woń rozchodziła się po zatokach.

* Mistrzowskie * ocenił. * Kto by pomyślał, że to dzieło Romea Umbro.

* To akurat nie jego zasługa * powiedział gospodarz. * Winami zajmuje się maestro Melchiori. Sokoła interesują głównie pieniądze. Życzę smacznego, signore, na koszt firmy. Fredric już miał zaprotestować, ale gospodarz nie dopuścił go do głosu. Wyszedł, zostawiając go sam na sam z posiłkiem.

Fredric jadł długo i powoli. Delektował się każdym łykiem wina. Cały czas jednak bacznie obserwował rynek; przyglądał się spacerującym ludziom, wypatrywał, czy ktoś nie rusza drogą do zamku. Zdawał sobie sprawę, że gdzieś nadal czai się jego wróg, gotów zadać mu kolejny śmiertelny cios.

Zbliżało się wpół do piątej. Fredric odpoczywał, leżąc na łóżku w swoim pokoju. Dookoła niego wały się porzucane notatki.

Cilot * cylotian. Przesłanie świętego Cylotiana. Instrument muzyczny. Właściwie to powinien był się domyślić. Chociaż nadal nie widział żadnego logicznego związku.

Może chłopcy nakryli złodzieja? Może znaleźli wśród ruin instrument skradziony Vitollo Umbro? Ale ojciec jednego z nich, signore Puggi, mówił, że to było coś, co sami wykopali. Złodziej pewnie nie zakopałby w ziemi kosztownego antycznego instrumentu. No i co z signore Loppo, strażnikiem? Dlaczego tych troje musiało zginąć?

Komu przeszkadzał profesor d'Angelo?

No i on sam? Dlaczego ktoś uznał go za zagrożenie?

Odpowiedź nasuwała się sama: tylko on był w stanie odczytać Codex Ofanes. Niestety, pomyślał, nie był w stanie tego zrobić. Miał jednak nadzieję, że pewien organista z dalekiej Północy będzie mógł mu coś podpowiedzieć.

Zebrał notatki.

* Pora na następny krok, Drum * powiedział sam do siebie. * Ruszamy do gniazda Sokoła. Zobaczymy, do czego używa swojego dzioba i swoich szpon * dodał pod nosem i wypił ciurkiem trzy szklanki wody.

Zanim opuścił pokój, ułożył kilka drobiazgów w sobie tylko wiadomy sposób. Nieproszeni goście, którzy przyszliby tu z zamiarem zastawienia śmiertelnej pułapki, szybko zostaliby zdemaskowani.

Zatrzymał się chwilę w pustej recepcji. Nasłuchiwał. Gdzieś z tyłu dochodziły głosy. Zamarł. Co to był za głos? Nagle wszystko ucichło. Czyżby się przesłyszał? Pokręcił głową, żeby rozjaśnić myśli; wyciągnął rękę i świadomie powiesił klucz na niewłaściwym miejscu. Potem szybko wyszedł na słońce.

Droga prowadząca do zamku leżała teraz w cieniu. Widok był wspaniały. Jak okiem sięgnąć widać było winnice i gaje oliwne, a na horyzoncie Morze Jońskie, zielone i spokojne. Daleko widać było kołyszące się na wodzie rybackie łodzie. Przodkowie Sokoła kontrolowali i ziemię, i morze.

Droga zakręciła i nagle znalazł się przed wejściem. Po obu stronach bramy wznosiły się dwie wieże, zresztą brama nie pełniła już swojej roli, mur był nadwątlony i właściwie każdy bez problemu mógł wejść do zamku. Ma to zrobić?

Wahał się. Na jednej wieży powiewała czerwono*zielono*czarna flaga. Na murze, od strony drugiej wieży, znów suszyło się pranie. Koszule, bielizna, prześcieradła, ręczniki. Była tam też kobieta.

Nagle spostrzegł, że mu się przygląda. To była ona. Piękna Gianna. Niema dziewczyna. Stała i na niego patrzyła.

Fredric pomachał jej wesoło, nie dając niczego po sobie poznać. Gwiżdżąc, ruszył w stronę bramy. Ledwie wszedł na dziedziniec, usłyszał okropne ujadanie, które dochodziło spod pobliskiego muru. Dwa psy ruszyły w jego stronę, szczerząc zęby. Szybko zrobił pięć kroków do tyłu, ale jeden z psów zdążył odciąć mu drogę. Nagle został zepchnięty w narożnik. Dwa wielkie, wychudzone wilczury z kolczatkami na szyi obszczekiwały go, gotowe w każdej chwili skoczyć mu do gardła. Jeden z nich zaczął nawet szarpać go za nogawkę. Bestie patrzyły na niego podeszłymi krwią, pełnymi nienawiści oczami.

* Piesku * wydusił z siebie Fredric. W ustach miał sucho.

* Grzeczne pieski * dodał, trzymając ręce nad głową. Bał się, że inaczej psy mogłyby je odgryźć.

Bestie ujadły jak opętane. Czyżby właściciel nie zamierzał się zjawić?

Nagle spostrzegł cień z lewej strony. Ostrożnie odwrócił głowę i spojrzał w wycelowaną w niego dwururkę. Nad lufą widać było duży czarny kapelusz, a pod nim twarz Ro*mea Umbro. On także szczerzył zęby, jednak u niego miało to oznaczać uśmiech.

Fredric również się uśmiechnął.

* Cave canem, powinien pan umieścić tabliczkę... * zdołał powiedzieć, zanim jeden z psów doskoczył do niego i położył mu łapy na piersi, tak że Fredric stracił oddech.

* Wergiliusz! Owidiusz! Suffirientez Na miejsce! * odezwał się właściciel psów spokojnym, cichym głosem. Psy, warcząc, zaczęły się cofać.

* Takiego przyjęcia należy się spodziewać, jeśli przybywa się bez zaproszenia, signore Drum. Oczekiwał pan czegoś innego? * spytał. Jego dubeltówka nadal była wycelowana w Fredrica.

* Przybyłem z daleka, a wrócę jako kaleka * wymyślił coś na poczekaniu. Kilka absurdalnych słów, które po włosku brzmiały zapewne jeszcze dziwniej.

Il Falco opuścił dubeltówkę. Nagle jednak znów ją uniósł i rozległ się ogłuszający huk.

Fredric poczuł zapach prochu i zobaczył, jak coś spada, jakiś czarny kształt, zaledwie pięć metrów od miejsca, gdzie stał. Czarny kruk padł martwy na ziemię, z dzioba leciała mu krew.

* Zaśpiewaj dla mnie kruku, ale kruk nie chciał śpiewać. „Nie będę dla ciebie śpiewał, nie!”

* zanucił Fredric i przywarł do muru.

* Ionesco? Mam wrażenie, że zna pan Eugene Ionesco *

powiedział Romeo Umbro i złamał dubeltówkę; wyleciał z niej pusty nabój, zaczął się turlać i zatrzymał się pod stopami Fre*drica. W powietrzu nadal unosił się słaby zapach prochu.

* *Grymaśny grymaśnik z grymaśną grymaśnicą * zaczął znów Fredric, przekonany, że tylko równie absurdalne powiedzenia mogą go uratować.

* Miłośnik poezji, tak? Jakiś norweski bełkot. Niewart pięciu lirów. Enrico Ibsen powinien być zostać w Italii. Może w końcu czegoś by się nauczył. Kretyni! Wszyscy jesteście kretynami! * wykrzyczał Umbro. Zdjął kapelusz i zaczął odganiać nim muchy. Potem podszedł do kruka i kopnął go nogą w stronę muru.

* Ci, którzy podążają za ruchem skrzydeł, wiedzą * mruknął Fredric i odważył się zrobić krok do przodu.

Signore Umbro stał i przyglądał się. W jego spojrzeniu nie było wrogości, raczej zdziwienie. W końcu podrapał się po głowie i nałożył kapelusz.

* Zapraszam cię * powiedział nagle. Odwrócił się do Fre*drica plecami i dał znak ręką, żeby za nim podążył.

Przeszli przez dziedziniec, który przypominał zwykłe podwórze, i ruszyli w stronę dużego budynku, najwyraźniej niedawno odremontowanego. Fredric rozglądał się za Wer*giliuszem i Owidiuszem, ale nie dostrzegł psów. Szerokie marmurowe schody prowadziły do solidnych cedrowych drzwi. Po obu stronach schodów królowały oczywiście dwa sokoły z zielonego marmuru.

Fredric wszedł do dużego ciemnego holu. Unosił się tu zapach pasty do podłogi i kamfory.

Signore Umbro odstawił dubeltówkę na stojak, na którym było już kilka innych strzelb.

Następnie otworzył drzwi i puścił Fredrica przodem. Także ten pokój był ciemny: ściany wyłożone ciemną boazerią i stare skórzane fotele. Na ścianach wisiały poroża, łby lwów, zebr i dzików. Największe trofeum, ogromny łeb nosorożca, zdobił duży otwarty kominek.

* Dużo pan poluje * zauważył Fredric, wyraźnie będąc pod wrażeniem.

* Idiota. Niech pan się trzyma absurdu. Mój dziadek był myśliwym. Mnie wystarczą kruki. * Wrzucił kilka szczap do kominka i rozpałił ogień.

Za moment zrobi się tu nawet przyjemnie, pomyślał Fredric, siadając na krześle, które wskazał mu właściciel zamku. Teraz pora na wieczorynkę, na wieczorynkę, tralala, tralala, śpiewał sobie w głębi duszy, nie chcąc nadużywać Inoseco.

Umbro zniknął za drzwiami, ale po chwili znów się zjawił. Trzymał w ręku butelkę bez

żadnej nalepki i dwa kieliszki, które zdecydowanym ruchem postawił na stoliku przed Fredricem. Nalał wino, uniósł kieliszek i wypił. Fredric też podniósł kieliszek i opróżnił go.

Poczuł pieczenie w gardle. Jedynie z trudem udało mu się powstrzymać silny atak kichania, w oczach miał łzy.

* Nawet tundra na północy czasem taje, co? * rzucił Umbro i zmrużył oczy. * W jakiej to sprawie przybywa do nas si*gnore Baccalao? Mam nadzieję, że nie są to żadne podchody. Jeden wyliniały lis wystarczy.

* Podchody? * powtórzył Fredric, usiłując zyskać czas na sformułowanie odpowiedzi.

* Ha! Nie wiem, co wy tam sobie roicie w tych waszych głowach, w których zamiast mózgu macie kaszę! Opowiadacie jakieś bzdury, bajki; to brednie, szarlataneria, a nie historia, jak wam się zdaje * zakończył. Dołał do kieliszków i zmusił Fredrica do wypicia. Spokojnie, Fredricu, spokojnie, nie denerwuj się, pozwól złościwościom rozplynać się w powietrzu, skup się na tym, co istotne, mówił mu jakiś wewnętrzny głos. Fredric postanowił działać.

* Ostatnio, kiedy na mnie krzyczałeś * uznał, że trwanie przy oficjalnej formie w tej sytuacji byłoby nie na miejscu *twierdziłeś, że masz jakiś dowód. Co to znaczy? Dlaczego twierdzisz, że „to, co mi się wydaje, że wiem, jest jedynie fantazją”?

Dlaczego moja wiedza, signore Umbro, jest taka straszna? Boisz się takich „badaczy lodu” jak ja? * spytał i wstrzymał oddech.

Pan na zamku zmrużył oczy i przyglądał mu się. Na jego ustach pojawił się jakby ślad uśmiechu, ale nic więcej.

* Owszem, mam dowód * wysyczał. * Porusza się na dwóch nogach i jest najpiękniejszym stworzeniem chodzącym po ziemi, jakie Bóg stworzył. Jeśli zbliżysz się do niej na odległość mniejszą niż trzy metry, będę strzelał * powiedział. Nagle zatarł ręce, a jego twarz zrobiła się nieco bardziej przystępna. * Chyba trochę cię polubiłem; w twoim wzroku nie ma fałszu ani żądzy sławy. Wydaje ci się, że dużo wiesz, ale nic nie wiesz. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Coś ci pokażę. Chodź! * powiedział i wstał.

Fredric podążył za nim. Czuł się lekko otumaniony, mocny alkohol uderzył mu do głowy. Przeszli przez wiele pokojów. Znajdujące się w nich przedmioty chętnie przyjąłoby każde muzeum. Ale cóż, to chyba normalne, że jeśli ktoś się tu urodził, to odziedziczył też skarby starożytności.

Weszli do pokoju położonego nieco niżej niż reszta pomieszczeń. Jedna ze ścian składała się z samych okien. Szerokie drzwi prowadziły do bujnie kwitnącego ogrodu ze źródłem i licznymi fontannami. Trzy pozostałe ściany zajmowały książki. Półki sięgały od podłogi aż do sufitu. Na środku stało duże biurko i dwa obite skórą krzesła.

W pokoju były tysiące książek.

* Tutaj, signore Drum * powiedział właściciel zamku, wskazując ręką * tutaj znajduje się cała wiedza. * Jego oczy błyszczały. * Książki, których świat nie widział! O których istnieniu nawet nie wie. Pisane z krwawiącym sercem, drżącą duszą, w obliczu boskości. To, co sądzisz, że wiesz, nie jest prawdą. Prawda znajduje się tutaj.

Fredric z nabożeństwem zbliżył się do półek. Większość tomów nosiła ślady ognia. To chyba największa skarbnica wiedzy w całych Włoszech, pomyślał.

Wyciągnął jeden z woluminów. Ludovico Ariosto: Orlando furioso. Drukowane w Genui w 1635 roku.

* No proszę * roześmiał się Romeo Umbro. * Trafieś na jeden z moich skarbów. A wiesz, że Ariosto napisał także cykl wierszy o dawnych bogach Etrusków? Mam tutaj to jego nieznanie dzieło * dodał Umbro. Wszedł na stół i sięgnął po jedną z książek z najwyższej półki. Położył ją ostrożnie na stole i otworzył na stronie tytułowej. Stara skórzana oprawa zatrzęszczała. Fredric ze zdziwieniem zauważył, że książka nie była drukowana, została spisana ręcznie, wyraźnym, ładnym pismem.

* Cantata Dei Immortabilis * czytał Umbro * napisana w 1496 roku. Ariosto miał wtedy dwadzieścia dwa lata * dodał i delikatnie odłożył książkę na miejsce.

* Możemy cofnąć się w czasie jeszcze dalej. Oto Guido Guinizelli, poprzednik Dantego, twórca nowego stylu, la dol*ce stile nuovo. Franciszek z Asyżu, Cantico dijrate sole i Laudes

Creaturarum, stojące obok wielkiego Jacopone da Todi, reprezentującego genialny kierunek literacki sacre rappre sentazioni, czyli „świętą grę”. Tej „gry” nie zna żaden badacz literatury. * Umbro zdjął z półki kolejny tom, dość zniszczony, zatytułowany: Ermetismo igno. * Jak myślisz, kim byliby współcześni poeci, tacy jak Montale, Ungaretti, czy Saba, gdyby nie Jacopone da Todi?

Fredric pokręcił głową. Nie miał pojęcia. Większości dzieł nie znał. Wyczuwał jednak wielką namietność właściciela zbioru. Wyobrażał sobie, że sam prawdopodobnie też mógłby spędzić w tym pokoju, wśród tych książek, całe lata, nie pragnąc niczego innego.

Literatura. Fredric nie przybył tu, żeby słuchać wykładów o klasycznej włoskiej literaturze. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość, gdy Romeo Umbro wyciągał kolejne unikatowe wydania Dantego, Petrarcki czy Boccaccia; wychwalać poetę epoki renesansu, Torquato Tassa, i jego dzieło Gerusalemme liberale, którego ilustrowane wydanie znajdowało się w posiadaniu

Umbro; słuchać, jak ten drwi sobie z nowoczesnych poetów i pisarzy, takich jak Giorgio Bassani, di Lampedusa, Papini, Ardengo Soffici, a już szczególnie z futurysty Marinettiego.

* Ionesco * zaczął niepewnie Fredric. * Lubisz Ionesco? Romeo Umbro roześmiał się ostro. * To kretyn * powiedział. * Ty też możesz nim być, gdy zaczniesz mówić od rzeczy, albo ja, kiedy coś mi się zacznie mieszać. Ionesco jest sumą szaleństwa, politycznego szaleństwa, ukrywającego się pod płaszczem lewicowego liberalizmu, by stwarzać pozory powagi. To głupiec.

* Ach tak * wymamrotał Fredric. Nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować. Miał wrażenie, że udało mu się zdobyć zaufanie właściciela zamku, spytał więc ostrożnie: * Skąd pochodzą te wszystkie skarby, to zbiór rodzinny?

* Si, si * roześmiał się Umbro. * W głównej mierze to jednak zasługa Garibaldiego. To jego dar. Kiedy Garibaldi przybył na Sycylię w 1860 roku, a później ruszył dalej, mój prapradziadek, Octavio Umbro, wystawił niewielką armię. Był jego gorącym zwolennikiem. Te szczury, ta zaraza, mnisi z tutejszego klasztoru, zostali nareszcie stamtąd przepędzeni, a mój prapradziadek otrzymał ich księgozbiór. Z wyjątkiem... * Urwał i w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

* Z wyjątkiem?

* Biblioteki muzycznej. Dumy klasztoru. Mój prapradziadek kazał ją spalić, ku przestrodze po wsze czasy. Tu nie ma żadnej książki o muzyce. I żadnej takiej nigdy nie będzie! * powiedział i uderzył pięścią w stół z taką siłą, że zadrżały szyby w oknach.

* Ach tak * wymamrotał Fredric. * Więc to muzyka jest tym drażliwym tematem. To dlatego twój brat...

* Przymknij się, ty gadzie z tundry. Nie wymawiaj przy mnie imienia tego zdrajcy. Pewnego pięknego dnia zaciągnę mu strunę wokół szyi, tak że zacznie piąć, aż diabeł w piekle będzie się radować. Skoro nie chce hodować wina i oliwek *a nasz ród robi to już od dobrych siedmiu wieków * nie zasługuje, by nosić nazwisko Umbro. Przynosi wstyd całej rodzinie, jak wcześniej jego ojciec, zdrajca! * powiedział Romeo Umbro; podszedł do szklanych drzwi i otworzył je.

* Klasztor. * Fredric chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć. * Zakonnicy też nie uprawiali wina ani oliwek, natomiast poświęcali się muzyce, i to od wielu wieków, prawda? Umbro zmrużył oczy i przyglądał się Fredricowi.

* Tak, to prawda * potwierdził. * Konflikt między klasztorem a naszą rodziną trwa od momentu, kiedy się tutaj osiedliliśmy, czyli od XIII wieku. Jednak od końca ubiegłego wieku niemal aż do dzisiaj panował względny spokój. Signore Garro*foli dostał rękę mojej najstarszej córki w zamian za obietnicę, że w jednym z dawnych budynków klasztornych otworzy hotel, żeby wymieść stąd resztki średniowiecznego mistycyzmu. Lecz Garrofoli tkwi w przeszłości. Andrea też została zatruta atmosferą tego starego domu; zaczęła nawet mówić

przypowieściami. Chyba to zauważyłeś, do licha. Czy miejsce, w którym mieszkasz, przypomina nowoczesny hotel?

* Nie * musiał przyznać Fredric.

* A potem przybył tu ten dziwak, mój bratanek, i ograbił mnie z części majątku. Zabrał niektóre budynki i dobre winnice. I po co mu to było? Żeby urządzić tam szpital?! Potem nagle zjawiała się tu banda dziwaków z Rzymu; zaczęli wszystko rozkopywać, szukać jakichś starożytnych zwojów. To nasze najlepsze ziemie! Jakby tego było mało, jakaś zasuszona kobiecina wpadła na pomysł, że musi nieść w świat przesłanie mnichów zakonu Empedesiusa, i założyła po drugiej stronie wzgórza żeński zakon. Czym to się skończy? Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo nie ostanie się tu ani jedna winnica, a oliwki zaczną gnąć na ziemi, bo nie będzie komu ich zbierać. Do tego wszystkiego zjawiasz się jeszcze ty, z pokrytej śniegiem Północy, i zaczynasz we wszystko wściubiać swój nos. Po co?

Signore Umbro tak się podniecił, że Fredric uznał, że naj*rozsądniej będzie milczeć. Wyszedł przez otwarte drzwi do tonącego w zieleni ogrodu. Po chwili dołączył do niego Romeo Umbro.

* Ładnie tu * powiedział Fredric. * Mocne zapachy.

* Idiota * usłyszał w odpowiedzi. * Co ty możesz wiedzieć o zapachach? Pewnie nawet nie czytałeś Trattato sulla Quin*tessenza Johanna de Rupescissa. Hodujemy tu zioła według jego metody i dostarczamy do aptek w całych Włoszech. Myślałeś, że ten ogród jest dla ozdoby? Powąchaj! * powiedział, zrywając kilka listków z rabatki tuż pod ścianą domu. Listki cuchnęły kocimi sikami.

* Zioło to nazywa się Diabelską Armatą Filozofa. Włóż dwa takie listki przyjacielowi do herbaty, a zaczniesz ci cytować Biblię od tyłu, żeby po chwili paść trupem * oznajmił Umbro i roześmiał się.

* Czy tu jest wiele trujących roślin? * rzucił Fredric od niechcienia. Przypomnił sobie obezwładniający zapach w swoim pokoju, który niemal go zabił. *To dobry zarobek? Umbro zatarł ręce.

* Wyjątkowo dobry. Inaczej po co bym je hodował? Żeby zabijać ludzi, co? * spytał, wpatrując się w Fredrica.

Fredric doszedł do samego końca ogrodu, do szerokiego kamiennego muru przylegającego do zbocza wzniesienia. Niżej na zboczu widać było grupki domków, pola i gaje oliwne. U podnóża wzgórza uwagę zwracał duży szary budynek.

* To zakon? * spytał, wskazując palcem. Romeo Umbro parsknął.

* Zajęły stary budynek szkoły. Za kilka lat nie będzie ich tutaj. Napędzę im takiego strachu, że uciekną do piekła, gdzie jest ich miejsce. Chodź, kretynie! * powiedział, uderzając Fredrica w plecy, co najwyraźniej było znakiem, że powinni wejść do środka.

* Sam nie wiem... * Fredric spojrzał na zegarek. * Powiniennem chyba...

* Co powinieneś? Według mojego rozumienia czasu, dopiero się tu zjawiłeś; poza tym nie powiedziałeś mi jeszcze, czemu tutaj wieszysz. Chodź, napijmy się, niech dusza się raduje, a oczy niech płaczą! * rzekł i pchnął go przed sobą.

Fredric nie miał szansy zaprotestować. Nieprzewidywalny charakter Romea Umbro mógł w każdej chwili doprowadzić do katastrofy, która nikomu nie przyniosłaby niczego dobrego. Wiedział też, że dopóki przebywa w jego towarzystwie, może się czuć względnie bezpieczny. Romeo Umbro nie był mordercą. Był nieco ekscentryczny, na granicy szaleństwa, zaczytywał się w literaturze klasycznej, a uprawę oliwek i wina uważał za świętość. Fredric nie bardzo sobie wyobrażał, jak mógłby wydobyć z niego coś, co rzuciłoby światło na problem, z którym się borykał, nie ryzykując, że Umbro dostanie szału i go zabije.

Romeo Umbro wskazał mu krzesło, na którym siedział wcześniej. Dołożył drewna do kominka i nalał wina do kieliszków. Fredric musiał wypić dwa kieliszki, zanim rozmowa mogła toczyć się dalej. W końcu zebrał się na odwagę.

* Hotel twojego zięcia idzie kiepsko? * spytał.

* No proszę, od kiedy to takie pustogłowe mądrale jak ty interesują się prowadzeniem hoteli?

* spytał Umbro. Popatrzył drwiąco na Fredrica, dolewając mu już po raz trzeci do kieliszka. *

No, do rzeczy, ty obślizgły węgorzu, czego tu szukasz? Jak myślisz, co takiego ma papa Umbro, czego ty nie masz, a co chciałbyś mieć? Potrzebujesz pomocy w rozwiązaniu problemu dotyczącego wykopalisk, tak? Żeby jeszcze więcej zaczęło się tu dziać, co? Pij i dobrze się zastanów, zanim mi odpowiesz.

Fredric upił łyk, ale słysząc złowrogie pomruki gospodarza, wychylił kieliszek do dna. I... eksplodował. Kichnął tak gwałtownie * czternaście razy z rzędu * że ogień w kominku zaczął migotać, a Il Falco wbił się w swój fotel.

* Siedem w skali Richtera, całkiem nieźle * wymruczał Umbro.

Fredric otarł łzy z oczu i zawstydzony pokręcił głową. Nie pamiętał, kiedy miał tak ostry napad kichania od czasu, kiedy Tob dodał szczyptę anyżku do sosu na bazie imbiru.

* To stara rodzinna przypadłość * usprawiedliwił się. * Źle znosimy mocne alkohole. Szczególnie kiedy...

* Pij i raz na zawsze zapomnij o rodzinnych przypadłościach. Masz. Twoje zdrowie, klopie! * powiedział i ponownie napełnił kieliszek Fredrica.

Fredric wypił do dna.

Jego myśli zaczęły tracić jasność. Dowód, powiedział Umbro. Dowodem jest coś najpiękniejszego, co udało się Bogu stworzyć. Coś, co chodzi na dwóch nogach. Genevieve Bri*son. Nie, nie Genevieve Brisson.

Gianna Umbro.

* Ja... * zaczął. Musiał bardzo się przykładać, żeby mówić wyraźnie. * Piłem dzisiaj wino, niebiański trunek. Zrobiony z twoich winogron, signor Umbro. Odziedzyczyłeś tradycję, której nie wolno dać zginąć, i rozumiem twoje zmartwienie. Rozpaczałbym, gdyby twoje winnice zostały zniszczone, ale to zapewne nigdy nie nastąpi. Uważam jednak, że...

Umbro wbił w niego wzrok.

* Morderstwo * powiedział Fredric, bo nic więcej nie był w stanie powiedzieć.

* Morderstwo * roześmiał się Umbro, odchylając się do tyłu w krześle.

* Morderstwo * powtórzył Fredric * a raczej cztery morderstwa. Sam też mógłbym już dawno nie żyć. * Alkohol sprawił, że łby zwierząt na ścianach zaczęły się kiwać na boki, kłaniać mu się. Fredric zamrugał.

* Ach tak, morderstwo. Myślisz zapewne o tych dwóch łobuzach, którzy dostali udaru słonecznego. A może o chorym na serce signore Loppo? A ten bufon, profesor, dostał to, na co sobie zasłużył. Musisz być aż taki głupi? * Umbro nagle walnął pięścią w stół, aż kieliszki zdrząły.

* Il poliziotto Nuragus to zero, leniwy padalec * powiedział Fredric, przejmując kwiecisty język swojego gospodarza. * To nieu*nieudacznik, je*jedyne, co*co potrafi, to pić gra *grappę * ciągnął dalej mimo czkawki.

Umbro uniósł się na krześle, już chciał chwycić Fredrica za gors jego koszuli, ale opamiętał się. Po raz kolejny napełnił mu kieliszek, a Fredric natychmiast go wychylił.

* Signore Nuragus * zasyczał Umbro * dostaje ode mnie co miesiąc ładną sumkę lirów, żeby dbać o ład i porządek w Ofanes, tak jak ja sobie tego życzę. Żadnych awantur, kłótni, żadnych skandali, rozumiesz, ty bezczelna polarna gnido?! Jeszcze jedna taka insynuacja, a wylądujesz w kiciu. Wystarczy, że szepnę słówko komu trzeba.

* O*horlando furioso, szatanie jeden! Ty s*skorumpowany włoski hi*hipokryto! Pochłoncie cie ogień piekielny, zobaczysz! Już t*tam na c*ciebie cz*czekają, p*podkładają drew pod k*ko*ciół! * krzyczał Fredric. Stracił wszelki szacunek dla człowieka, którego był gościem.

Pokój tańczył mu przed oczami, widział ogień płonący co najmniej w trzech kominkach, a czkawka stawała się coraz bardziej dokuczliwa.

Romeo Umbro odchylił się na krześle i głośno się roześmiał. Aż zadudniło.

* T*ty i t*te t*twoje sługusy! J*jesteście przez*żytkami e*epoki ś*średniowiecz*cza!
K*kurzem po*pokrywającym Of*fanes! Twoje zdrowie, prehistoryczny gadzie! * I Fredric wyciągnął kieliszek w stronę swojego gospodarza.

Umbro wziął butelkę i zakorkował.

* Morderstwo * powiedział cicho. * Kretańskie bajdurzenie.

* Eugeene Ionesco. * Fredric próbował się podnieść. *Zajmę się teraz tym*mi mni*mnichami, niech m*mnie zmasakrują, ta b*banda od E*hmepedoklsa. A t*ty s*sypnij Nuragu*sowi lirami i ludź się, że w p*piekle potraktują cię łagodnie, ty wyhliniały kuku!
Dziękuję! * powiedział i ruszył do drzwi.

* Signore Drum? * zawołał Umbro i wstał. * Chwileczkę. Odprowadzę pana do bramy.
Chwycił Fredrica i szedł z nim po schodach; towarzyszył mu w drodze przez dziedziniec.
Było już ciemno. Dotarli do bramy; Fredric stanął i oparł się o mur.

* Nie wihcę żadnej drogi, jak powiedział Garibaldi, kiedy wrócił z Sycylii. Mam iść prosto przed siebie, rzucić się w przepaść?

* Idź powoli, macaj drogę stopą, a zejdziesz bezpiecznie * powiedział Umbro. * Signore Drum... * odezwał się po chwili wahania. * Może spotkamy się jutro na lunchu w trattorii Rattiego. Wrócimy wtedy do pańskich dziwnych wątpliwości. Są rzeczy, których ja też nie rozumiem. Poza tym Gianna i ta paskudna historia... * zakończył znacznie łagodniej.

* H*obrze, Sokolniku. Jemy h*utro lunch h*azem. Buona Nottel * Pomachał mu ręką i odszedł w ciemność.

Zrobił dziesięć kroków i zatrzymał się. Obejrzał się za siebie. Widział, jak pan na zamku znika na dziedzińcu. Nagle odkrył, że nie ma już czkawki.

Nie żeby udawał, ale na pewno nieco przesadzał. Co prawda szumiało mu w głowie, ale nie aż tak, żeby miał problemy z poruszaniem się czy mówieniem. Nie ma mowy, żeby szedł tą drogą, pomyślał. Wykluczone. Tam ktoś czeka.

Stał i wpatrywał się bezradnie w ciemność. Jak trafi po ciemku, idąc nieznaną mu drogą?

Wrócił do bramy. Skręcił w prawo i zaczął iść wąską ścieżką wzdłuż muru. Szedł tak długo, aż uznał, że powinien już być na wysokości głównego budynku, tam, gdzie kończy się rabata z trującymi ziołami. Na niebie świeciły gwiazdy, w dole widać było pojedyncze światełka. Zaczął ostrożnie schodzić ze zbocza. Czyżby szedł jakąś ścieżką? Dłuższą chwilę walczył z jakimiś chaszczami, w końcu jednak odnalazł wydeptaną przez kozy ścieżkę i ruszył dalej. Nagle potknął się o kamień i przewrócił. Sturlał się kawałek w dół, wreszcie zatrzymał się. Leżał na brzuchu

Nad nim, nieco na południe, świecił Syriusz, mocno i jasno.

10

Właściciel hotelu ścina włosy i goli brodę,

Fredric Drum widzi anioły z trąbami

i zatyka uszy lojem

Jego nozdrza zaczęły się poruszać. Ostry zapach zniknął, poczuł natomiast, że ktoś mokrą szorstką szmatką myje mu policzek, myje i myje.

Ostrożnie uniośł jedną powiekę.

Patrzyło na niego duże jasnożółte oko z zieloną owalną źrenicą, było tuż przy jego twarzy.

Wzdrygnął się i wstał. Kilka metrów dalej stało na sztywnych nóżkach małe przerażone koźlątko.

* Meee! * zabeczało.

Fredric przetarł oczy i rozejrzał się dookoła. Leżał na niewielkiej polance otoczonej krzakami i drzewami oliwek. Nad nim siedziały na gałęzi dwa drozdy; miały niebiesko*szare łebki i rdzawe piórka na piersi i śpiewały radośnie. Gdzieś z dala, z dołu, dochodziło pianie koguta. Był otumaniony, potłuczony, podrapany, z prawej strony coś go potwornie kłuło.

* Meee!

Koźlątko podeszło bliżej i Fredric automatycznie wyciągnął do niego rękę. Zwierzę powąchało jego dłoń i zaczęło ją lizać. Pomarańczowo*brązowy motyl usiadł na rosnącym nieopodał oście.

Fredric spojrział do tyłu. Chciał zobaczyć, skąd się stur*łał. Chwycił się za głowę; po prawej stronie wyczuł potężnego guza, który wyrósł mu tuż za uchem, na szyi miał zadrapania. Był niezłe poturbowany.

Zamknął oczy. Czyżby miał wstrząśnienie mózgu? Raczej nie. Ale chciało mu się pić i dokuczał mu ból w prawym boku.

Może połamał zebra? To prawdopodobne. Zerknął na zegarek. Kwadrans po ósmej. Przespał wiele godzin.

* Garibaldi * powiedział głośno. * Nazywasz się Garibaldi? * powtórzył. Koźlątko nastawiło uszy i odpowiedziało mu twierdząco.

Znajdował się po drugiej stronie wzgórza. Niemal na samym dole. Sądząc po słońcu, Ofanes powinno leżeć po lewej stronie. Koźlę znikło gdzieś w krzakach. Mógł iść. Przycisnął rękę do boku, żeby zmniejszyć ból. Znalazł wąską ścieżkę prowadzącą we właściwym kierunku. Po chwili ścieżka przeszła w szerszą dróżkę, która najwyraźniej została wytyczona przez ludzi. Rozejrzał się. W dole widać było szary budynek dawnej szkoły, który teraz przejęły siostry. Ścieżka, którą szedł, prowadziła właśnie stamtąd i zapewne schodziła w dół, do Ofanes.

Postanowił nie zakłócać spokoju sióstr.

Jeśli się nie mylił, powinien był dojść do drogi wiodącej do zamku, gdzieś w pobliżu szpitala. Rzeczywiście. Przeszedł pół kilometra i znalazł się na parkingu, na którym wcześniej widział dwa samochody. Nadal tam stały. Srebrnoszara lancia i wynajęty ford Escort.

Dziwne. Czyżby Romeo Umbro miał gościa, który nie ujawnił się podczas wczorajszego wieczoru? A może to Gianna Umbro miała gościa? Chociaż właściwie samochód wcale nie musiał mieć nic wspólnego z zamkiem. Stąd prowadziła także ścieżka do klasztoru.

Możliwości było wiele. Ślady wskazywały, że samochód stoi tu od jakiegoś czasu. Nikt nim nie jeździł od wielu dni, może nawet tygodni. Ślady kół lancii kilkakrotnie przecinały ślady wynajętego samochodu.

Fredric znów się rozejrzał. Nikogo nie było widać. Także wokół szpitala panowała cisza. Poczul się bezpiecznie. Udało mu się przeżyć kolejną noc, chociaż wyglądał, jakby został przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

Usiadł na kamieniu, żeby odpocząć. Przeciągnął ręką po włosach, wyczuł zakrzepłą krew. Zaczął się zastanawiać, co czuje. Nic nie czuł.

„Kasserollen”, Tob, dobre wina, wszystko wydawało mu się bardzo odległe i nieciekawe.

Genevieve. Na myśl o niej poczuł ukłucie w piersi, ale postanowił się nie roztkliwiać. Fredric Drum nie widział dla siebie przyszłości. Optymistyczny blask kryształowej gwiazdy zniknął, a on stał się twardy niczym granit. Spędził tu tydzień, a miał wrażenie, że całe lata.

Stoik nie poddający się wpływowi czasu. Pozostający obojętnym wobec takich pojęć (skperas i apeiron. Philia i neikos, przyjaźń i nienawiść. Istniał tylko Ermetica Chiron, przesłanie śmierci, cichej śmierci, która zawładnęła Ofanes. Umbili*cus Telluris, pępkiem świata.

Zawładnęła nim ponad dwa tysiące lat temu.

Spojrzał w stronę zamku. Romeo Umbro był szalony, ale nie na tyle, żeby tego nie rozumieć. Wiedział dostatecznie dużo, żeby chcieć się z nim spotkać. Dzisiaj. Na lunchu.

Może tak, pomyślał Fredric, wstając. A może nie.

Nagle coś mu zaświtało w głowie. Pojął znaczenie czegoś właściwie mało istotnego, co pan na zamku mu powiedział, mimo że on wcale go o to nie pytał. Zrozumiał też powód jego niepoohamowanej wściekłości. Był prosty, banalny, oczywisty! Tylko czy naprawdę tak było? Mogło być.

Szybko zszedł na dół. Otworzył drzwi do szpitala. Zajrzał do środka. Panował tu spokój, nie było nikogo widać. Ruszył w stronę zrujnowanego budynku. Przekroczył kamienną zaporę i znalazł się w środku. Szybkim krokiem podszedł do zejścia do podziemnych lochów. Nadstawił uszu. Słysząc było jedynie brzęczenie much.

Zaczął schodzić. Zatrzymał się na chwilę, żeby oswoić się z mrokiem. Ruszył dalej po omacku, trzymając się ręką ściany. W końcu dotarł do drzwi. Tych, które spalił, a które signore Puggi potem naprawił. Zapewniał go, że zrobił to bardzo solidnie, ale to wcale tak nie wyglądało. Deski były poruszone,

a w samych drzwiach była dziura, przez którą człowiek z łatwością mógł przejść.

Fredric jednak tego nie zrobił, tylko odwrócił się i odszedł.

Kiedy wynurzył się z mroku, podszedł do szczytowej ściany budynku. Martwe zwierzęta nadal tam leżały. Roje much i unoszący się odór świadczyły, że proces rozkładu był zaawansowany.

Postanowił wrócić przez ogród na tyłach hotelu. Nadal nikogo nie widział. Drzwi do „Albergo Anziano Ofani” były otwarte. Wszedł.

W recepcji siedział signore Garrofoli i przeglądał jakieś papiery. Wzdrygnął się, kiedy zobaczył zbliżającego się Fredrica. Przyglądał mu się zdziwiony. Podrapał się w brodę.

* *Giorno* * pozdrowił go Fredric, uśmiechając się.

* Na buty Świętego Piotra! Andrea oczy wypłakuje. Od piątej rano pali świece i mamrocze jakieś zdania, których nie rozumiem. Czy to ja jestem szalony, czy też wszyscy dookoła poszaleli? Signore, miał pan jakiś nieprzyjemny wypadek, czyżby ktoś w Ofanes... * Przerwał i zaczął nerwowo dotykać kluczy na wieszaku, zanim znalazł właściwy i dał go Fredricowi.

* Nic groźnego, signore Garrofoli. Mam nadzieję, że mój pokój na mnie czeka; chciałbym trochę odpocząć. I wziąć prysznic. Mogę prosić o przyniesienie mi śniadania do pokoju, powiedzmy o wpół do jedenastej? * spytał i mrugnął porozumiewawczo.

* Oczywiście, signore Drum, to porządny hotel, chociaż może na taki nie wygląda * powiedział gospodarz, uklonił się kilka razy i zniknął w pokoju za recepcją.

Fredric dokładnie sprawdził pokój. Z pewnością Andrea zajrzała tu wczoraj wieczorem, ale poza tym był raczej pewny, że nie było tutaj żadnych nieproszonych gości. Westchnął ciężko i usiadł na łóżku. Oparł twarz na dłoniach. Już wkrótce, pomyślał, już wkrótce.

Leżał na łóżku, wpatrując się w belki na suficie. Przed chwilą wziął prysznic, opatrzył rany i czuł się teraz pewnie tak, jak Święty Olav po bitwie pod Stiklestad. Facet też sporo przeszedł, pomyślał, ale to go jedynie wzmocniło.

Głos.

Wczoraj po południu usłyszał w recepcji głos. Głos, który zdecydowanie tam nie pasował. A może właśnie tak? W takim wypadku wybuch Romea Umbro byłby bardziej zrozumiały.

Fredric prawie przestraszył się własnych myśli.

Położył notatki na piersi. Zerknął na zapisane nazwiska. Wiele z nich mógł już spokojnie wykreślić. Zrobił to i zastanawiał się dalej. Pewne rzeczy zaczęły mu się układać w dość wyraźny wzór, ale tylko do pewnego momentu. Tym momentem była śmierć. Tutaj wszelka logika się kończyła.

Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Gospodarz osobiście przyniósł mu jedzenie.

* Nie chciałbym się wtrącać, ale czy to był jakiś poważny wypadek? * spytał. Postawił tacę z jedzeniem na stoliku i teraz stał i bębnił palcami w blat komody.

* Niezbyt poważny * odpowiedział Fredric. * To była moja wina. Spędziłem przyjemną noc pod gwiazdami * dodał i nagle spojrział surowo na gospodarza. * Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tak się boi sióstr z zakonu?

Garrofoli pobladł, jakiś dziki wyraz pojawił się na jego twarzy i rozejrzał się, zmieszany. Uderzył knykциями o blat komody i wyszeptał:

* Obudził się pan. Co za przebudzenie... Andrea * moja żona * i Il Falco, ten obrzydły starzec, przestali ze sobą rozmawiać. Andrea chce...

* No właśnie * przerwał mu Fredric. * Andrea jest pod wpływem sióstr, prawda? A pan się boi, że Romeo Umbro wyrzuci pana stąd, jeśli raz na zawsze nie pozbędzie się tych zjaw z przeszłości, mam rację?

Signore Garrofoli spuścił wzrok.

* Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem. Ostatnie pół roku, ostatni miesiąc... Cóż, signore Drum, powinien pan być przyjechać do nas ubiegłej wiosny, wtedy zobaczyłby pan...

* Czego pan nie rozumie? * spytał Fredric ostro.

* To nic takiego. Nie ma o czym mówić. Tyle że nie ja tu teraz rządzę, rozumie pan? * powiedział. Wyglądał żałośnie. Broda sterczała mu na wszystkie strony.

* Dlaczego nie obetnie pan włosów i nie zgoli brody? Czy może Andrea chce mieć obok siebie mnicha, przeora? I czego tak naprawdę chcą siostry? Bo zakładam, że jednak coś pan wie.

* To szaleństwo * wyszeptał gospodarz. * Cała ta historia, w którą zresztą nic a nic nie wierzę. To jakieś stare podania, przesady. Legenda głosi, że ziemia w Ofanes została pobłogosławiona krwią Jezusa i że pewnego pięknego dnia właśnie w tym miejscu rozbrzmi pieśń oznajmiająca przybycie Pana, a jej głos sprawi, że ludzie małej wiary padną martwi na ziemię. Czy coś podobnego. Tutejsi mnisi zajmowali się podejrzanymi sprawami, nie mającymi nic wspólnego z prawdziwym chrześcijaństwem * powiedział i westchnął głęboko. * Włosy i broda, zaraz zrobię z nimi porządek! * dodał * Dostyc tego! Najwyższa pora, żeby Gianfranco Garrofoli pokazał, kim naprawdę jest! To nie może dłużej trwać. * Przeciągnął palcami po włosach i ruszył do drzwi.

Fredric musiał się uśmiechnąć. Zastanawiał się, co teraz nastąpi.

Spokojnie zjadł śniadanie. Potem zagłębił się w wywodach Pitagorasa na temat harmonii doskonałej.

Pół godziny później gdzieś z domu dobiegł straszliwy hałas. Jakaś kobieta histerycznie zawodziła, słyszał też niski męski głos. Zabrał ze sobą rzeczy, zamknął drzwi i zszedł na dół. Odgłosy awantury dochodziły z pokoju za recepcją. Jakaś kobieta płakała. Nagle wszystko ucichło. Fredric usiadł w skórzanym fotelu i zaczął się przyglądać malowidłu Najświętszej Pani z faską krwi. W pomieszczeniu było ciemno i ponuro. Nagle zadzwonił telefon. Drzwi od pokoju otworzyły się i do recepcji wszedł gospodarz. Wyglądał groteskowo. W prawej ręce trzymał nożyczki, włosy miał ostrzyżone, tylko gdzieś sterczały jeszcze pojedyncze kosmyki. Broda wyglądała gorzej. Zgolił ją jedynie z jednej strony twarzy i wyglądał teraz jak w połowie oskubana kaczka. Rozejrzał się dzikim wzrokiem dookoła, spojrzął na aparat i chwycił słuchawkę.

Fredric wiedział, że zbliża się moment rozwiązania zagadki.

Gospodarz mówił coś bez składu i ładu, coś powtarzał, dopytywał. W końcu jego twarz się rozpromieniła i podał słuchawkę Fredricowi.

* Do pana, signore Drum. Z Norwegii * rzucił i zniknął w pokoju za recepcją, mruczając pod nosem: * Jak tylko znajdę klucz, wypędzę Diabła z tego domu.

Fredric wziął słuchawkę. Dzwonił organista z Sornfold, David Pearson. On także sprawiał wrażenie roztrzęsionego.

* Całą noc pracowałem, Fredricu. To niezwykle tekst, posunę się nawet do stwierdzenia, że unikalny w historii muzyki. Sięgnąłem po stare teksty Boethiusa, na nowo zagłębiłem się w

dzieło Hucbalda z 890 roku „De Instituttene Harmonica”. Wszystko się zgadza. Nawet dzieła średniowiecznych anonimowych autorów „Muska Enchiriadis” i „Scholia Enchiñadis” potwierdzają moje domysły. Mamy przed sobą zapis z czasów sprzed narodzin Chrystusa. Cały utwór muzyczny, słyszysz mnie?

* Tak, słyszę cię * odpowiedział Fredric. * Mów dalej.

* Twoje przypuszczenia były słuszne. To nuemy, zapis muzyczny wcześniejszy od nut, wręcz ich pierwowzór; nie wiem, czy kiedykolwiek oglądany, rozumiesz? * spytał organista głosem prawie przechodzącym w falset. * Klasyczne neumy: vi*gra, punctum, podatus, torculus i tak dalej powstały właśnie z tych znaków, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Całą noc nie spałem, Fredricu, to wielkie odkrycie. Wiesz, do czego doszedłem? Odczytałem cały zapis, opierając się na schemacie Hucbalda, i wszystko się zgadza. Przeniosłem melodię na papier, posługując się współczesnym zapisem nutowym, ale... *Nagle po drugiej stronie zapadła cisza.

* Ale... * powtórzył Fredric i wstrzymał oddech.

* To bardzo dziwna melodia. Trudno ją zagrać. Jest w zadziwiającej tonacji, na pewno nie wzbudziłaby zachwyty bywalców filharmonii. Nie bardzo rozumiem, jak w ogóle mogła być grana. Słyszysz mnie, Fredricu?

* Tak, słyszę, tylko się zastanawiam. Naprawdę nie da się zagrać tego, co zostało zapisane? To dziwne.

* Pewnie można, ale potrzebny byłby szczególny instrument, który... jakby ci to wytłumaczyć... równocześnie wydawałby różne dźwięki, w pewien sposób wkomponowane w siebie. To niezwykła melodia. Na kościelnych organach jej się nie zagra.

Cilot, pomyślał Fredric. Święty Cylotian. Głośno jednak powiedział:

* Wykonałeś świetną pracę, Davidzie. Jak przyjedziesz do Oslo, szarpnę się na przedniego burgunda. Ale teraz posłuchaj, to bardzo ważne: nie mów nikomu o tym, co widziałeś i do czego doszedłeś. Nikt o tym jeszcze nie wie; byłoby niezręcznie, gdyby sprawa przedostała się do publicznej wiadomości, zanim włoscy badacze będą mieli okazję się wypowiedzieć. To oni tak naprawdę są właścicielami tych papierów.

* Rozumiem, Fredericu, rozumiem. Ale już sam widok tego pierwotnego zapisu był dla mnie przeżyciem. Czy ja pierwszy go odczytałem? Słyszysz mnie?

* Tak, słyszę. Jesteś pierwszy. Gratuluję, Davidzie. Muszę teraz przerwać, bo dzieją się tu rzeczy, o których nie bardzo mogę ci mówić przez telefon.

* Powodzenia, Fredricu! * rzucił David na pożegnanie. Fredric wrócił do swojego pokoju. Chyba już wiem, o co

w tym wszystkim chodzi, pomyślał.

Filozofia hermetyczna. Ermetica Muska. Hekate i Persefo*na, władczyni magii i podziemi; to one kryją się za Szeptem Śmierci i Świętym Cylotianem.

Ale David Pearson nie był pierwszym, który odczytał zapis. Gdyby tak było, wszystko wyglądałoby inaczej, Fredric i Ge*nevieve spacerowałyby teraz pod rękę na jakiejś romantycznej plaży gdzieś we Włoszech; nie tkwiłyby tutaj, w pępku świata, gdzie ziemia nadal była zbyt czerwona.

Dochodziła pierwsza, kiedy Fredric spakował się i z walizką w rękę opuścił hotel. Zanim to zrobił, odbył jeszcze dwie ważne rozmowy: z uniwersytetem w Rzymie i uniwersytetem w Bergen. To, co usłyszał, sprawiło, że pobladł.

signore Garrofoli, świeżo ogolony i ostrzyżony, bardzo żałował, że Fredric opuszcza Ofanes teraz, kiedy wszystko znów zdaje się wracać do normy. Frederic zostawił gospodarzowi pokazną sumkę lirów i pomachał mu na pożegnanie.

* Wracam prosto do Oslo * powiedział głośno. Zamierzał zdążyć na autobus, który odjeżdżał do Catanza*

o dziesięć po pierwszej.

Szedł powoli przez rynek. Trattoria Rattiego była pełna ludzi. Wiele twarzy rozpoznawał. Przystanek autobusowy był niedaleko rynku. Był jedynym oczekującym.

Muzyka, pomyślał zły. Dobrze, zagramy im do tańca.

Nadjechał autobus i Fredric wsiadł. Znalazł wolne miejsce tuż za kierowcą. Kiedy miasteczko znikło za zakrętem, klepnął lekko kierowcę w ramię.

* Scusi, fermare! Zmieniłem zdanie.

Kierowca pokiwał głową, zjechał na pobocze i wypuścił go, a Fredric z walizką w ręku zniknął wśród oliwek.

Ruszył z powrotem do miasteczka. Trzymał się z dala od drogi, ukrywał w krzakach i zaroślach. Miał gotowy plan i dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Czuł silny ból w klatce piersiowej i musiał stawać kilka razy, żeby odpocząć. W końcu ujrzał zabudowania miasteczka i kawałek pola, ogródek, gdzie uprawiano pomidory; za chwilę powinien pojawić się dom Rattiego.

Otworzył tylne drzwi i niepostrzeżenie wślizgnął się do środka. Postawił walizkę w małym holu. Ostrożnie uchylił kolejne drzwi i zajrzał do kuchni. Jakaś kobieta stała nachylona nad parującymi garnkami. Signora Ratti. Fredric zagwizdał i przyłożył palec do ust.

Kobieta odwróciła się i popatrzyła na niego zdziwiona.

* Scusi, signora. Jestem przyjacielem pani męża; muszę się z nim natychmiast widzieć. To bardzo ważne.

Kobieta otworzyła drzwiczki w ścianie i zawołała. Po chwili nadszedł właściciel; spocony, ze stosem talerzy na ręku.

* Signore Drum? * powiedział, marszcząc czoło. * Myślałem, że...

* I słusznie. Wsiadłem do autobusu, udając, że wyjeżdżam. A teraz proszę mnie posłuchać.

To ważne. Na pewno zauważył pan, że dzieją się tu dziwne rzeczy. Ludzie są wystraszeni. Potrzebuję pana pomocy, żeby rozwiązać pewną zagadkę. Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem, rozumie mnie pan?

* Przyznaję, że nie bardzo, ale jestem pańskim przyjacielem * powiedział Ratti, uśmiechając się.

* Jakiś pokój, jedno łóżko, na jedną noc. Dobrze zapłacę.

* To żaden problem, mam kilka pokojów gościnnych. A może jeszcze butelkę dobrego wina na wzmocnienie? Widzę, przyjacielu, że coś pana gnębi; jeśli miałbym zgadywać, to podejrzewam, że ma to związek z niedawną nagłą i dotąd niewyjaśnioną śmiercią dwóch młodych chłopców.

Fredric przytaknął.

* Tylko nikomu ani słowa, proszę. Żona i córka też niech nikomu nic nie mówią.

* Naturalmente. Może mi pan zaufać. Sophia! * zawołał signore Ratti i chwilę potem do kuchni weszła córka. Ratti zaczął jej coś tłumaczyć; Sophia zerkała nieśmiało na Fredrica, a po chwili ruszyła w stronę drzwi, przez które właśnie wszedł, i dała mu znak ręką, żeby szedł za nią.

* Zaprowadzi pana do pokoju * powiedział Ratti.

* Jeszcze jedno. Proszę zostawić otwarte tylne drzwi, żebym mógł niepostrzeżenie wychodzić i wracać, dobrze?

* One są zawsze otwarte, signore Drum, a teraz mój dom jest także pańskim domem. Pośle panu na górę butelkę dobrego wina * zakończył gospodarz, puszczając do niego oko.

Pokój był jasny i przestronny, zupełnie inny niż ten w hotelu. Było tu światło elektryczne, biały sufit, a na ścianach niebieskie tapety w małe aniołki, które dęły w trąbki. Pokój był na drugim piętrze, a schody prowadziły prosto do drzwi na tyłach domu. Na ścianach nie było żadnych łacińskich sentencji.

* Bardzo dziękuję, Sophia * powiedział Fredric i uśmiechnął się zadowolony. Dziewczyna stała ze spuszczoneym wzrokiem. *To mój pokój * powiedziała. * Mieszkałam tu do

dwunastego roku życia. Teraz mam dwadzieścia jeden lat. Mam nadzieję, że będzie pan dobrze się tu czuł, signore Drum.

Fredric poczuł się niezręcznie. Coś go ścisnęło w gardle, odchrząknął. Po chwili odezwał się lirycznie:

* Mam nadzieję, że twoje sny nadal tkwią w ścianach tego pokoju. Może uda mi się je złapać, wtedy na pewno dobrze zasnę.

Sophia zaczerwieniła się; wycofała się po cichu, zamykając za sobą drzwi. Ledwie Fredric zdążył usiąść na łóżku, kiedy do drzwi zapukał signore Ratti, niosąc butelkę wina, kieliszek i talerz dymiącego spaghetti. Zapewnił, że wino jest przedniej marki, Classico z Gaiole.

* Castello di Anna, rocznik ni mniej, ni więcej, tylko 1975 * powiedział i zniknął, zanim Fredric zdążył mu podziękować.

Wino, pomyślał, czy powinienem pić wino? Był w ponurym nastroju, niespokojny. Czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie rozkoszować się smakiem tego trunku? Wziął kieliszek i nalał wina. Wtedy coś w nim puściło, zniknął węzeł, który ścisnął mu gardło przez ostatnie kilka godzin, znów poczuł spokój. Na zewnątrz, w trattorii, siedzi zapewne Romeo Umbro, Sokół, i czeka na niego. Mieli zjeść razem lunch. Także Sokół rozumiał, że coś jest nie w porządku, ale Fredric nie potrzebował jego pomocy, bo gdyby pokazał swoje szpony, mogłoby to jedynie doprowadzić do kolejnego morderstwa, a Drum nie zamierzał nikogo mordować.

Musi więc czekać. Położyć się spokojnie na łóżku i czekać. Dopiero, kiedy zrobi się ciemno, odważy się wyjść.

Zjadł spaghetti i wypił wino. Posiłek dobrze mu zrobił. Otworzył walizkę i znalazł apteczkę z plastrami i bandażem. Opatrzył rany i zadrapania. Było ich sporo. Bolały go też zębra, jakby ktoś dźgał go nożem. Ale Fredric nie przejmował się wymyślanymi nożami, bardziej martwiły go strzały sprzed dwóch tysięcy lat, które trafiały niewinnych ludzi.

Położył się na łóżku i zasnął.

Nikt mu nie przeszkadzał. Obudził się o piątej, wypił trzy szklanki wody z kranu nad umywalką i znów zasnął. O ósmej zaczął przecierać oczy. Minęła chwila, zanim się zorientował, kim jest, gdzie jest i co ma dalej robić.

Znalazł małą latarkę. W szufladzie nocnego stolika była też świeczka z łoju. Odłamał dwa małe kawałki i ogrzał je w dłoniach. Uformował dwie małe kulki, które włożył do uszu.

Trochę się namęczył, ale udało mu się. Chciał mieć pewność, że niczego nie słyszy. W końcu uznał, że osiągnął to, czego chciał. Zawinął kawałki łoju w chusteczkę i włożył do kieszeni na piersi. Uśmiechnął się hardo.

Graj muzyko, graj! Drum zaprasza do tańca. Uważajcie, Hekate i Persefono!

Zszedł po schodach. W domu panował spokój. Rodzina Rattich odpoczywała przed wieczornym ruchem, który zwykle zaczynał się koło dziewiątej. Drzwi do ogródka warzywnego

były otwarte. Fredric wyszedł i zniknął za pierwszymi drzewkami oliwnymi.

Chwilę stał, zastanawiając się, którą drogę wybrać. Światło małej latarki było tak słabe, że z większej odległości niewidoczne. Postanowił ominąć hotel dużym łukiem i dotrzeć do parkingu, na którym stały dwa samochody.

Pocił się. Było duszno, słyszał śpiew cykad. Idąc, przestraszył stado kóz, które zaczęły gwałtownie beczeć. Gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie psa.

Przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się na drodze prowadzącej do zamku.

Wynajęty samochód nadal stał na parkingu.

Ukrył się za autami. Ból w piersi przenikał całe jego ciało. Na drodze nie było nikogo, żywego ducha. Widział jedynie światła „OSPEDALE VITOLLO UMBRO”.

Ruszył szybkim krokiem w dół i dotarł do bramy. Wszedł głównym wejściem. W kominku w holu nie palił się dzisiaj ogień. W pierwszym z brzegu pokoju siedziały przy stoliku dwie

osoby. Pacjenci. Z głośników dobiegały przytłumione dźwięki muzyki, „Adagio” Albionisa. Ruszył na górę, do pokoju muzycznego. Chwilę nasłuchiwał. Wewnątrz panowała cisza. Otworzył drzwi i wszedł.

Rozejrzał się. Dostrzegł półkę z dziwnymi instrumentami. Szybko znalazł to, czego szukał: dziwny instrument, coś pomiędzy rogiem a instrumentem strunowym. Miedź i róg, struny. Instrument był nowy, to widać. Miał w ręku kopię.

Cilot. Święty Cilotian.

Ostrożnie zdjął instrument z półki, ale nie mógł się zorientować, jak należy go trzymać, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nagle spostrzegł coś, co stało schowane za instrumentem.

Zaciekawiony nachylił się i zaczął się przyglądać. Była to stara płyta z marmuru, pełna różnych znaków i inskrypcji. Ze zdziwieniem zobaczył wyryty na niej rysunek instrumentu, który trzymał w dłoni. Obok był jakiś tekst spisany greką i drugi * po łacinie, a na samym dole... Fredric aż się wzdrygnął. Na dole tablicy zobaczył te same tajemnicze wersy, które usiłował odczytać. Nuty. Neumy. Dawny zapis muzyczny.

* Ciekawe, prawda, signore Drum?

Fredric poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Vitollo Umbro wszedł bezszelestnie do pokoju.

* Domyślam się, że pojmuje pan wagę tego, co pan widzi przed sobą. Zdażyłem się zorientować, że ma pan niezwykle bystry umysł. Stwierdzam to z przykrością. Będzie pan tak uprzejmy i pozwoli ze mną? * powiedział doktor łagodnym, acz stanowczym tonem.

* To nieporozumienie, doktorze Vitollo, nie przyszedłem tu, żeby...* W tym właśnie momencie poczuł, jak doktor wypycha go z pokoju, następnie zawraca i bierze instrument oraz antyczną marmurową płytkę.

* Proszę za mną, signore Drum, chcę panu coś pokazać * powiedział doktor, dając Fredricowi znak, żeby poszedł za nim. Otworzył drzwi do jakiegoś pokoju. Fredric zawahał się. Wszedł do środka, szybko sięgnął do kieszeni na piersiach po chusteczkę, zatkał sobie uszy kuleczkami łożu i usiadł na krześle wskazanym przez doktora Umbro.

Pomieszczenie było dźwiękoszczelne. Na ścianach były grube, obite materiałem płyty. Nie było okien. Na środku stało kilka krzeseł i stół, a na nim popielniczka.

Doktor umieścił kopię instrumentu na stole, a tuż obok niego marmurową płytkę. Cały czas mówił coś do Fredrica, jednak on w ogóle go nie słyszał. Starał się jednak dokładnie śledzić jego mimikę, próbując się domyślić, czy coś mu grozi, czy nie. Najwyraźniej doktor zadał jakieś pytanie, a kiedy Fredric nie odpowiedział, uderzył pięścią w stół i wskazał tajemnicze znaki na marmurowej płycie. Następnie pokazał na instrument. Fredric nie potrafił zgadnąć, o co doktor go pyta, ale nie miał odwagi usunąć z uszu łożowych zatyczek.

Przeklinał siebie w duchu, że dał się tak zaskoczyć. Tego nie przewidział.

Doktor mówił i mówił, a Fredric starał się reagować mimiką i gestami rąk. Nagle doktor się zezłościł, twarz wykrzywił mu grymas i zaczął krzyczeć. Fredric przyglądał mu się z szeroko otwartymi oczami.

Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Szybkim ruchem ręki chwycił instrument i zerwał wszystkie struny. Broń została unieszkodliwiona. Następnie usunął łożowe zatyczki z uszu.

* Co pan powiedział, doktorze Vitollo? * spytał. Doktor przyglądał mu się zdziwiony. Po chwili odchylił się na krześle i zaczął się śmiać. Śmiał się tak głośno, że Fredric z wdzięcznością spoglądał na tłumiące dźwięki panele.

* Doprawdy dziwak z pana * powiedział wreszcie. * Myślał pan, że zacznę grać i ukołyszę pana do snu? Jest pan bardziej przebiegły, niż sądziłem. Gratuluje. * A wskazując na kawałki łożu, dodał: *To pokazuje, jak dużo był pan w stanie się domyślić.

Nagle spowaźniał.

* A więc muszę zacząć od początku * powiedział i zapalił papierosa. * Ten instrument to kopia. Kiepska kopia, która nigdy nie byłaby w stanie grać. Tak wygląda prawdziwy cilot. * Pokazał na marmurową płytkę. * Istniał tylko jeden taki egzemplarz. Należał do mnie. Odziedziczyłem go po ojcu, który z kolei odziedziczył go po swoim dziadku. Pierwotnie pochodził z tutejszego klasztoru, z zakonu Empedesiusa. Teraz jednak zniknął, został skradziony; nie zdziwiłbym się, gdyby ci przekłęci archeologowie...

* Nie sądzę * przerwał mu Fredric. Doktor spojrział na niego surowym wzrokiem.

* Dużo pan wie. Za dużo. Czemu, do licha, nie wyjechał pan razem z Genevieve? Proszę tu spokojnie siedzieć i czekać do mojego powrotu. To musi się skończyć, zanim dojdzie do jakiejś większej katastrofy. Dość tu było ostatnio zamieszania * powiedział i wyszedł z pokoju.

Fredric sięgnął po marmurową płytkę. Codex Ofanes, wymamrotał i zaczął się jej dokładnie przyglądać.

Doktor wrócił, trzymając w ręku młotek. I zanim Fredric zdążył zaprotestować, silnym uderzeniem zmiażdżył płytkę. Kawałki rozprysły się na wszystkie strony.

* Proch! * wyszczał. * Zamienię ją w proch!

I tak też się stało. Uderzał tak długo, aż z marmurowej płyty pozostał tylko proch.

Wreszcie doktor Vitollo uspokoił się. Zaczął niespokojnie zerkać na zegarek.

* Za dużo pan wie * powiedział. * Nie jest pan jednak **Nie ma pan fotograficznej pamięci. Nie mam teraz czasu, żeby to panu dokładniej wytłumaczyć, ale nie wolno panu opuścić Ofanes, zanim nie przejrzy pańskiego bagażu. Ma pan kopię tego przekłętego tekstu! Muszę ją zniszczyć. Podobnie jak oryginał, który jest w posiadaniu uniwersytetu w Rzymie. Przykro mi z powodu profesora d'Angelo; sądziłem, że uda mi się przemówić mu do rozsądku. Muszę już iść. Pacjenci na mnie czekają. A pan zostanie tutaj.

* Hej! * zawołał Fredric, podskakując na krześle. * Proszę zaczekać, jest coś, czego pan nie wie...

Vitollo pchnął go silnie w pierś i Fredric osunął się na podłogę w kącie pokoju. Doktor wyszedł. Fredric usłyszał, jak dwa razy przekręcił klucz w zamku. Chwycił się za pierś, zaczął kasłać. Z kącików ust poleciała mu krew.

11

Fredric niszczy obite tapicerką drzwi,
staje na dziesiątym schodku
i pięknie tańczy w Harmonium

Fredric zamrugał i spróbował się podnieść, ale gdy ściany, podłoga i sufit zaczęły się do niego niebezpiecznie zbliżać, postanowił zostać w swoim kącie. Odkaszlnął i splunął. Krew. Wylał usta rękawem koszuli i przerażony zobaczył, że cały rękaw jest czerwony. Miał wrażenie, że coś podchodzi mu do gardła, poczuł mdły, słodki smak, z trudem przełknął. Raz i drugi. W końcu zaschło mu w ustach.

Żebro. Domyślił się, co się stało. Złamane żebro uszkodziło płuco, może nawet jakąś ważną tętnicę. Jęknął i poczuł, jak pot zaczyna spływać mu z czoła na oczy. Znów zaczął mrugać. W końcu udało mu się wstać.

Dziwne. Ból w boku zmniejszał się, kiedy stał. Nabrał powietrza do płuc i wypuścił. Usłyszał gulgotanie i poczuł przeszywający ból; omal nie osunął się na podłogę. Znów zaczął łykać krew. Oparł się o krzesło. Usiadł. Próbował powoli oddychać, wciągając jak najmniej powietrza. Poczuł się nieco lepiej.

Popatrzył na kopię instrumentu i wściekły zrzucił ją na podłogę. Przeklinał siebie, przeklinał to miejsce, przeklinał doktora Umbro.

Doktor zapewne wiele zrozumiał. Ale najwyraźniej nie dotarło do niego, że Fredric Drum nie może spędzić kilku godzin w zamknięciu, czekając, aż on skończy przyjmować pacjentów. Bo nie tylko Vitollo Umbro i Fredric Drum poznali tajemnicę papirusu.

Znów jęknął i starł kroplę krwi z ust. Właściwie czuł ulgę. Przez moment obawiał się, że Vitollo Umbro też uczestniczy

w tym przerażającym spisku. Teraz zrozumiał, że doktor bał się tak samo jak on. Dowiedział tego, rozbijając płytkę.

Marmurową tabliczkę.

Pozostał z niej jedynie proch. Z chłopców, którzy ją znaleźli, też pozostał tylko proch. Marco Albelli i Aldo Puggi. I strażnik, signore Loppo, który wiedział, gdzie chłopcy schowali swoje znalezisko, i zdążył jeszcze przekazać doktorowi tabliczkę, zanim zginął. Trzy osoby straciły życie z powodu tej przeklętej płytki, na której zapisana została licząca dwa tysiące lat tajemnica Ofanes. Napis i rysunki. Przerażająca wiedza, która długo pozostawała ukryta.

Mnisi prawdopodobnie przekazywali ją sobie aż do czasów średniowiecza, bacznie pilnując, żeby nie dostała się w niepowołane ręce.

Teraz to się stało. Ktoś się dowiedział i nie wahał się zabijać, byle tylko zatrzymać tę wiedzę dla siebie, bo dawała mu ogromną władzę.

Vitollo Umbro nie pragnął tej władzy. Był w stanie przewidzieć jej konsekwencje. Nie ufał Fredricowi Drum i miał do tego prawo. Dlatego z własnego punktu widzenia postąpił słusznie, przekręcając klucz w zamku. Jak mógłby ufać jakiemuś Norwegowi, który pojawił się tu przypadkowo i którego ukochana była jedną z pacjentek doktora; który działał za jego plecami, szpiegował go i nie zdradzał się ze swoimi przemyśleniami? Genevieve miała rację: źle postąpił, nie przekazując informacji doktorowi Umbro.

A teraz siedzi tutaj.

Tymczasem niedaleko stąd ktoś snuje szalone plany, które prawdopodobnie wymagać będą kolejnych ofiar.

Vitollo Umbro był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Miał bowiem płytkę, którą znaleźli chłopcy. Morderca nie mógł wiedzieć, że została zniszczona; nie mógł więc czuć się bezpieczny, dopóki nie usunie z tego świata zarówno doktora, jak i Fredrica, dopóki wszystkie oryginały i kopie kodeksu nie znajdą się w jego rękach.

Fredric podniósł się raptownie, chwytając się za bok. Podeszedł do drzwi, które podobnie jak ściany, były obite tapicerką.

Znalazł swój szczyryk. Otworzył go i szybko wyciął tapicer*kę wokół klamki, oddzierając duże kawałki materiału. W końcu dotarł do drewna. Szyld wokół zamka był przytwierdzony do drewna śrubkami, zwykłymi małymi śrubkami. Znalazł odpowiednie ostrze i zaczął je odkręcać.

Pracował szybko, nerwowo. Wkrótce usunął wszystko, co dało się usunąć; zostało samo drewno. Odrywał kolejne kawałki materiału * kaleczył się, kłął, pocił się * w końcu kopnął w drzwi. Podały się z trzaskiem, a kawałki drewna poleciały na wszystkie strony.

Wysiłek sprawił, że był bliski omdlenia; zataczając się, wyszedł na korytarz i oparł się o ścianę. Oddychał nierówno. Otarł pot z czoła. Miał gorączkę.

Dochodziła dziesiąta. Zbliżał się „ten” moment.

Szybko zszedł schodami, nie rozglądając się na boki. W holu odnotował dochodzące gdzieś z głębi budynku tony „Friihlingsrauschen”, wyszedł na zewnątrz i znów znalazł się w ciemnościach.

Skulił się, usiłując powstrzymać podchodzące mu do gardła wymioty. Nie wolno mu teraz wymiotować. Mógłby zemdleć. Stał kilka minut, starając się opanować sytuację. Po chwili ruszył dalej.

„Kiedy znajdę klucz, wygonię Diabła z domu!”. Te słowa gospodarza hotelu, signore Garrofoliego, dźwięczały mu w głowie.

Diabeł. Wygonić diabła z domu. Żeby tylko Garrofoli nie.. Fredric zatrzymał się na skraju wykopalisk; odnalazł kawałek kolumny, na której już kiedyś siedział i skąd miał widok na ruiny. Czyżby przybył za wcześnie? Czy ona już tu jest?

Cykady. Pieśń cykad w ciemnościach. Nagle Fredric zrozumiał, że tamtego wieczoru cykady prawdopodobnie uratowały mu życie. Nie można zabić człowieka, kiedy rozbrzmiewa pieśń cykad. Co innego za dnia, kiedy słońce stoi wysoko na niebie, kiedy jest cicho, kiedy nie ma żadnych innych dźwięków. Wtedy Persefona stroiła swój instrument, i ci, których uznano za niepożądanych, padali na ziemię, jakby rażeni niewidzialnym gromem.

Ukrył się za kolumną. Dla pewności postanowił poczekać jeszcze pół godziny.

Był tak spragniony, że wypiłby nawet naftę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść do trattorii Rattiego i poprosić o butelkę wody, ale się opanował. Mógłby przecież kogoś spotkać. Morderca miał wielu pomocników. Trzech z nich wyrzuciło go z autobusu. To byli opłaceni ludzie. Dla pieniędzy gotowi byli zrobić wszystko. Nie było to nic niezwykłego tutaj, gdzie mafia miała długie tradycje.

Było mu zimno. Pocił się i marzył. Był chory, ranny, poważnie ranny. Dasz radę, Drum? Próbował się uśmiechnąć, co częściowo mu się udało.

Dlaczego nie zawiadomił policji w Crotone? Powiadomienie miejscowego funkcjonariusza, Nuragusa, nie wchodziło oczywiście w grę. Był leniwy, niechętny i pewnie przekupiony, żeby robić jak najmniej. A co z policją w Crotone? Nawet jeśli jest uczciwa, to i tak trudno byłoby im pojąć, czego sprawa dotyczy. A gdyby w jakiś cudowny sposób udało mu się to wytłumaczyć, pewnie i tak zabraliby się do sprawy tak nieudolnie, że wszystko by popsuli. W najgorszym razie znów zaczęliby ginąć niewinni ludzie.

Możesz umrzeć, Fredricu, może się tak zdarzyć. Znów zaczął kasłać, i w tej właśnie chwili dostrzegł cień na drodze.

To była ona. Szła różnym, szybkim krokiem. Widział, jak jej szczupła postać znika w wejściu do zrujnowanego budynku. Po chwili zobaczył migoczącą świeczkę.

Fredric okrążył budynek i poczuł odór martwych zwierząt. Wybrał najprostsza drogę, prowadzącą przez mały ogródek przy „Albergo Anziano Ofani”.

Żarówka nad wejściem była zapalona. Nasłuchiwał dźwięków ze środka, ale wszędzie panowała cisza. Otworzył drzwi i wszedł.

Signore Garrofoli siedział w recepcji i pisał. Był ostrzyżony i ogolony. Na widok Fredrica wstał z krzesła i zaczął mu się przyglądać wielkimi, okrągłymi oczami. Fredric nie wiedział, czy grymas, który pojawił się na jego twarzy, był wyrazem strachu, czy bardziej niedowierzania. Minęło kilka sekund, zanim w końcu się odezwał:

* Ależ, signore Drum, myśleliśmy... Ja myślałem...

* Wiem, wiem * wydusił z siebie Drum. * Ale jestem tutaj. I mam prośbę, żeby mówił pan nieco ciszej. Diabeł może pana usłyszeć * dodał tak zmienionym głosem, że sam go nie poznawał.

Gospodarz hotelu zaczął nerwowo przekładać leżące przed nim papiery.

* Proszę spojrzeć, signore * wyszeptał. Fredric przyglądał mu się wzrokiem zimniejszym od stali. * Proszę spojrzeć. To nadeszło kilka godzin po pańskim wyjeździe. Z Norwegii. * I podał mu kawałek papieru.

Telegram? Fredric wziął kartkę i zaczął czytać. Nagle upuścił ją i oparł się tak mocno o blat recepcji, że aż go przesunął. Nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Na papiery Garrofo*liego trysnął strumień flegmy, żółci i krwi, wszystko to wymieszane z resztkami na wpół przetrawionego spaghetti. Poczul tak okropny ból, że miał wrażenie, że pękają mu wszystkie żebra, i zapadł się w gęstą, czerwoną mgłę; przed oczami tańczyły mu, płasząc dziko, litery telegramu.

„Drogi Fredricu,

Przyjeżdżaj natychmiast. Wczoraj po zamknięciu ktoś wrzucił bombę do „Kasserollen”. Wybuchł pożar, wszystko zostało spalone. Tob jest ranny, być może będzie konieczna amputacja stopy. Sprawa jest poważna.

Hiram H.”.

Hiram Haroudi. Chłopak z Maroka, uczeń, który pracował u nich od pół roku.

* Signore Drum? Pan jest chory, bardzo chory. Już dzwonię po lekarza, po karetkę.

Natychmiast.

Słyszając głos Garrofoliego, Fredric zaczął gwałtownie kręcić głową. Mgła znikła, wytarł ślinę z brody i kącików ust. Gospodarz siedział skulony po drugiej stronie recepcji i właśnie sięgał po słuchawkę.

* Nie * jęknął Fredric. * Nie trzeba. Poradzę sobie. Proszę poczekać, mam tylko złamane zebro. * Wziął się w garść i spojrzał Garrofoliemu w oczy.

* Pan... krwawi. To wewnętrzny krwotok. Krew. Może pan umrzeć, signore * powiedział gospodarz drżącym głosem, wskazując na wymiociny na blacie recepcji.

Fredric pokręcił głową.

* Niech pan pozwoli ze mną * powiedział i ruszył chwiejnym krokiem w stronę salonu, gdzie w mrocznym kącie znalazł jakieś krzesło. * Przepraszam za zamieszanie, ale być może czekają nas jeszcze gorsze rzeczy. Nie ma pan nic do stracenia. Potwór musi w końcu wyjść na światło dzienne, rozumie pan, signore Garrofoli? * niemal wysyczał.

Gospodarz usiadł na krześle naprzeciwko Fredrica. Drżał i trząsał się, jakby wykonywał taniec świętego Wita; nie był w stanie skupić wzroku.

* Gdzie jest Andrea? * spytał Fredric ostro.

* Tam... w pokoju... W zamkniętym pokoju. Chodzi tam każdego wieczoru, ja tam nie wchodzę. Ma klucz i mówi, że nie może mi jeszcze nic powiedzieć, ale ja słyszałem głosy; to stamtąd dochodził głos Diabła.

* Głos Diabła * powtórzył Fredric i zaśmiał się gwałtownie. * Współczuję panu, Garrofoli. Albo grozi panu Diabeł, albo przychodzi Il Falco, czyli Romeo Umbro, i każe wam stąd się wynosić. Skoro jednak okazał się pan mężczyzną i zgolił

brodę i ostrzygł włosy, to może teraz pokaże pan, kto naprawdę rządzi w pańskim domu?

* To nie jest mój dom * wyszeptał ledwie słyszalnie Garrofoli.

* To jest twój dom. To będzie twój dom, jeśli pokażesz, że jesteś mężczyzną. Nie wiesz, że Romeo Umbro nienawidzi tchórzów?

Potem Fredric wyszeptał:

* Wody! Wypiję szklankę wody i zaczniemy działać.

Garrofoli wyszedł, by po chwili wrócić ze szklanką i dzbankiem wody. Był całkowicie pozbawiony własnej woli. Gdyby Fredric kazał mu teraz podpalić dom, prawdopodobnie zrobiłby to bez chwili wahania.

Fredric wypił duszkiem trzy szklanki. Wstał, mógł utrzymać się na nogach.

* Chodź! * rozkazał gospodarzowi.

Przekroczył próg drzwi za recepcją i znalazł się w sporym pomieszczeniu; najwyraźniej był to prywatny pokój. Kolejne drzwi wiodły do kuchni. Gospodarz podążał za nim niczym posłuszny pies.

* Dokąd prowadzą te drzwi? * spytał Fredric, wskazując na kolejne drzwi.

* Do... sypialni * odpowiedział gospodarz. Słysząc było, jak szcękają mu zęby.

* Dlaczego tak drżysz? Nie potrafisz mówić wyraźniej, mięczaku?! * wybuchnął Fredric.

Jeszcze moment i straci panowanie. Wpadnie w szal i zdemoluje cały dom.

* Tam jest sypialnia * powtórzył gospodarz wyraźniej. * Sypialnia i jeszcze jedna izba. A potem wyjście. Ale zamknięte.

Sypialnia była duża; wszędzie leżały porozrzucane ubrania. Ubrania Garrofoliego. Pachniały starą uryną. Między dwiema szafami na krótszej ścianie były potężne drzwi. Osadzone

zostały we framudze obmurowanej sporymi kamieniami i na równie potężnych zardzewiałych zawiasach. Nie do pokonania dla kogoś, kto nie ma klucza do ogromnego zamka. Fredric kopnął w nie, ale nie drgnęły nawet o milimetr.

* Nie ma klucza?

* Nie ma. Andrea zawsze zamyka je od środka.

* Jest jakieś inne wejście? Garrofoli pokręcił głową.

* Żadnego innego wejścia. Tam nie da się wejść.

Fredric podszedł do drzwi i przyłożył ucho do małej szczeliny. Czyżby słyszał jakąś pieśń? Cichą, niewyraźną, żalną pieśń? Tak, na pewno coś słyszał. Nagle się roześmiał i chwycił gospodarza za koszulę.

* Idiota * powiedział. * Oczywiście, że jest inne wejście. Na pewno jedno, a prawdopodobnie nawet dwa! * wykrzyknął. Poszedł do recepcji, gdzie wypił dwie kolejne szklanki wody, i sięgnął po pięć, sześć kluczy wiszących na haczykach. Ruszył schodami na piętro.

Drzwi po lewej stronie były zamknięte. Spróbował je otworzyć jednym z kluczy, potem jeszcze dwoma. Trzeci okazał się pasować. Otworzył drzwi. Poczł zatechły, wilgotny zapach, który pamiętał ze swojej poprzedniej wizyty w pokoju. Pochylił głowę, żeby nie uderzyć się o belki łóżka.

* Ależ, signore Drum * zawołał za nim Garrofoli.

* Szafa * powiedział Fredric. * Przesuń szafę na środek pokoju.

* Szafę? * powtórzył gospodarz z nieudawanym zdziwieniem.

Fredric stracił cierpliwość; nie miał czasu na miłe gesty, więc pchnął Garrofoliego w stronę szafy, dając wyraźnie do zrozumienia, że chce, żeby natychmiast przesunął potężny mebel. Podczas gdy gospodarz walczył z ogromną szafą, Fredric poczuł, że musi usiąść na łóżku, bo zaraz zemdleje; ból przeszywał mu klatkę piersiową, głowa pękała, miał mdłości, jego czoło aż parzyło. Ale nie przejmował się tym. Musiał działać tak długo, jak będzie w stanie.

W końcu szafa została odsunięta jakieś pół metra od ściany. Garrofoli prychał jak wieloryb, ale w jego wzroku pojawił się ogień, który dodał Fredricowi otuchy.

* Zajrzyj za szafę * wyszeptał.

Gospodarz wcisnął się za szafę; po chwili wyszedł blady i wyraźnie zdenerwowany.

* Matko Święta * powiedział. * W ścianie jest przejście, dziura niemal jak drzwi. Skąd pan wiedział...

Na twarzy Fredrica pojawił się grymas, który miał być uśmiechem. Chwycił latarkę i wszedł za szafę. Z dziury biło zatechłe powietrze. Poświecił. Zobaczył schody. Prowadziły w dół. Zerwał pajęczynę i zrobił krok w ciemność. Od dziesięcioleci nie stanęła tutaj ludzka stopa. Schody były wąskie, ciasne. Czuł na plecach oddech podążającego za nim gospodarza. Trzy stopnie, cztery, pięć stopni. Niedługo powinni być na poziomie ziemi. Sześć schodków, siedem; dużym wysiłkiem woli udało się Fredricowi powstrzymać kichnięcie. Osiem schodków, dziewięć, dziesięć... Nagle poczuł, że schodek usuwa mu się spod nóg, i momentalnie cofnął stopę.

W ciemności wyczuł jakiś ruch. Coś przeleciało mu nad głową, potem usłyszał miękkie plasknięcie i poczuł, że ciało Garrofoliego spada na niego.

Tylko cud sprawił, że nie stracił przytomności. Pod ciężarem ciała gospodarza pochylił się jeszcze bardziej, miażdżąc zapewne resztki płuc i innych organów wewnętrznych na krwawą miazgę, ale zachował świadomość.

Udało mu się zrzucić z siebie ciężkie, bezwładne ciało. Poświecił latarką. Twarz mężczyzny była zakrwawiona i spuchnięta. Nos był dziwnie zniekształcony, warga rozcięta, a z prawej strony policzka wystawał kawałek szczęki. Dziesiąty schodek uruchomił jakiś przerażający

mechanizm; zobaczył wahadło zakończone żelazną kulą. Ta kula uderzyła Garrofoliego w twarz.

Sprawdził jego tętno. Było słabe. Fredric poświecił w dół. Nieco niżej była podłoga. Z dużym trudem ściągnął Garrofoliego z ostatnich schodków i zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Miało kształt kwadratu. W jednej wnęce stał gliniany dzban. Wziął go i odwrócił. Ze środka wypadł długi, cienki przedmiot. Rodzaj trzepaczki? Kiedy dokładnie się przyjrzał, odkrył, że to nie jest bynajmniej trzepaczka, tylko kości ludzkiej dłoni. Małej dłoni. Dłoni dziecka. W głębi pomieszczenia były drzwi. Nie wyglądały szczególnie solidnie, uniósł więc haczyk i pchnął. Otworzyły się z jękiem zardzewiałych zawiasów. Kolejny pokój był większy, prowadził do korytarza, który w pewnym momencie rozgałęział się w dwóch kierunkach. Przez chwilę stał, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Nasłuchiwał. Żadnych dźwięków. Chwycił bezwładne ciało gospodarza i wciągnął do pokoju. Oparł o ścianę. Następnie ukląkł obok niego i zaczął przyglądać się twarzy nieszczęśnika. Była poważnie zniekształcona, ale wyczuł na sobie jego oddech. Może Garrofoli przeżyje? Rozpiął mu koszulę, najpierw kołnierzyk, a potem pozostałe guziki, i ułożył wygodnie na boku. Nic więcej nie mógł w tej chwili zrobić. Sam był zlany potem, szumiało mu w uszach, a usta miał suche i popękane. W piersi coś mu gulgotało, świszczalo, w ustach miał słodki smak. Pochylił się i na chwilę oparł czoło o klatkę piersiową Garrofoliego; próbował zebrać siły. Już miał się podnieść, kiedy usłyszał za sobą jakiś dźwięk.

Zanim zdążył się odwrócić, w jego głowie wybuchły fajerwerki i zaległa ciemność. Za Empedoklesem podążało siedmiu młodych chłopców w brązowych tunikach. Z pochodniami w rękach kroczyli w półkolu za Mistrzem; za nimi szli ubrani na czarno zakonnicy w naciągniętych na czoło kapturach; mieli pochylone głowy i nucili monotonną pieśń. Potem szły Cztery Gracje, całe w bieli, najpiękniejsze ze wszystkich, nieme, głuche; każda niosła w ręku swój instrument. Cilot. Empedokles uronił z dzbanka kilka czerwonych kropli, podszedł do ołtarza i włożył na głowę mitrę z półksiężycem, sięgnął po rytualny miecz i zaczął rysować nim w powietrzu magiczne figury. Anioły wykonywały swój niewidoczny taniec. Wtedy wprowadzono skazańca. Harmonia. Musiał najpierw przenieść przez całą salę dwa jadowite węże i włożyć je do kadzi z płynnym złotem. Gdy wszyscy znikną, ubrane na biało Gracje będą mogły zacząć stroić swoje instrumenty.

Sos daktylowy, pomyślał Fredric Drum. Jagnięcina w czosnkowej marynacie w sosie daktylowym. Powtarzał te słowa przez kilka sekund, może nawet minut, walcząc, by powrócić do rzeczywistości.

Miał zamknięte oczy, a w myślach pojawiały mu się coraz to nowe słowa, całe zwroty. Czuł, że się dusi, w gardle miał flegmę. Powrócił też ból.

- * Rusza się.
- * Signore poszedł Zapomnianym Korytarzem.
- * Zatańczy swój ostatni taniec.
- * Kochani, trzeba mu pomóc. Nasze niebo jest Niebem Jasności.
- * Mógł wszystko zniszczyć.
- * Brat Empedesius go osądzi.
- * Zamknij się, durniu!
- * Pójdę po męża.
- * Milcz, zaraz będzie po wszystkim.

Fredric słyszał głosy. Mężczyzna. Mówił po włosku, bardzo go kalecząc. I kobieta. Jej cichy, przerażony, niemal błagalny głos. Rozpoznał go; gdyby tylko mógł oprzytomnieć, wtedy... Uniósł powieki. Przed oczami tańczyły mu cienie, duchy, zjawy, potwory. Bolała go głowa, klatka piersiowa, plecy; wymioty podchodziły mu do gardła, czuł, że coś leci mu z ust. Zachłysnął się, zaczął kasłać.

Był w pokoju. Widział wyryte na ścianach łacińskie i greckie znaki, widział też półki, na których stało mnóstwo wypchanych zwierząt: sowy, skarabeusze, nietoperze, ibisy i święte przedmioty najróżniejszego pochodzenia. Po drugiej stronie pokoju był niewielki podest, było też łóżko, krzesła, płonące pochodnie w wielkich misach, posągi centaurów, satyrów i sfinksów. Na przypominającym ołtarz podwyższeniu leżała pozłacana mumia, obok niej stały dwa pięcioramienne kandelabry. Nad podwyższeniem wisiał wielki gong wsparty na dwóch wężach. Na środku pokoju stał pulpit nakryty ozdobionym hieroglifami materiałem, nad nim wisiał kryształowy żyrandol, obok zaś stały trzy klęczniki i trzy krzesła, podobne do tych, których używał szeryf Nottingham w filmach o Robin Hoodzie; wszędzie było mnóstwo świec, małych i dużych.

Na krzesłach siedzieli ludzie. Trzy osoby.

Andrea Garrofoli, blada, chuda i bardzo poważna. Dłonie miała złożone na piersiach.

Gianna Umbro. Jej siostra. Eteryicznie piękna, niemal przezroczysta. Jej ciemne oczy płonęły. Prawą dłoń trzymała na ramieniu osoby, która siedziała pomiędzy nimi. W lewej trzymała instrument muzyczny. Cilot.

Osoby siedzącej między nimi Fredric nie znał. Był to mężczyzna mniej więcej w jego wieku, o silnej budowie ciała i szerokiej, ale ładnej twarzy. Miał jasne brwi i jasne włosy.

Arne Fridtjov Laksdal.

* Słyszysz mnie, Drum? * odezwał się mężczyzna spokojnym, cichym głosem.

Fredric próbował unieść się na rękach. Siedział, a właściwie leżał w rogu pokoju. Bijące od kamiennej podłogi wilgoć i chłód przysparzały dodatkowych cierpień jego obolałemu ciału. Nareszcie jednak dotarł do miejsca, z którego wszystko brało swój początek; do punktu, w którym starożytność spotykała się z najgorszymi tradycjami średniowiecza, tradycjami, z których nasze pazerne czasy, wykorzystując dostępne narzędzia, były w stanie zrobić użytek. To, co miał przed oczami, nie było scenografią do filmu grozy, tylko kabalistyczną baśnią z tysiąca i jednej nocy.

* Może powinienem się przedstawić? * zagaił Laksdal po norwesku.

* To zbyteczne * wydusił z siebie Fredric. * Andreo, twój mąż leży gdzieś tam w korytarzu i jest ciężko ranny.

Andrea podskoczyła na krzesło. Przerażona popatrzyła na Laksdala.

* Nic mi nie powiedziałaś. Dlaczego...

* Możesz iść, nie jesteś nam tu już potrzebna * odezwał się Laksdal. * Ten tchórz, twój mąż, leży tam, w drugim korytarzu z lewej strony.

Płacząc, Andrea wybiegła z pokoju i ruszyła we wskazanym jej przez Laksdala kierunku.

* A więc nareszcie zostaliśmy tu we trójkę * powiedział Norweg, dotykając palcami małego rewolweru, który leżał przed nim na pulpicie. * Sprytny pan Drum być może już się wszystkiego domyślił. Zapewne też rozumie, że nie chciałbym marnować kulki na jego grubą czaszkę, bo to mogłoby spowodować dużo zamieszania, a tego, jak zapewne wie, chcemy uniknąć.

* Jesteś skończony, Laksdal. Romeo Umbro wie o wszystkim; powiedziałem mu. Lada chwila może się tu zjawić. * Ble*fował, co zapewne było słyhać w jego głosie. Tak naprawdę marzył jedynie, żeby móc spokojnie zasnąć, żeby pochłonęły go ciemności, w których nie byłoby ani bólu, ani myśli.

* Ho ho ho * powiedział Laksdal, bynajmniej się nie śmiejąc. * Nas nie oszukasz. Gianna mówiła, że ojciec pojechał do Crotone i wróci dopiero za dwa dni. * Napisał coś na kartce, którą pokazał dziewczynie, a ta przytaknęła energicznie.

* Wkrótce zaprosimy cię do Harmonium, gdzie moja ukochana przygrywać będzie do tańca. Będziesz musiał uważać, stawiając kroki. Zanim jednak to nastąpi, chciałbym się dowiedzieć, jak wpadłeś na to, że właśnie ja się za tym kryję?

Fredric oddychał szybko.

* Dawno powinienem był się tego domyślić * zaczął powoli, chcąc zyskać trochę czasu, żeby dojść do siebie. * Romeo

Umbro był wściekły na Norwegów. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego. Teraz wiem, że pewnie już wcześniej byłeś na zamku prosić o rękę jego córki i musiałeś odejść z kwitkiem.

* Gianna mnie nie odtrąciła * powiedział Laksdal. Uśmiechnął się szeroko i uściśnął dziewczynę. * Przypadliśmy sobie do gustu, kiedy pojawiłem się tu pierwszy raz w związku z wykopaliskami.

* Powinienem był się domyślić, kiedy doktor Vitollo Umbro podczas naszego pierwszego spotkania wspomniał, że słynni krajanie nie stanowią zadośćuczynienia za...Genevie*ve * niemal wyszeptał imię dziewczyny. * Jednak dopiero kiedy zadzwoniłem do twojego byłego kolegi z Bergen i dowiedziałem się, że masz także szeroką wiedzę muzyczną i że nie ma cię we Włoszech na miejscu wykopalisk, chociaż powinieneś tam być, zacząłem coś podejrzewać. Pewności nabrałem, kiedy zobaczyłem zostawiony na parkingu wynajęty samochód i usłyszałem twój włosko*norweski akcent dochodzący z kuchni Garrofoliego. Najważniejsze było jednak to, że tylko cztery osoby znały treść Codex Ofanes, Fragment 233 XII. Profesor Donato d'Angelo, ja, Johannesen i ty * dokończył i przełknął ślinę, która nagle podeszła mu do gardła.

* Fragment 233 XII * powiedział Laksdal i rozłożył ręce. *Istnieje też Fragment 233 X, XI, XIII i XIV. Ale tylko ja to wiem. Bo ja pierwszy otworzyłem papirus i zrozumiałem jego treść. Dlatego urwałem część zwoju, niszcząc dokument, a profesorowi d'Angelo przekazałem jedynie numer XII. Cha! Cha! Gdybyście wiedzieli, jaka wspaniała muzyka została zapisana w pozostałych fragmentach kodeksu! Muzyka Życia i Muzyka Śmierci!

* Ty pazerna świnio! * wysyczał Fredric. Nareszcie udało mu się usiąść. Robił wszystko, żeby zachować świadomość i rozumieć toczącą się rozmowę. * Mógłbyś... * zaczął i przerwał, bo właśnie weszła zapłakana Andrea. Niosła bandaż, kompresy i wiaderko wrzątku. Szybko znikła w ciemnym korytarzu.

* Nie pomożesz jej? * spytał podniesionym głosem Fredric.

* Do diabła z Garrofolim. I tak umrze. A Andrea trafi do klasztoru, gdzie jest jej miejsce. Nie potrzebuję już jej pomocy. Teraz liczy się tylko Gianna i ja. Kiedy dzięki łagodnym tonom Gianni Umbrowie przeniosą się do krainy wiecznego snu, my przejmujemy władzę w Ofanes. I zamek, winnice, dwór, wszystko. Stanę się sławny. Opublikuję informacje o nieznannej szkole filozoficznej, o fantastycznych teoriach muzycznych, których podstawy stworzył Pitagoras, a które potem rozwinęli Chiron i Empedokles. To, że przetrwały okres średniowiecza, niemal po dziś dzień, jest zasługą zakonu Empede*siusa. Kiedy to ogłoszę, nowo powstały klasztor z pewnością udzieli mi wsparcia i pomocy. I o to mi chodziło. Niech żyje Ermetica Chiron!

Był żądny władzy. Chciwy. Ślepy w swojej miłości do Gianni. Człowiek słabego charakteru. Ale przebiegły. Niemoralny. Niezwykle inteligentny. Wszystkie te cechy, tę niezwykłą mieszankę uczuć i przymiotów, posiadała osoba, którą teraz miał przed sobą. Arne Fridtjov Laksdal.

* Ilu płatnych morderców najależ? Kim byli fałszywi policjanci, którzy zrzucili mnie ze zbocza? Kto zabił Donato d'Angelo? I kto wrzucił bombę do „Kasserollen”? * pytał Fredric coraz cichszym głosem.

* Uspokój się, kretynie. Zanim odejdiesz z tego świata, dowiesz się wszystkiego. Zetrzyj krew z tej swojej gęby, nie mogę patrzeć, jak ci wciąż leci * powiedział Laksdal, odwracając z obrzydzeniem głowę.

Fredric otarł twarz. Na rękawach koszuli też miał zaschniętą krew. Czyżby się wykrwawiał? Był słaby, bardzo słaby. Ogniste plamki wirowały mu przed oczami. Zbliżał się jego koniec.

* OK * powiedział Laksdal, zapalając papierosa. * Prywatne konto Gianni bardzo się przydało. Mogłem dobrze zapłacić chłopcom, a nikt nie wie, że to ja za wszystkim stoję.

Zabezpieczyłem się. Kretyni, którzy zepchnęli cię ze zbocza, byli oczywiście z Sycylii i niezbyt dobrze znali tutejsze wybrzeże. Sądziłem, że urwisko schodzi prosto do morza i że pozbyli się ciebie raz na zawsze. Popełnili fatalny błąd. Chociaż właściwie nie chciałem cię zabić, dlatego dałem im szansę rehabilitacji i wysłałem do Oslo, taki byłem miły. Kazałem jednemu z nich wrzucić bombę do twojej restauracji, już po zamknięciu, kiedy nie było gości. Mam nadzieję, że nikt nie został ranny. Ale nawet to nie skłoniło cię do wyjazdu. A to była twoja ostatnia szansa. Profesora d'Angelo musiałem sprzątnąć. Miał zbyt dużą wiedzę. Mógłby dodać do siebie pewne dane i wysłałby mu właściwa suma. Zamach został bardzo sprawnie przeprowadzony. Wszyscy są przekonani, że to dzieło prawicowych ekstremistów. Fredric zamknął oczy. Nie miał siły dłużej tego słuchać. Nie chciał. Słowa Laksdala docierały do niego niczym echo odbijające się od ścianki metalowego cylindra. Trafiały go z różnych stron, godziły boleśnie niczym wirujące w powietrzu strzały, raziły prądem. Lecz Laksdal mówił dalej, zadowolony, że może się pochwalić swoimi wyczynami komuś, kto niedługo zamilknie na zawsze.

* Ofanes to naprawdę Ubilicus Telluris, pępek świata. Od początku historii nim był. Spójrz na ten pokój, tak doskonale ukryty, w którym znajduje się niemal wszystko, co konieczne, by dogłębnie pojąć z takim trudem budowaną wiedzę antyku, którą nasza cywilizacja zniszczyła. Lochy. Korytarze. Mistrzowskie dzieła architektury ukryte pod ziemią. Ale tylko wtajemniczeni mogą je poznać. Zakon Empedesiusa znów odzyska swą potęgę i siłę. Będzie się wyróżniał muzyką i pieśnią. Lecz tylko ja znam prawdziwą tajemnicę tej muzyki, dźwięki, które dają prawdziwą władzę. Tej tajemnicy zamierzam ja i moi spadkobiercy strzec z zamku na wzgórzu. Sokół zostanie wypędzony i zastąpiony Orłem.

Gdyby Gianna była w stanie to słyszeć, gdyby знаła norweski, zrozumiałaby zapewne, że zakochała się w szaleńcu; mężczyźnie opętanym złowrogą magią z zamierzchłych czasów. Lecz

Gianna nie mówiła i nie słyszała, więc pewnie podziwiała go za te cudowne rzeczy, które jakoby głosił. Fredric natomiast słyszał wszystko, ale nie był w stanie przyjąć tego do wiadomości.

* To, co odkryli ci dwaj durni gówniarze i strażnik, signo*re Loppo, mogło wszystko zniszczyć. Z tego, co ludzie mówili, znaleźli coś naprawdę niezwykłego. Ten idiota strażnik zakopał znalezisko w jakimś dziwnym miejscu, ale ja dopilnuję, żeby nigdy nie zostało odkryte. Rozumiesz, co mówię, Drum? Nie? Cóż, pora udać się w ostatnią drogę. Dawno już żadne dźwięki nie rozbrzmiewały w Harmonium * zakończył, wziął rewolwer i wstał. Zrzucił torbę na ramię i zbliżył się do Fredrica.

Fredric miał otwarte jedno oko, nie mógł go zamknąć. Dlatego zarejestrował, że Laksdal do niego podszedł, chwycił silnymi rękami i postawił. Zauważył, że jest w stanie ustać. Potem Laksdal pchnął go w głąb jakiegoś korytarza; jego nogi poruszały się posłusznie. Widział pochodnie i świece. I kobietę idącą w przeciwną stronę. Przywarła do ściany, wyglądała na przerażoną. Wtedy coś zaświtało mu w głowie.

* Andro * wyszeptał. * Mam nadzieję, że twój mąż żyje. Dziękuję za ostrzeżenia, łacińskie sentencje * morituri te salu*tant. Wiem, że miałeś dobre zamiary. Chciałaś, żebym wyjechał, prawda?

Zmarszczki na czole Andrei wygładziły się. Przytaknęła. Po policzku poleciała jej łza. Fredric podniósł rękę i delikatnie ją otarł.

* Ruszaj się, kretynie! * warknął Laksdal i zamachał rewolwerem.

* Andro... Obiecuj mi, że nigdy... nie wstąpisz do zakonu. Słyszałem nocą twój śpiew... przez drzwi szafy... Jesteś smutna... Ty i twój mąż nie pasujecie tutaj... Trucizna w moim pokoju... Nigdy cię nie podejrzewałem... To dzieło Laksdala, prawda? To on straszył twój mąż...

* Ruszaj, do diabła! * usłyszał i poczuł szturchnięcie. Zaczął się posuwać w głąb korytarza. Jakimś cudem był w stanie utrzymać się na nogach.

Podziemne korytarze. W misach i dzbanach stały pochodnie i świece. Nagle Fredric uderzył o ciężkie kamienne drzwi.

* Pchnij je! * krzyknął Laksdal, szturchając go rewolwerem w plecy.

Fredric nie był w stanie. Drzwi były za ciężkie. Usiadł na podłodze; ledwie poczuł, kiedy Laksdal kopnął go w biodro.

* Wstawaj, gnido! * Mężczyzna wrzeszczał, aż echo niosło. W końcu sam pchnął drzwi. Fredric zaczął pełzać na czworakach. Chwycił się wystającego z podłogi zardzewiałego żelaznego pręta. Usiłował się podnieść. Wszędzie były kałuże i szczury. Wtedy zauważył, że cała podłoga najeżona jest metrowymi żelaznymi prętami. I sobie przypomniał. Już gdzieś to widział. Wtedy patrzył na to z góry. Z muru.

Harmonium.

Zagrzmiał śmiech Laksdala i zobaczył Giannę, która weszła niczym zjawa, a potem zniknęła za murem.

* Za nią! Wejdz na górę! Jestem tuż za tobą! * powiedział Laksdal i pchnął go w stronę muru.

Fredric wymacał żelazną klamrę. Chwycił się jej i spróbował się podciągnąć. Ból przeszył jego ciało niczym ognista strzała. Potworny ból głowy sprawiał, że niemal nie był w stanie otworzyć oczu. Nie potrafił myśleć. Zaczął wchodzić na mur, klamra za klamrą, metr za metrem; wiedział, że jeśli spadnie, nadzieje się na jeden z żelaznych prętów. Godził się na śmierć, ale resztki jego świadomości protestowały przeciwko takiej śmierci. Nareszcie wyczuł dłoń krawędź muru i podciągnął się.

Laksdal zapalił pochodnię; pod nią był rodzaj podestu, jakby niewielka scena, na której stała Gianna. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, przytulając do piersi instrument. Cilot.

Laksdal szedł teraz wzdłuż muru, kierując się do drzwi; drzwi, które Fredric spalił, a signore Puggi naprawił. Deski były poluzowane. Najwyraźniej Gianna tędy wchodziła, gdy wieczorami odwiedzała swojego ukochanego.

To ona niosła świeczkę, za którą kiedyś Fredric podążył. Dawno temu. Miał wrażenie, że minęły całe lata.

Laksdal stanął w drzwiach, blokując wyjście. Szeroki w barach, pewny siebie, z diabelskim uśmiechem na ustach. Wyciągnął z torby nauszniki, które zawiesił sobie na szyi.

* Wstawaj, Fredricu Drum! Będziesz tańczył! * zagrzmiał, a słowa odbiły się echem od sufitu, strasząc gnieżdzące się tam nietoperze. * Jesteś w Harmonium. Tutaj kiedyś rozbrzmiewała muzyka. Ta cudowna, najczystsza. Muzyka Życia i Śmierci; dźwięki tworzące tak idealną harmonię, że nie jesteśmy w stanie jej sobie wyobrazić. Pitagoras znał się nie tylko na geometrii. Za pomocą wyjątkowego instrumentu, który moja ukochana świetnie opanowała, tworzył dźwięki, niezwykle silnie oddziałujące na otoczenie, także na ludzki mózg.

Fredric słuchał. Siłą woli wziął się w garść, oczekując tego, co wiedział, że wkrótce nastąpi. Spokojnie, tak by Laksdal niczego nie zauważył, sięgnął po dwa kawałki łożu, które nadal leżały w kieszeni jego koszuli. Drżąc, klęknął i podniósł ręce do uszu.

* Zapewne wiesz, że niektóre dźwięki są w stanie kruszyć szkło? Znasz niezwykle właściwości ultradźwięków. Dźwięki, które zakon Empedesiusa odziedziczył po Grekach, były nie mniej zadziwiające, prowadziły bowiem do tego, że człowiek umierał! * powiedział głośno Laksdal. * Były też w stanie sprawić, że ludzie zaczynali wbrew własnej woli tańczyć. W podaniu o muzyku z Hamein i jego szczurach mogło być wiele prawdy, a Grecy byli jeszcze sprytniejsi! Tutaj, w Harmonium, pozwalali skazanym dowieść swojej winy bądź niewinności. Musieli tańczyć. Ci, którzy byli winni, zapamiętywali się w tańcu i spadali z

mur. I nadzie wali się na pręty! Teraz poproszę Giannę, by zagrała nam dithyrambę, pierwotnie był to taniec ku czci Dionizosa. Potem Gianna za...

Piskliwy głos Laksdała nagle umilkł. Fredric zaczął powoli się podnosić. Zatycki były na miejscu. Patrzył na swojego szalonego krajana rozprawiającego w magicznym świetle pochodni. Widział, jak jego usta otwierają się i zamykają jak paszcza rekina; widział jego wylupiaste oczy i białe brwi; widział rewolwer, który trzymał w prawym ręku.

Usta się zamknęły. Laksdał dał znak Giannie. Dziewczyna weszła na podwyższenie; wyglądała jak istota nie z tego świata. Fredric zauważył, że mężczyzna szybkim ruchem założył na uszy ochraniacze. Teraz wszyscy troje byli głusi. Teraz muzyka mogła rozbrzmiewać.

Fredric patrzył na Giannę. Stała na podwyższeniu niczym bogini. Uniosła instrument do ust, dotykając jednocześnie palcami strun. Umiesz to robić, pomyślał Fredric. Tak grałaś wtedy, schowana pośród winorośli za wykopaliskami. Grałaś dla dwóch chłopców, którzy padli martwi. Tak też grałaś dla signore Lop*po. I dla zwierząt w okolicy. A było ich sporo. Pies, koty, świnię, kozy, bo twoja muzyka także zwierzętom przynosiła śmierć. Kto poukładał ich ciała wzdłuż ściany budynku? Tego nie wiem. Na mnie też czekałaś, aż zjawię się w środku dnia, kiedy było cicho i spokojnie, kiedy nie grały cykady. Lecz ja cię spostrzegłem, Persefona, zobaczyłem cię, kiedy siedziałem wysoko na szczycie wzgórza i jadłem sardynki. Wiesz, co grasz? Laksdał ci powiedział? Jesteś Persefona czy tylko nieszczęśliwą córką signore Ro*mea Umbro, której nigdy nie wolno było samej niczego robić i która teraz się mści? Kim jesteś, Gianni Umbro?

Fredric spostrzegł, że nagle znów jest w stanie trzeźwo myśleć. Cisza i łojowe zatycki w uszach łagodziły ból. Widział, jak Gianna gra, patrzył na nią, ale w jej oczach nie odnajdował żadnego uczucia, strachu, przerażenia, radości czy żalu. Stała na podwyższeniu metr od Fredrica i wykonywała swój popisowy numer, nic nie czując, nic nie słysząc.

Zaczął iść w jej stronę. Nie spuszczał z niej wzroku. Wszedł na podwyższenie i zanim tak naprawdę dotarło do niego, co robi, jedną ręką wydarł jej instrument, drugą zaś chwycił pochodnię, po czym i jedno i drugie rzucił w dół.

Zapanowała całkowita ciemność.

Wyjął łojowe zatycki z uszu i położył się płasko na murze. Usłyszał gwałtowne przekleństwo i gruchnęła seria strzałów. Fredric poczuł, że coś gorącego musnęło mu plecy; kule odbijały się rykoszetem od ścian, kamieni, sufitu. Czuć było swąd dymu. Nagle coś na niego spadło. Uchylił się, ale poczuł w dłoni głowę, małą główkę Gianny. Była gorąca i mokra, cała skroń była rozorana kulą wystrzeloną przez ukochanego. Fredric cofnął dłoń i zaczął pełzać po murze. Spokojnie.

Nagle zrobiło się cicho.

Fredric starał się cokolwiek dojrzeć w ciemnościach; patrzył w stronę drzwi, gdzie wcześniej stał Laksdał. Czyżby widział jakiś ruch? Słyszał ostrożne, skradające się kroki?

Słyszał kroki. Laksdał był tuż obok niego. Słyszał jego ciężki oddech, a potem zobaczył nogę. Mobilizując wszystkie swoje siły, Fredric rzucił do przodu, chwycił go za nogę, pociągnął do siebie, a potem pchnął.

Arne Fridtjov Laksdał poleciał w dół i przeraźliwy krzyk przeciął powietrze. Nagle krzyk zamarł, kiedy ciało Norwega nadziało się na pręty w dole. Dźwięk wisiał w powietrzu kilka sekund, jakby z przedziurawionej opony uchodziło powietrze. Potem dało się słyszeć coś podobnego do kaszlu przechodzącego w straszliwe rżenie.

W końcu zapadła cisza. Fredric zamknął oczy.

Dopiero po dłuższym czasie podniósł się i po omacku zaczął pełzać po murze; w ten sposób dotarł do drzwi.

Było po wszystkim.

Fredric Drum okrążył rynek cztery razy,
widzi w butelce twarz Umbro, zaczyna podkraść jajka
i uśmiecha się do Sophii

Niedaleko kościoła szczekał pies, szczerząc zęby na osobę, która chwiejnym krokiem szła przez rynek. Ale Fredric Drum nie widział ani psa, ani kościoła. Chodził w kółko po rynku, stąpając mocno, niemal mechanicznie po starym bruku. Każda runda trwała kilka minut; po czterech rundach, kiedy zegar na kościelnej wieży wybił dwa razy, skręcił raptownie w lewo i zniknął za jednym z domów.

Znalazł się w czyimś prywatnym ogródku. Potknął się o kupkę kompostu i upadł. I tak leżał. Z jego ust wydobywały się niewyraźne charczące dźwięki, jakieś słowa, które brzmiały jak: „daktyle”, „sarna”. Nagle się roześmiał i wskazał na Oriona. Potem zamknął oczy i leżał, już się nie ruszając. Jego klatka piersiowa unosiła się szybko i rytmicznie. Jakiś ślimak wędrował mu po udzie.

Kilka godzin później wstał. Zobaczył świece. Dużo świeczek. Ludzie nadchodzili z pochodniami, otaczali go. Krzyknął przeraźliwie i znów upadł.

Było cicho. Nadal leżał na kupce kompostu. Słyszał, jak gdzieś obok przejeżdża samochód. Słyszał, jak śmieją się dzieci. Ktoś trzasnął drzwiami. Słyszał, jak zegar na wieży wybija ósmą. Ktoś coś zawołał. Po jakimu? Chyba po włosku?

Po włosku?

Chciał się roześmiać, ale śmiech ugrzązł mu w gardle i zaczął kasłać. Coś łaskotało go w piersi. Myślał, że za chwilę kichnie, ale nie kichnął.

Potem zaczął marznąć. Szczekał zębami. Ale mimo wszystko dobrze było tak leżeć. Słyszał rozmawiających ludzi.

Simmias mówił o duszy.

* Krasis * powiedział. Fredric skinał głową. Zgadzał się z nim. Niestety przeciwieństwa mogły wszystko zniszczyć. Pe*ras i aperion; możliwe i niemożliwe. Nie mówiąc o harmo*niom, już gorzej być nie mogło. Fredric przytaknął ochoczo.

Nie wolno pić krwi z faski! Krwi Jezusa!

Virga, punctum, podatus, cliuis, scandicus, climacus, torculus, porrectus. Wszystko zostało zapisane i przemyślane, nie mogło być inaczej. Głos w głowie Fredrica brzmiał mocno i stanowczo, nie chciał protestować.

Eugene Ionesco ogolił się i obciął włosy, po czym natychmiast zaczął strzelać z biodra do kruków.

* Ex nihilo nihil * powiedział do Fredrica, rysując w powietrzu tetragrammaton. Fredric zaczął się śmiać z szaleńca i odpowiedział mu cytatem z Tertulliana.

Wszyscy coś do niego mówili i nic go już nie bolało. Gdyby jeszcze te koty chciały zejść z jego piersi, to łatwiej byłoby mu oddychać!

* Chcesz zobaczyć moją grządkę z ziołami? Rośnie tam Diabelska Armata Filozofa.

Heidegger go zażywał, kiedy wpadł na pomysł tego wymyślnego słówka „Jevereinigkeit”. Potem spędził cztery tygodnie na kiblu, aż w końcu zmarł, ważąc niecałe dwadzieścia dwa kilogramy netto.

Z wnętrza butelki patrzył na niego Romeo Umbro. Szkło zniekształcało jego twarz. Ciekawe, jak mu się udało przejść przez szyjkę? Fredric nie był w stanie tego pojąć, do tego jeszcze w kapeluszu i w ogóle. Co prawda nie miał dubeltówki.

Fredric usiadł. Niewiele widział, bo wszystko zasłaniały mu krzaki. Spojrzał na swoją koszulę, na rękawy. Były brązowe od zaschniętej krwi i wymiocin. Zmarszczył czoło i nagle wszystko sobie przypomniał.

* Laksdal * powiedział. * Laksdal nie żyje. I znów pogrążył się w majakach.

Kiedy w końcu wstał, zbliżała się już dziesiąta. Rozglądał się dookoła i nie bardzo wiedział, co się stało. Gdzie jest dom signore Rattiego? Gdzie jest jego śliczny pokój z jasnoniebieskimi tapetami i aniołkami z trąbkami? Co się z nim działo? Czy nie powinien wracać do domu?

Dom.

To słowo sprawiło, że nagle wszystko sobie przypomniał. Genevieve. Telegram od Hirama Haroudiego. Jego restauracja, „Kasserollen”, była zniszczona. Tob był poważnie ranny. Wszystko, co było mu drogie, zniknęło. Po co ma wracać do domu? On nie ma już domu.

Zaczął iść. Torował sobie drogę wśród krzaków pomidorów, potykając się. Nagle zaczął mieć kłopoty z oddychaniem, szumiało mu w uszach; musiał się na chwilę położyć. Wstał i ruszył dalej. Wiedział już, gdzie jest. Rozpoznał dom signore Rattiego. Signore Ratti miał piwniczkę z winami. Drzwi były otwarte. Mógł po prostu wejść.

Zatrzymał się i zaczął się śmiać. Bezgłośnym śmiechem, który nie przechodził mu przez usta. Nigdy go nie złapią. Nie ma lepszego złodzieja jajek. Znajdzie mnóstwo jajek, jajek sokoła kalabryjskiego, postanowił i zniknął w oliwnym gaju.

Szedł i szedł. Przestraszone kozy i osły uciekały przed nim. Pozdrowił grzecznie kilku chłopów, którzy grabili liście i gałązki. Gdzieś w głowie miał obrazek uroczej skalnej półki; panowała tam cisza i spokój, a w dole rozciągało się zielone morze. Tam będzie mógł odpocząć.

Co jakiś czas się zatrzymywał i wtedy wszystko wracało. Wtedy wiedział, że nadszedł koniec. Jego restauracja „Kasserollen” już nie istniała.

Zobaczyła go.

Poszła zanieść mu śniadanie do pokoju i zobaczyła, że go tam nie ma. Łóżko było nietknięte. Postawiła tacę zjedzeniem na stole i podeszła do okna. I wtedy zobaczyła żalną drobną postać, która stała wśród krzaków pomidorów i machała rękami.

Sophia Ratti ukryła twarz w dłoniach, żeby stłumić krzyk. Mężczyzna, tam w dole, to był signore Drum z Norwegii. Był cały zakrwawiony. Miał podarte ubranie, był brudny, chwiał się na nogach. Ten nieśmiały, przystojny signore Drum! Nagle zobaczyła, że się odwrócił i zniknął wśród oliwnych drzewek.

Sophia zbiegła po schodach i wypadła przez drzwi. Signore Drum zniknął. Chwilę stała bezradna. Potem ruszyła zdecydowanym krokiem przez grządki z pomidorami, w stronę oliwnego gaju. Straciła go z oczu. Po chwili spotkała starego signore Severo, który grabił gałęzie. Pokręcił głową i pokazał coś palcem.

Nareszcie zobaczyła go. Szedł zygzakiem przez pole. Dziewczyna zaczęła biec; zrozumiała, że Norweg musiał ulec poważnemu wypadkowi i teraz błąka się w szoku po okolicy.

* Signore Drum! * zawołała.

Ale mężczyzna szedł dalej. Właśnie przeszedł przez drogę. Potknął się; chwilę leżał w rowie, potem znów wstał i ruszył dalej. Kierował się w stronę urwiska, wysokich skał, które schodziły stromo do morza.

* Signore Drum, proszę się zatrzymać! Tam jest niebezpiecznie! * zawołała.

Kawałek przed miejscem, gdzie zbocze zaczynało stromo schodzić w dół, Fredric padł na kolana. Zaczął pełzać. Jego ruchy były coraz słabsze. W końcu położył się i po prostu leżał. Dziewczyna rzuciła się na kolana obok niego. Przewróciła go na plecy. Zobaczyła, że patrzy na nią rozgorączkowane, ale dziwnie trzeźwe szaroniebieskie oczy. Mężczyzna uśmiechnął się.

* Plaudite, cives... * Pozwolił, by wiatr uniósł jego słowa.

Posłowie autora

Kilka lat temu, podczas prac archeologicznych w pobliżu Herkulanum, pięć kilometrów na południe od Neapolu we Włoszech, znaleziono coś, co na pierwszy rzut oka przypominało węgiel drzewny. Na wszelki wypadek wezwano ekspertów i wtedy okazało się, że jest to starożytny papirus. Powstało pytanie, czy uda się go rozwinąć.

Dwóch Norwegów, Brynjuif Fosse i Knut Kleve, opracowali metodę, którą według nich można było w tym przypadku zastosować. Oddali się do dyspozycji archeologów. W 1985 roku zdjęcia Norwegów trafiły na pierwsze strony większości włoskich gazet, które okrzyknęły ich niemal bohaterami. Udało im się bowiem coś, co wydawało się niemożliwe: otworzyli zwoje, umożliwiając odczytanie zapisu. Okazało się, że papirus zawiera tak sensacyjne informacje, że historia filozofii dotycząca antycznej szkoły epikurejskiej musiała zostać napisana na nowo! Badacze odkryli bowiem ni mniej, ni więcej, tylko bibliotekę teścia Cezara.

Prace nad odczytaniem zwęglonych zwojów trwają nadal; minie wiele lat, zanim cały zapis zostanie odtworzony. Norwegowie pracują obecnie nad dziełami Lukrecjusza; dotarli także do nieznanych wierszy i pism Enniusza (ok.200 p.n.e), jednego z włoskich poetów, który żył przed Wergiliuszem. Nowe, sensacyjne odkrycia mogą więc jeszcze się pojawić.

Niniejsza opowieść nie ma nic wspólnego z pracą obu naukowców. Jej bohaterowie są całkowicie fikcyjni, podobnie jak ich przygody.

Hokksund, 15 stycznia 1990 Gert Nygardshaug

Spis treści

1. Fredric Drum patrzy na Morze Jońskie, ale w jego oczach nie ma radości, tęskni za swoją ukochaną i butelką dobrego Barbaresco DOCG.....7
2. Fredric zaprzecza, jakoby posiadał jakąkolwiek wiedzę dotyczącą kalabryjskiego sokoła, raczy się kieliszkiem Taurasi Riserva 1982 i pogrąża się w myślach..... 25
3. Fredric Drum nadaje nazwy zapachom, patrzy na słońce, nie kichając, i otrzymuje pewien klucz.....42
4. Zanurzenie się w hermetyce, pożegnanie signore Loppo oraz Fredric Drum podążający za światłem w mroku... 58
5. Fredric poznaje Wielkiego Inkwizytora, przyjmuje gościa i słyszy w oddali niebiańską pieśń sióstr zakonu Empedesiusa..... 77
6. Fredric Drum widzi gniewnie tupiącą francuską stopkę, wysłuchuje opowieści o fasce pełnej krwi i czuje słodki zapach w swoim pokoju.....98
7. Fredric otrzymuje list, przychodzą mu na myśl ślady ptasich pazurów na piasku i nagle odkrywa kołyskę sangwini*ków.....114
8. Organista mamrocze po łacinie, Fredric Drum liczy nieżywe zwierzęta, otwiera puszkę sardynek i spotyka na drodze ru*bensowskiego anioła.....130
9. Fredric Drum delektuje się butelką Calabria Umbro 1983, 5
poznaje Wergiliusza i Owidiusza i odnotowuje siedem stopni w skali Richtera..... 147
10. Właściciel hotelu ścina włosy i goli brodę, Fredric Drum widzi anioły z trąbami i zatyka uszy łojem.....163
11. Fredric niszczy obite tapicerką drzwi, staje na dziesiątym schodku i pięknie tańczy w Harmonium..... 179
12. Fredric Drum okrąży rynek cztery razy, widzi w butelce twarz Umbro, zaczyna podkradać jajka i uśmiecha się do Sophii.....200

Posłowie autora.....	204
----------------------	-----